Sierpień — 1859.

WSPOMNIENIA WOJSKOWE

WOJCIECHA DOBIECKIEGO.

Do Redakcyi.

Dodatek *wasz stał się przytułkiem różnych artykułów, wojskowych, częścią pośmiertnych, częścią dostarczanych przez zbieraczów, których prace nie są dostateczne by tworzyły osobne dzieła. W ten sposób zamieściliście pamiątki z wypraw jenerała Chłopickiego w Hiszpanii; o Legionach w S. Domingo po jenerale Kazimierzu Małachowskim; czynności jednéj brygady jazdy polskiéj r. 1813; Kilka moich wspomnień o pułku gwardyi polskiéj Napoleona I. W tych ostatnich odzywałem się do dawnych towarzyszów broni, żeby idąc za przykładem pisarzy niewojskowych, zajmujących się wyszukiwaniem i zachowywaniem pamiątek, starali*

się podawać do powszechnej wiadomości te szczegóły wojenne, których byli naocznymi lub bliskiemi świadkami; i tym sposobem usiłowali dopełniać część dziejów naszych z okresu niepomyślnego wprawdzie, ale nader świetnego, od nastania kommisyi edukacyjnej i sejmu czteroletniego, rozpoczętego w r. 1788. Kilku dawnych współtowarzyszów moich, dostarczyło mi i obiecało dostarczać pamiątek swoich. Przynoszę wam korespondencyę do mnie szanownego weterana pułkownika Wojciecha Dobieckiego, i pismo jego do ś. p. jenerała Kazimierza Tańskiego, przeznaczone. Są tu szacowne szczegóły o piechocie legionów włoskich, ale mianowicie cała niemal historya słynnego pułku jazdy, w tychże legionach powstałego, który późniéj pod nazwą ułanów nadwiślańskich i pod nr. 7 Lancierów armii francuzkiéj, nadzwyczajny rozgłos uzyskał. Nie tracę nadziei, że wkrótce ujrzymy Historyę Legionów przez ś. p. jenerała Paszkowskiego zebraną; jakoż i pamiętniki jenerała Klickiego; atoli pospieszam złożyć w **Dodatku do Czasu** *Rękopism pułkownika Dobieckiego, z tem zastrzeżeniem, że gdy nie miałem zaszczytu należeć do tych świetnych pułków, nie pozwalam sobie zatem w tym pamiętniku żyjącego jeszcze autora, nic odmieniać, lecz podaję go w takim kształcie w jakim mi powierzony został, zamieszczając tylko gdzie niegdzie szczupłe objaśnienia w niczem autorowi nie ubliżające.*

Pisałem w Siedliszowicach w miesiącu Czerwcu 1859.

Józef Załuski.

LIST

PUŁKOWNIKA WOJCIECHA DOBIECKIEGO

do

JÓZEFA ZAŁUSKIEGO.

4go Lutego 1859 roku, Piestrzec.

Jaśnie Wielmożny Jenerale!

Nader za szczęśliwego poczytałbym się, żebym mógł być kochanemu jenerałowi użytecznym, ale w dzisiejszym stanie jest to trudnem; bo i wiek i brak zdrowia są na przeszkodzie. Jednak na żądanie jenerała,

objawione mi przez Wgo Wołoszewskiego, posyłam krótki rys stanu pułku Lancierów legii nadreńskiéj, naddunajskiéj, nadwiślańskiéj, któren przed kilku laty, acz niedokładnie — na żądanie ś. p. jenerała Kazimierza Tańskiego, na prędce skreśliłem, z pamięci, bo żadnych materyałów nie miałem.

Nie jest on dokładny, bo nieobejmuje czasu całéj méj służby. — Wszedłem do pułku z piechoty legii naddunajskiej 1799 roku. Pojechałem do Polski r. 1803 z Vigevano. Wróciłem do pułku 1806, w nim byłem do 1809, więc tylko ten czas byłem obecnym świadkiem czynności i odmian w pułku. Przetrwałem dowódzców pułku: *pierwszego* Karwowskiego wcale nieznałem *). *Drugi* Turski podług zdania Rożnieckiego, znał wielką wojnę i wyższe manewra, ale *detailów* (szczegółów) wcale nie znał. Dopiero Rożniecki mianowany pułkownikiem w Florencyi, 7go Thermidora roku 9go Rzeczypospolitéj, przyprowadził pułk do najwyższego porządku, usposabiając podoficerów z niezmordowaną pracą i mozołem. Było wiele arcydystyngwowanych oficerów, jako to: *Stanisław Jabłonowski* co wprzódy był przy Bernadocie, *Redel*, wprzódy dowodzący artyleryą konną legii, później jenerał brygady, piękny uzdatniony oficer, gdyby nie karty namiętnie lubiący. *Szmauch* i inni. Wielu było pa-

---

*) Jenerał Karwowski długo żył w Warszawie, szanowany jako zacny weteran, nie wiem roku jego śmierci.

(Przypisek wydawcy).

miętających konfederacyę barską, bez języka, ale dobrzy oficerowie jazdy.

Najdzielniejsi byli podoficerowie z pułku, co na oficerów wyszli, wielu z nich było ludzi zużytych; różne inkorporacye, jako to: pułku huzarów Kalinowskiego; wielu z piechoty lub gwardyi przez Napoleona przysłanych, ludzi pełnych męztwa i nieporównanéj odwagi, ale nie żołnierzy tylko amatorów na czas krótki służących.

Świderski r. 1806 przyprowadził pułk z Neapolu do Szlązka i mieliśmy iść do Polski, ale inne z łaski księcia Hieronima który się w nas pokochał, dostaliśmy przeznaczenie. To nas aż do Hiszpanii zagnało, a Świderski dostał pułk piechoty, a po nim dostał ten pułk Estko siostrzeniec Kościuszki. Pułk Lancierów dzielił się na wiele części, pułk był w Hiszpanii, w Holandyi, przy głównym sztabie był oddział z porucznikiem Bogusławskim **). Każdy marszałek francuzki chciał mieć Lancierów, bo to byli ludzie waleczni, na których można było rachować.

Wielu było sztabs-oficerów, co się z prostych żołnierzy wyższych stopni dosłużyli, Tański Kazimierz przyszedł na porucznika w Vigevano 1802 roku, a potem pułkiem dowodził. Więcéj pisać nie mogę, bo już się bardzo zmierzchło, ale choć

**) Ten w roku 1812 w Moskwie był przy pułku gwardyi polskiéj Napoleona.

(Przypisek wydawcy).

ciało moje niedołężne, to serce i umysł umieją cenić takich mężów jakim jesteś jenerał i czuć całą ich wartość.

Zostaję z uszanowaniem

Wojciech Dobiecki.

PISMO

PUŁKOWNIKA WOJCIECHA DOBIECKIEGO

do ś. p.

JENERAŁA KAZIMIERZA TAŃSKIEGO

JAKO PAMIĘTNIK

o pułku jazdy Legionów.

Rok 1797.

Jenerale! Żądasz odemnie szkicu historycznego pułku 7go ułanów w służbie francuzkiéj, któremu tak zaszczytnie dowodziłeś, ale praca ta jest nad moje siły, bo nie tylko że mi zupełnie brakuje potrzebnych materyałów, a lat kilka strawionych w tym pułku niewystarcza na dokładne opisanie sławnych czynów naszych kolegów, i oddanie sprawiedliwości zasługom i poświęceniu jakie w różnych stronach i klimatach dla Francyi łożyli, ale i

pióra zdolniejszego.— Z tem wszystkiem nawykły spełniać starszego rozkazy, ile będzie w mój możności zadość im starać się będę uczynić.

W roku 1796 dnia 4go grudnia po bitwie pod Arcole-jenerał porucznik wojsk polskich Jan Henryk Dąbrowski w Medyolanie, przedstawił projekt uformowania Legionu polskiego jenerałowi naczelnie komenderującemu wojska francuzkie we Włoszech Bonapartemu. — Za tego wodza pośrednictwem zawarł 5go miesiąca Nivose roku VI Rzeczypospolitéj to jest 9go stycznia 1797 naszego kalendarza z ówczesnym rządem Lombardzkim o utrzymanie, ubranie, i uzbrojenia tego korpusu umowę.— W skutek któréj wydał pod dniem 20tym stycznia t. r. w czterech językach do Polaków odezwę zwołującą ich pod swe dowództwo — a 3go lutego już miał dwa bataliony 1127 głów wynoszące pod bronią. — Eliasz Tremon i Kosiński wyprawieni do Piemontu, Sabaudyi w głąb Francyi do zakładów jeńców wojennych ustawicznie znacznemi oddziałami rekrutów powiększéj części dawnych żołnierzy wojska polskiego do Medyolanu nadsełali. — Do 5go marca skompletowała się 1sza Legia i wkrótce na linię bojową wystąpiła. — Następnie gdy się utworzyła Rzeczpospolita Cysalpińska, jenerał Dąbrowski zawarł z jéj rządem 17go listopada t. r. o utrzymanie Legii polskiéj nową umowę, — która już z powstaniami w Wenecyańskiem i krajach papiezkich zawzięcie walczyła — a dzieląc trudy, niebezpieczeństwa, i sławę oręża francuskiego, weszła dnia 14 floreal r. VI Rpltéj czyli 3 maja 1795 do stolicy świata katolickiego. Był to dzień miłych wspomnień w którym przed 7miu laty ustawa sejmowa odpowiadająca światłu, potrzebom kraju, zapadła — jenerał Kniaziewicz dowódzca Legii, miał swą główną kwaterę w Kapitolium a dzień wyżéj wyrażonego wspomnienia w kościele świętego Stanisława nabożeństwem obchodził. — Druga zaś Legia pod do-

wództwem jenerała Rymkiewicza, która po jego chwalebnym zgonie przeszła pod rozkazy jenerała Józefa Wielchorskiego, zajmowała Mantuę.

Rok 1798.

W całéj téj kampanii rzymskiéj odznaczali się niepospolicie Polacy, ale to należy do dziejów Legii, które może kiedy jaka biegła ręka skreślić podoła. — Dnia 4go miesiąca frimaire rozpoczęła się kampania neapolitańska; jenerał Championet na czele 16,000 Polaków i Francuzów, armię neapolitańską pod jenerałem austryackim Mack z czterdziestu tysięcy regularnego żołnierza i tyluż powstańców złożoną, pod Civita Castelana zwyciężył. — Ciągle odnoszone zwycięztwa zawiodły armię nad rzekę Garigliano, jenerał Dąbrowski przybył do obozu i objął dowództwo dywizyi i zaraz wziął szturmem Molo di Gaeta; Kapua, Gaeta, poddały się, a Francuzi weszli do Neapolu i ogłosili Rzeczpospolitą parthenopejską.

W ciągu téj wojny osobliwie nad rzeką Garigliano pod Trata i w Kapui, mnóstwo koni najwięcéj ogierów wierzchowych z gwardyi neapolitańskiéj jako i liczne stada królewskie z Mondragone błąkało się nad brzegiem rzeki, bo jazda neapolitańska a osobliwie świetnie ubrane i uzbrojone gwardye, niemogły się przez most przeprawić. Eliasz Tremon podał myśl jenerałom Kniaziewiczowi i Dąbrowskiemu utworzenia jazdy polskiéj. Co gdy potwierdzenie jenerała naczelnego wodza Championeta zyskało, zaraz pierwszego dnia, na siodłach kirasyerskich wspomnionéj gwardyi stanęło 300 koni zdatnych do boju. Następnie zformowano pułk 1200 koni liczący, ubrany na wzór dawnéj kawaleryi narodo-

wéj w granatowych mundurach z karmazynowemi wyłogami ze srebrem pod dowództwem jenerała Karwowskiego, który piękną postawą i wyćwiczeniem w obrotach wojennych równie Francuzów jak i Włochów zadziwiał, niemogących pojąć jak się mogła jazda w tak krótkim czasie tak wydoskonalić, a niewiedzących że to byli wszystko stare wiarusy co nie jedną wojnę odbyli. — Szefowie szwadronu byli Eliasz Tremo i Biernacki, kapitanowie: Pągowski — Kapica — Jabłonowski Stanisław, Przyszychowski, Berko, Brzechwa, Wiener. — Porucznicy: Kosiński, Szawliński, Wilczyński, Żukowski, Jacewski, Wessel, Kochański, Żebrowski, dwóch Szulców. — Atoli początek dla tego pułku nie był pomyślnym, bo oddział z kilkudziesiąt ludzi z Eliaszem Tremon w Sessa 9go stycznia 1799 roku w nocy przez brygantów napadnięty, został wyrznięty — a w bitwie pod Trata 25 marca porucznik Wessel otoczony z 20 ludźmi nadaremnie przerznąć się usiłował, poległ sam a żołnierzy sześciu tylko zdołało się z pułkiem połączyć. — Tamże poległ urzędnik zdrowia Retter, a rany ciężkie kapitan Kosiński i Kochański ponieśli. — Jacewski porucznik zamknięty w wieży przez trzy dni o głodzie wytrwawszy, licznym się brygantom obronił. — W Sessa postępek jenerała Championeta z Faypulem komisarzem rządowym przysłanym przez dyrektoryat, sprowadził odjęcie mu dowództwa armii neapolitańskiéj a oddanie jéj Macdonaldowi. Z żalem polacy dowiedzieli się o téj zmianie, bo Championet był im bardzo przychylnym, w każdéj chwili dawał tego niezaprzeczone dowody.

Rok 1799.

Jednak pomimo wszelkich w południowéj części półwyspu odniesionych korzyści, w stronie północnéj i w środku Europy, sprawy wojenne wzięły postać odmienną. 1799 13 marca wypowiedziano wojnę Austryi. Rosya szła jéj w pomoc.— Przegrana bitwa przez jenerała Szerer przy Magnano, zmusiła do odwołania armii Macdonalda z Neapolu.— Wycofanie się przez całą długość półwyspu Włoskiego było trudnem do wykonania zadaniem. Uskutecznił to zręcznie i z niezwykłą biegłością Macdonald: ten jego odwrót porównany jest z odwrotem 10,000 Greków Xenofonta lub z odwrotem marszałka Belle Isle 1742 od Pragi, które w dziejach wojennych są więcéj jak zwycięztwa cenione. W ciągu tego pułk ułanów polskich torował armii drogę do Lombardyi i osłaniał skrzydła od napadających z boków Brygantów. — Przy końcu téj rejterady jenerał Dąbrowski zaczął popierać myśl stale powziętą aby połączywszy wszystkie wojsko polskie obydwóch legij artyleryą i jazdę, udać się do kraju. Już nawet w tym kierunku jazdę od armii neapolitańskiéj do armii włoskiéj posunął; i sformowawszy bataliony grenadyerów i strzelców, wszystkie oddziały ile mógł do jednego punktu zgromadzał. — Ale bitwa pod Weroną te zamiary zniszczyła.

Po oddaleniu Scherera od armii włoskiéj, jenerał Moreau objął dowództwo, ale ten wódz niemógł utrzymać nad Adygą stanowisk, opuścił nawet Medyolan i starał się nad Mincio usadowić. — Armia austryacka w trójnasób liczbą przenosiła francuzką, a tu trzeba było i linią operacyjną utrzymać, armią Macdonalda ocalić i z nią się połączyć. Wszyscy Polacy należący do téj armii zeszli się w Terracina, 3go maja 1799 weszli znowu do Rzymu, 10 t. m. przybyli do Perugii gdzie

pułkownik Chamand z zakładem zostawionym w Ankonie zaszedł im drogę.— Przywiózł nowe mundury i czapraki dla jazdy. 12go opuścili Perugię; po drodze zajęli po zaciętéj walce Cortonę, w całym ciągu tego marszu trzeba było staczać bitwy z uzbrojoną ludnością górali Apenińskich; szwadrony jazdy, bataliony piechoty następnie się luzowały; od rana do nocy trwał bój bezprzestanny, szturmem wzięto Castiglione, Fiorentino, Arezzo gdzie poległ pułkownik Chamand. 17go weszli Polacy do Florencyi. Po jednodziennym spoczynku, jenerał Dąbrowski zajął pobrzeża gór Apeninu, zostawiwszy rezerwę z Francuzów i części jazdy polskiéj pod dowództwem jenerała Karwowskiego w Lucce, z resztą jazdy udał się do Sarzano. Następnie wyparł nieprzyjaciół z Auli, z Villafranca, Felatiera, Pontremoli, Monte Sungo, Sasalbo, Calagna biorąc zawsze jeńców. Aż do brzegów rzeki Secchia, tem działaniem otworzył związek armii neapolitańskiéj z armią włoską. A Macdonald w celu odcięcia armii austryackiéj Kraya od armii rosyjskiéj Suworowa, rzucił się z całą siłą na Reggio, i stanął na drodze do Parmy wiodącéj.

14go legia polska zajęła Parmę. 15go Placencyą — tam dwa szwadrony jazdy polskiéj oddzielone zostały do dywizyi jenerała Montricharda.— W dniach 15, 17 i 19 czerwca walczyły zawzięcie dwie armie na płaszczyznach nad rzeką Trebią. Dziwili się bardzo Francuzi że jazda polska tak sobie lekko ważyła kozaków których oni najdzielniejszą kawaleryą być mniemali, poznali ich słabość gdy jeden szwadron polski cały pułk pędził przed sobą. Jednak pomimo całego męztwa, poświęceń nadludzkich wysileń tak Polaków jak Francuzów, musiał Macdonald opuścić pole bitwy, bo jenerał Moreau zawsze powolny w swych poruszeniach, zasłaniając Genuę nieprzyszedł jednocześnie atakować prawe skrzydło nieprzyjacielskie, coby było niechybnie na stronę

francuzką przechyliło zwycięztwo.— Jenerał Dąbrowski z jednym batalionem piechoty i ułanami w d. 15 zdobył Guzzolo; w tem natarciu wpadł w ręce dragonów austryackich i kozaków, ale go szef szwadronu Biernacki i Potrykowski kapitan z rąk nieprzyjacielskich odbili. — 19go bój nieustawał: ułany ustawicznie szarże pomimo rowów ten kraj przerzynających powtarzali. — Przeszło tysiąc Polaków w téj walce poległo — armia byłaby straciła cały park artyleryi, gdyby nie był przez legią polską i ułanów ocalony.— Jenerał Dumas w swoich rocznikach wojen włoskich przypisuje niepospolite talenta jenerałowi Suworowi, robi uwagę że są punkta gdzie dwa wojska przeciwne, walczące z sobą muszą się koniecznie spotkać i stoczyć bitwę. Takim punktem być mieni płaszczyznę nad Trebią i dowodzi że na tych polach od czasu Maryusza zawsze się wielkie bitwy staczały — że błędy dowódzców były przyczyną przegranéj, a że Suworów tych błędów uniknął.

Dnia 20 legia polska i ułany udali się do Sangiorgio nad rzeką Nura. 21go zajęli Borgo San Domingo, 22go Reggio, a 25go Fivizzano. Pułk jazdy odłączył się i poszedł do Massa Carrara, gdzie się wzmocnił oddziałem co się był w Luce z Jenerałem Karwowskim jako rezerwa pozostał. Po téj nieszczęsnéj bitwie resztki armii neapolitańskiéj usunęły się w góry Apenińskie, ograniczając się na utrzymaniu linii obronnéj.— Ciężki głód tak oficerów jako i żołnierzy srodze uciskał, na całą racyą żywności dziennie po 7 kasztanów dostawali.— Ojcowie Darowski pułkownik i Emeryk kapitan, aby ocalić życie swych synów oddając im swe racye sami z głodu pomarli. — Z tem wszystkiem rok 1799 pomyślniéj się dla oręża francuzkiego zakończył. — Massena pod Zurych zniósł armią Korsakowa a Suworów w Alpach stracił urok niezwyciężoności jaką mu przypisywano. W Holandyi wojskom sprzymierzonym

Anglo-rosyjskim nielepiéj się powiodło, a Bonaparte wrócił z Egiptu. W dniu 21 Lipca cała legia polska przybyła do Sarzano zkąd poszła nad brzegiem morza do Genui. — Tam pozostał pułk jazdy oprócz jednego szwadronu stojącego w Cosella. — W Nicei zgromadzały się zakłady, gdzie kapitan Potrykowski zakładem jazdy dowodził. Rozesłano oficerów w głąb Francyi do dépôt jeńców wojennych, co w krótce tak zkompletowało 1szą legią że mogła czynnie na linią bojową wystąpić. — W czasie bitwy pod Novi gdzie poległ jenerał Joubert, jenerał Dąbrowski z piechotą i bagnetem zdobył Arquata i Rigoroso, a jazda Voltri Massone, następnie Mulane i Cranolino opanowała, zawsze jeńców, bagaże, i żywność na nieprzyjacielu zyskując. Jednak żołnierz polski cierpiał nie do opisania nędzę dla braku obuwia, bielizny a często i żywności, którą tylko miał wtedy gdy ją sobie na nieprzyjacielu wywalczył.

Nowo zaciężni co chwila z zakładów przybywali. — 25go Września piechota polska zajmowała cieśniny Sassello, Ponzone i Squanello — a jazda Moglio. — 4go października połączone korpusy jazda i piechota przeszedłszy Voltri, zajęły Conegliano dla osłonięcia Genui — jenerał Dąbrowski wypędził nieprzyjaciela z Novi, co arcy korzystny wpływ na dalsze działania wojenne wywarło. Tam się 1szy szwadron ułanów nader chwalebnie odznaczył. — Jenerał Saint Cyr objął dowództwo prawego skrzydła armii włoskiéj. Pod jego rozkazami Polacy wyparowali nieprzyjaciela z Pozzolo. 24 października pod Bosco wzięli sześć dział, przeszło tysiąc niewolnika ale w tem spotkaniu 2gi batalion dużo ucierpiał. Jenerał Jabłonowski oblegał Serravalle. — 6go Listopada armija zajmując też same stanowiska pod Novi, co i w téj pierwszéj bitwie w któréj jenerał Joubert poległ, stoczyła nową powtórną walkę, ale ta przegraną nie była; owszem stracił nieprzyjaciel wszystkie swe

działa, amunicye, bagaże, mnóstwo jeńców, a cofając się pośpiesznie póty przez jazdę polską i francuzką był ścigany, póki ciemność nocy koniec bojowi niepołożyła.

Cały miesiąc listopad Polacy bronili wstępu do gór Apeninów, ale z początkiem grudnia takie spadły śniegi że zmuszeni byli to stanowisko opuścić. Piechota Ronciglione i Campo freddo a jazda Voltri zajęła. W tych ustawicznych walkach wiele legia polska tak ludzi jak i koni straciła, w pułku jazdy zaledwo sto koni zdatnych do służby pozostało a zakłady w Nicei i w Villafranca będące same w nędznym stanie nie mogły posiłków dostarczać.— Działo się to wtedy gdy Napoleon Bonaparte w Egipcie nowe dla wojsk francuzkich zbierał wawrzyny; — za jego powrotem do Francyi gdy został konsulem, cieszył się że dzieło którego był twórcą tak błogie wydało owoce, oceniał znamienite usługi jakie Polacy Francyi oddali.— Wydał dekret stanowiący nową organizacyą legionów na żołdzie francuzkim, — obejmujący że 1sza legia włoska ma się składać ze 7miu batalionów piechoty i jednego batalionu artyleryi.— Polacy mają używać prawa i dobrodziejstw jakie rząd francuzki swym obywatelom przyznaje; oficerowie i żołnierze przyjmowani będą w hotelu inwalidów; Marsylia na kompletowanie ubrania uekwipowanie i uzbrojenie jest przeznaczoną. Druga legia nadreńska ma się składać z czterech batalionów piechoty jednego pułku jazdy, ten z czterech szwadronów, ósméj kompanii i jednéj kompanii artyleryi konnéj. Dowódzcą téj legii jenerał brygady Kniaziewicz, adjutantem komendantem szefem sztabu Gawroński, szefem brygady Sokolnicki, szefowie batalionów Fiszer, Kralewski były jenerał w wojsku polskiem, Wasilewski i Drzewiecki. Dowódzcą jazdy szef brygady Wojciech Turski, szefowie szwadronu Zejdlitz i Rożniecki — kapitanowie: Ostrowski Jabłonowski Stanisław, Brzechwa, Kapica, Iliński, Berko, Pą-

gowski, Gilewski, Szawliński; porucznicy i podporucznicy: Czarnecki, adjutant major Kostanecki, Jacewski, Adamowski, Przyszychowski, Wiener, Szulców dwóch braci, Rybałtowski, Zakrzewski, Rojecki, Suchorzewski, Żebrowski, Wilczyński, Nikolai, Wiszniewski, Kosiński, Brodowicz, Żuchowski, Stokowski, Czachurski, Obuch, Waszczutyński, Belville kwatermistrz. Artyleryi konnéj dowódzcą kapitan Redel, porucznicy Fijałkowski i Tomaszewski. — Mundury legii tak piechoty jako jazdy i artyleryi kurtki krojem polskim, rajtuzy z lampasem i czapki — kolor granatowy z karmazynem, guziki i szlify złote.

Organizacya na sposób francuzki. Miejsce kompletowania i formowania Strasburg, zkąd ta legia nazwana nadreńską. Z końcem roku 1799 wyruszył regiment jazdy z Marsylii do miejsca przeznaczenia. Posłani oficerowie do Metz, do Nancy, do Lunevilu, do depozytów jeńców wojennych, a z Normandyi i Limuzyny dostawiono pięknych i dobrych koni.

Rok 1800.

Tym sposobem uzupełniona organizacya legii nadreńskiéj postawiła ją w możności uczestniczenia słynnéj kampanii z armią jenerała Moreau 1800 r. Wystąpiła legia z trzema batalionami piechoty z pułkiem jazdy 900 koni liczącym, i z kompanią artyleryi na linię bojową, a batalion 4ty pieszy jako zakład pod dowództwem szefa Grabskiego w Neubrisac pozostał. Nie jest moim zamiarem opisywać działania téj kampanii, którą uświetniły zwycięztwa nad rzekami Szerą, In, Lech, — pod Hohenlinden, Wasserburg, Lampach, Laufen, w których się szczególnie

pod dowództwem jenerała Kniaziewicza odznaczali Polacy. Wspomnę tylko o obrotach pułku jazdy o ile on w tych walkach uczestniczył, i o pojedyńczych czynach oficerów i żołnierzy co się osobistem męztwem i sławą okryli.

Pokój lunewilski zrządził przerwę w téj kampanii, ale się znowu 25go listopada (7 frimaire), IX roku Rzeczypospolitéj, kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły. Legia polska nadreńska należała do dywizyi jenerała Decan. Wiadomo że ta dywizya w bitwie pod Hohenlinden dnia 12go frimaira roku IX Rzpltéj, a 3go grudnia 1800 podług naszego kalendarza stoczonéj, los bitwy rozstrzygnęła. W przerzuceniu jéj od Ebersberg z traktu wiodącego do Wasserburg, na trakt od Munich do Hohenlinden, Haag i t. d. Jenerał Kniaziewicz był w awangardzie z pułkiem jazdy na czele, a sama tylko artylerya konna Redla zdołała się przez zawady leśne przedzierać, i wspierała tę śmiałą i niebezpieczną wyprawę. Co oswobodziło w smutnem znajdującą się położeniu brygadę jenerała Drouet, i napadając z tyłu nieprzyjaciela, gdy na niego Ney z przodu a Grouchy z boków uderzali, stanowczy mu cios zadało. Ułani nasi na flankierach oczyszczając drogę dywizyi, cuda waleczności dokazywali. Żołnierz Pawlikowski z kompanii 3éj zabrał w niewolę 57 żołnierzy piechotnych zabiwszy wprzód lancą kapitana i porucznika, a pomimo strzałów karabinowych wciąż się zwijając między niemi na koniu, koląc tych co mu się nawinęli, przymusił cały oddział do złożenia broni. Widział to z boku strzelec konny francuzki, przybył mu w pomoc, ale już wtedy gdy broń w kozły była złożoną. Prowadząc tych jeńców, spotkał jenerała naczelnie dowodzącego Moreau, a gdy mu ułańską francuzczyzną tłómaczył, któréj jenerał niemógł zrozumieć, wspomniony chasseur okoliczność całą opowiedział i zaświadczył, jako też zeznali sami jeńcy nieprzyjacielscy.

Zdziwiony jenerał chciał go mianować oficerem, alc Pawlikowski śmiało odrzekł: *ne sait lire, ne sait crire, ne peut oficier.* Chcąc go koniecznie wynagrodzić, ofiarował mu kiesę napełnioną luidorami, na to znów rzekł poczciwy ułan: *Les Polonais se battent pour l' honneur non pour l' argent.* Niemogąc sobie dać rady z wspaniałomyślnością ułana, zapisał jego imie i nazwisko w pugilaresie, umieścił go w rozkazie dziennym, sierżantem z podwójnym żołdem mianował, a późniéj przysłano Pawlikowskiemu karabinek honorowy, kształtu jak wszystkie karabinki szaserskie, z różnicą, że wszystkie okucia były srebrne nie mosiężne, i na nieco obszerniejszéj kolbie była owalna blacha srebrna, z laurem naokoło a w środku napis: *la Republique Française à son defanseur le citoyen Jean Pawlikowski chasseur de la Cavalerie polonaise qui à l' affaire*, du 12 frimaire l' an IX de la Republique a fait lui deuxieme 57 prisoniers de guerre. Drugi czyn niemniéj zadziwiający, żołnierza Trandowskiego z kompanii 6éj, kapitana Dalfusa, któren jenerała księcia Lichtensteina na czele swéj brygady stojącego, w skutku zakładu z kolegą swoim o halbę wina, wziął w niewolę i pomimo strzałów nieprzyjacielskich zmęczonego i zduszonego swemu kapitanowi przyprowadził. Także od tego księcia ani zegarka, ani kieski z dukatami Trandowski przyjąć niechciał, tylko prosił jako na pamiątkę o ostrogi. Ten jenerał zaraz był na słowo puszczony, a Polakom wziętego wprzódy pomiędzy Neckerą i Menem przez Austryaków, szefa batalionu Fiszera odesłano. Porucznik Kostanecki z ośmią ułanami zabrał 60 piechotnych i 6 dział. Pułk ten polski zamykając trójkąt, którym przy końcu bitwy armia austryacka otoczoną została, (pomimo zręcznego ale bezużytecznego manewru arcyksięcia Jana i jenerała Kraya, wystawiających całą swą jazdę na złamanie téj linii) uzupełnił zwycięztwo. Osiem tysięcy poległych, 12,000 jeńców, 37 dział,

300 wozów amunicyjnych zabranych nieprzyjacielowi były tego zwycięztwa owocem.

W tłumie 130,000 armii francuzkiéj znikała garstka kilku tysięcy Polaków, ale ileż tam poświęceń, ile dowodów osobistego męztwa można było naliczyć. Kochał żołnierz francuzki Polaków, bo widział ich walczących obok siebie z bohaterską odwagą. Kochał ich naród francuzki, bo słyszał od swych współbraci z boju do domowéj zagrody wracających, ile się w sprawie Francyi krwi polskiéj wylało, i jak kości tych odległych północy mieszkańców pomięszane z francuzkiemi na rozmaitych polach bielały. W dalszym ciągu kampanii przeszedł pułk jazdy przez rzekę In i Salze, w przedniéj straży, 14go grudnia pod Laufen, i posiłkował walczącego pod Salcburgiem jenerała Lecourbe, następnie 20go grudnia przebył Traunę zmierzając ku Steier dla przeprawienia się za Ensę. Ale 25go grudnia zawarte zostało zawieszenie broni prawie pod murami Wiednia. Wojsko rozeszło się na zimowe leże po wyższéj Austryi, w Steiermark, w salcburskim, póki traktat w Lunewilu 9go lutego 1801 roku nie został podpisany i ogłoszony.

Rok 1801.

Traktat ten Francuzów i Niemców mocno ucieszył, Polaków niedotyczył wcale. Oficerowie tłumnie zaczęli żądać dymisyi: jenerał Kniaziewicz, szef brygady Fiszer, szef brygady jazdy Wojciech Turski, szefowie batalionu: Drzewiecki, Wasilewski, Kralewski, kapitan Stokowski; z piechoty: Ostrowski, Kapica, Pągowski; z jazdy Redel dowódzca artyleryi, kapitanowie opuścili służbę zniechęceni

z rozczulonem sercem do kraju wrócili. Pułk jazdy odebrał rozkaz udać się do Toskanii przez Genewę, Chambery, górę Cenis, Medyolan, Placencyę, Parmę, Reggio, Modenę, Bolognę, daléj w Apeninach przez Loiano i Barberino do Florencyi. Stanął w tem mieście z początkiem kwietnia w nieco wytartych mundurach, ale dobrze uzbrojony, musztrowny i pięknéj postawy, silny przeszło 900 koni i ludzi. Na miejsce ubyłych weszło do pułku kilku oficerów, między innemi Czapliński i Dobiecki, ostatni na miejsce Suchorzewskiego co do kraju odjechał. Rożniecki został szefem brygady, Stanisław Jabłonowski szefem szwadronu, te wszystkie nominacye podpisane były przez jenerała en chef armii włoskiéj obserwacyjnéj Murata daty dnia 7go Thermidor roku IX Rzpltéj, do którego korpusu należeć zaczęła cała legia naddunajska, a téj dowództwo objął jenerał *Władysław Jabłonowski współuczeń w Brienne 1go konsula Bonapartego*, na kulach chodzący ale jeszcze dzielny na koniu, i znany z męztwa i odwagi i talentów wojskowych. Następnie przybyła do Florencyi i artylerya, piechota która się batalionami po Toskanii, w Siennie, Pizie i Lucca rozłożyła. Pułk jazdy miał bardzo ozdobne i wygodne koszary Al Anunciata we Florencyi. Oficerów w pierwszych domach magnackich w przepysznych apartamentach pomieszczono. Jenerał en chef często musztry i rewie odbywał z pułkiem, na które przybywała w eleganckim paryzkim kabriolecie żona jego, siostra 1go konsula, i grzeczności uprzejme w czasie chwilowego spoczynku oficerom prawiła. Nie ledwie cała ludność Florencyi zbiegała się dla widzenia manewrujących ułanów polskich na Prato; obroty szykowne w szeregach pik z chorągiewkami trzechkolorowemi, nowy dla Włochów i przecudny przedstawiały widok.

Niespodziewane zjawienie się królestwa Etruryi na horyzoncie politycznym, zdziwiło całą Europę, trudno

było pojąć, aby rząd konsularny powstały z rewolucyjnéj rzeczypospolitéj demokratycznéj, mógł królów i królestwa stanowić, prawdziwa anomalia, niejako próbka Bonapartego 1go konsula, jak ludy przyjmą tę zmianę systematu.

Jeszcze więcéj byliśmy zadziwieni, gdy nasz pułk jazdy polskiéj otrzymał rozkaz eskortowania nowego tego monarchę od granic jego państwa do stolicy, i oddawania mu zwyczajnych przy takich uroczystościach honorów. Sam jenerał en chef Murat z całym swoim świetnym sztabem wyjechał naprzeciw króla, a porucznik *Obuch Waszczutyński* *) eskortował go od Barberino do Florencyi z oddziałem; podporucznik Dobiecki przeznaczony był przestrzegać na pokojach pałacu Pitti spokojności i porządku. Przybył król Ludwik II z królową w ogromnéj karecie ośmią końmi niesfornie zaprzężonemi ciągniony. Ta twarz żółta, bez żadnego wyrazu, z oczami osłupiałemi, chuda, nędzna, chorobliwa, w ubiorze niby wojskowym, granatowem z ponsowemi wyłogami, dziwnie skrojonemi, szczególnie odbijała od ślicznéj eleganckiéj postaci Murata. Jak sam król tak i królowa i cały dwór miał na sobie cechę znękania, opuszczenia, smutku i braku piękna; tak jenerał francuzki, jego żona i wszyscy co ich otaczali wyobrażali postacie piękne, hoże, pełne życia, wesołości, i w najwyższym stopniu gustu i elegancyi. Celował piękną urodą dziś jenerał, wówczas adjutant jenerała Murata Excelmans. Najmocniéj odbijała ta różnica, gdy się te obydwie postacie na teatrze Cocomero razem w loży licznie zgromadzonéj publiczności okazały. W podobnych zdarzeniach królowie bywają uprzejmi, hojni, obsypują przyjmujących podarunkami i grzecznością. Królestwo Etruryi dalekiemi byli od tego, nawet do nikogo słowa nieprzemówili. Napró-

---

*) Czy nie Wasiutyński? (Przyp. wydawcy.)

żno się Murat silił na uprzejmość, niemógł żadnego wyrazu odpowiedzi wyciągnąć. Jedna tylko istota zwróciła uwagę i ciekawości uczucie w królowéj obudziła. Ognista, lubo na pozór zimna kastylianka zauważała porucznika naszych ułanów, *Czachurskiego*, ślicznéj wprawdzie urody młodzieńca. Ale ten olśniony nadspodziewanem szczęściem, i służby i innych obowiązków zaniedbał, nieroztropnie naraził się na różne nieprzyjemności, i bardzo niechlubnie i niekorzystnie służbę zakończył, niewiadomo nawet gdzie się podział, może nawet od włoskiéj zemsty sztyletów, życia postradał.

Rok 1802.

Po wprowadzeniu na tron najjaśniejszych państwa odebrał pułk rozkaz udania się na zimowe leże do Pizy, tam przybył do nas jenerał Salicetti z propozycyą od rządu francuzkiego, abyśmy przeszli na żołd nowego króla Etruryi. Z oburzeniem przyjęliśmy to oświadczenie dowodzące, że to był skutek tajemnych artykułów traktatu lunewilskiego, aby nas z pod opieki rządu francuzkiego usunąć, było to znowu powtórne ratyfikowanie dawniejszych traktatów. Jednak chcąc Salicetti pokazać że jako pełnomocnik nie na próżno się trudził, zwinął artyleryę i do pułku ułanów wcielił. Też same propozycye zrobiono piechocie, przysłano jéj nawet pułkownika Francuza Bernard na dowódzcę, a gdy cała legia jednomyślnie odmowną dała odpowiedź, w San Domingo zgon znalazła.

Pułk ułanów z końcem marca 1802 roku opuściwszy przyjemny garnizon w Pizie, odebrał rozkaz udać się do Lombardyi, przez Florencyę, Firenzola, Barberino, Bolo

gnią, spoczął czas niejaki w Modenie, gdzie pułkownik 1széj półbrygady strzelców pieszych cysalpińskich *Fontanna* oficerów świetnemi balami w pałacu księcia Modeny zabawiał, a żołnierze 4go pułku liniowego kłótliwe Włochy, ciężkie boje z ułanami staczali po ulicach. Późniéj udaliśmy się przez Reggio do Parmy, gdzie nas książę panujący ojciec króla Etruryi gościnnie przyjmował. Dowódzca pułku *szef brygady Rożniecki* pojechał do Medyolanu upominać się o żołd zaległy, którýśmy rzadko kiedy odbierali, i względem przejścia pułku w służbę Rzeczypospolitéj Cysalpińskiéj. Prowadził pułk szef szwadronu *Seidlitz*. Tam w Parmie zastaliśmy expedycyą od ministra wojny, z załączeniem w pakach czterech sztandarów *ręką żony 1go konsula uszytych.* Sztandary te były bogate i ozdobne, z herbami polskiemi i kolorami narodowemi, ale pocóż nam było dawać te oznaki, skoro nas chciano do służby cysalpińskiéj przynaglić, było to niejako zapowiedzenie, że nas Francya niezupełnie się wyrzeka, i gdy nas potrzebować będzie to nas znowu powoła. Posłał zaraz dowódzca pułku do ambasadora Rzeczypospolitéj francuzkiéj sławnego dyplomaty Moreau, zostającego przy dworze parmeńskim porucznika *Dobieckiego* zapraszając aby raczył obecnością swoją uświetnić uroczystość oddania tych sztandarów i sam je wręczył pułkowi.

Z francuzką grzecznością przyjął ambasador zaprosiny, i nazajutrz rano na placu przed pałacem książęcym miał mowę do ustawionego w czworobok pułku, wspominając przeszłe chlubne czyny, zachęcał do wytrwałości i karności wojskowéj, któremi sobie mamy na względy rządu zasłużyć. Po odbytym obrzędzie i oddaniu honorów wojskowych ambasadorowi, pułk ruszył do Placencyi, a ztamtąd przez Casal Pusterlengo do Lodi. Tam już nam otwarcie proponowano przyjęcie służby cisalpińskiéj i grożono rozebraniem pułku szwadronami po

pułkach huzarskich. Różne były zdania oficerów, zniechęcenia, zawiedzione nadzieje wzbudzały cierpkość, ztąd wynikło kilka pojedynków z żalem tych co w téj służbie wróżyli doczekania lepszych czasów. Skończyło się jednak żeśmy przeszli w służbę Rzeczypospolitéj Cysalpińskiéj, z przeznaczeniem na garnizon do Carpi, gdzie zgon porucznika *Rojeckiego* i drugiego *Tomaszewskiego* co sobie wystrzałem z pistoletu życie odebrał, mocno nas kolegów zasmucił, był to skutek zwątpienia. Po dwumiesięcznym pobycie w Carpi przeniesiono nas do Vigevano, miasteczka niedaleko Tessyny leżącego. Staroświecki średnich wieków zamek przez Viscontych wystawiony, służył naszym żołnierzom za koszary. Z początku i oficerów w tem zamku pomieścić umeblowawszy kosztownie pokoje zamyślano, ale mnóstwo gadów, skorpionów, i innych robaków, i jednéj nocy spoczynku niedały. Przyczyną téj niedogodności było że pierwsza połowa miesiąca maja 1802 roku była nadzwyczaj zimna, mieszkańcy musieli *kokony* jedwabników w pokojach ogrzewanych zamykać, bo jak późniéj ciepła nastały, aż nadto się miejsca do pomieszczenia oficerów znalazło. Żołnierze tylko z końmi w zamku zostali, gdzie w starych podziemnych lochach (jak opowiadali), pokazywała im się zamurowana księżniczka, ta z jakiéjś szczególnéj ku hułanom życzliwości, zaprowadzała ich do zamożnych piwnic Ojców Bernardynów, którym w przeciągu trzech miesięcy 60 kuf wina znikło zupełnie, a tylko próżne kufy pozostały. Do *Vigevano* z rozkazu rządu przyjechali jenerałowie: Dąbrowski, Thulier jenerał piechoty, Campagnoli jenerał jazdy cysalpińskiéj, dla ocenienia zdolności tak w ogóle pułku, jako i po szczególe każdego oficera. Całodziennie pułk przed temi jenerałami manewrował, czasem oficerowie zdawali egzamin z teoryi; wypytywano się czy są jakie w korpusie stronnictwa, na co

rozsądniejsi odpowiadali, że mają tylko to że pułkownik rozkazuje, a wszyscy słuchać powinni. Codziennie bywały bale, to przez miasto, to przez oficerów, to znów przez jenerałów dawane. Na końcu nastąpiła niby to nowa organizacya: szef *Zeidlitz* przeszedł do korpusu weteranów, na miejsce jego przyszedł z piechoty *Jan Konopka*; kapitanowie: *Iliński*, *Brzechwa*, *Szawliński*, przeszli także jako i porucznicy: *Zaremba*, *Suchodolski*, *Wiszniewski* do piechoty, a na ich miejsce przybyli: *Tański*, *Skarżyński* porucznicy, a *Klicki* i *Lenkiewicz* kapitanowie, także wrócili z Polski, gdzie ich jakieś prześladowanie spotkało, kapitanowie *Redel* i *Pągowski* weszli napowrót do pułku.

Dostaliśmy nowe mundury granatowe z żółtem i ze srebrem kokardy trzykolorowe, z zielonym zamiast granatowego koloru, zresztą zostaliśmy przy dawnéj mustrze i organizacyi wewnętrznéj. Pułk nowo ubrany poszedł na garnizon do Medyolanu, gdzie w rozkosznem mieście i w ciągłych zabawach, na chwilę o nędzy i biedach obozowych zapomniał.

Traktat w Amiens 25go marca 1802 roku zakończył wszystkie wojny. W miesiącu maju 1802 otworzono w skutku uchwały senatu księgi, w których na czele było zapytanie: czy pierwszy konsul ma być dożywotnim? i czy ma prawo mianować po sobie następcę? Takowe księgi rozesłano nietylko do wszystkich władz i gmin po departamentach, ale i do wszystkich pułków jazdy i półbrygad piechoty; przyszła przeto i do nas takowa, i otrzymała jednogłośnie afirmacyę. Pułk się składał 1802 z oficerów i sztabs oficerów jak następuje: pułkownik dowódzca pułku *Rożniecki Aleksander*, szefowie szwadronów: *Stanisław Jabłonowski* i *Jan Konopka;* kapitanowie: *Pągowski*, *Redel*, *Klicki*, *Lenkiewicz*, *Berko*, *Brzechwa*, *Gilewski*, *Wiener*, *Szawliński*, *Jacewski*, *Dolfus*, *Kostanecki Adam*, *Belkowski* kwatermistrz. Porucznicy:

Tański, *Szmauch*, *Obuch*, *Szulc Jan*, *Szulc Józef*, *Hupet*, *Czapliński*, *Fijałkowski*, *Wiszniewski*; podporucznicy: *Rybałtowski*, *Wilczyński*, *Nikolai*, *Porzycki*, *Stokowski*, *Zaremba*, *Suchodolski*, *Dulfus Henryk*, *Dobiecki*, *Żuchowski*, *Puchalski* urzędnik zdrowia klasy 1, *Rerych* klasy 3.

Tak w wojsku francuzkiem jako i we włoskiem, i w naszem zaszły różne zmiany, zarzucono kalendarz republikański, wrócono do dawnego, przestano się mianować obywatelem, półbrygady nazwano regimentem lub pułkiem, a ich dowódzców pułkownikami.

Rok 1803, 1804 i 1805.

Pokój ten w Amiens z Anglikami zawarty nie trwał długo, jenerał Soult w skutku traktatu florenckiego z 28 marca 1801 r. ustąpił z Neapolu, ale kiedy warunki tych obydwóch traktatów niebyły dotrzymane, wrócił nazad do téj stolicy. Wszczął się na nowo pożar wojny. Neapolitańczycy zajęli część krajów papiezkich, i w 1803 zaszli do Sienny. Jenerał francuzki Duchesne mając tylko 3000 wojska wyruszył na ich spotkanie; jenerał Saint Cyr zebrawszy 12,000 Polaków i Francuzów w pomoc jenerałowi Soult do Neapolu pospieszał, w lipcu pułk ułanów już był przeszedł Rawennę w Pulyi w Abruzach, w księstwie Bari, zawsze pilnując brzegu, aby Anglicy nie lądowali i gromiąc bandy Brygantów. Sztab pułku nieco spóczął w tem miesiącu 1803 r. w miejscu nadmorskiem Trani, ale niebawnie musiał się znowu na nową włóczęgę gotować. Przebiegając w różnych kierunkach: Pulyą, Tarantyńskie, Kalabryę; odwiedzając Kosensę, Kanosę, Materę, Bari, Molo i inne miejsca. Gdy się zaczęła kam-

pania austerlicka, poszedł jenerał Saint Cyr z całym swym korpusem, w którem się i Polacy znajdowali, ku prawemu skrzydłu wielkiéj armii. W wenecyańskiem pod Castelfranco 24go listopada 1805 roku, korpus księcia de Rohan, z ośmiu tysięcy jazdy nieprzyjacielskiéj złożony, zajął cały w niewolę. Potrzebną była taka zdobycz osobliwie ułanom polskim, którzy w ciągłych marszach i bitwach wiele koni i ludzi natraciwszy, Polaków zwerbowawszy, w dobre konie niepoślednio się opatrzyli. Wróciliśmy znów w neapolitańskie, po pokoju preszburgskim, skończonéj kampanii; ale już z korpusem trzydziestotysięcznym, nad którym marszałek Massena objął dowództwo, i na tron neapolitański króla Józefa wprowadził. Całą służbę gwardyi i wszystkie parady odbywali Polacy. Pułkownika Rożnieckiego król Józef wielkim koniuszym mianował, to jednak nie przeszkadzało że byli w ustawicznych marszach, to nad brzegami morza Adryatyckiego, aby Anglicy nie lądowali, to w głąb neapolitańskiego państwa, oczyszczając kraj z brygantów, co się częstokroć pod samą stolicą zjawiali. Z jenerałem Duchesne w tym samym celu chodziliśmy już w r. 1806 około Civita-Vecchia, Corneto, Viterbo, 13go sierpnia byliśmy w Rzymie, i w rok dopiero w neapolitańskie jako do własnych kwater wrócili.

Rok 1806 i 1807.

Oręż zwycięzki cesarza Francuzów po bitwie pod Jena z Prusakami, zawiódł armię francuzką nad brzegi Wisły, wtedy pułk jazdy polskiej ułanów był w neapolitańskiem w Aversa, letniem mieszkaniu niegdyś króla neapolitańskiego Ferdynanda Igo. Król Józef chciał

Polaków u siebie na gwardye zatrzymać, ale chęć oglądania swego kraju, obudziła w oficerach i żołnierzach takie narzekanie, że musiał się na zostawieniu kilkunastu ochotników ograniczyć. Zostali porucznicy: Laville, Nikolai, Pechemik i Bus i nieco ułanów, po większéj części cudzoziemców co się przypadkowo do pułku wcisnęli.

Trzydziestego stycznia 1806 odebrał pułk rozkaz udania się do głównéj armii do Polski, i wysłania naprzód oficerów dla organizacyi nowych pułków tworzących się w tem kraju. Pojechali sztabsoficerowie pułkownik Rożniecki, szef szwadronu Konopka i Klicki, a na prowadzenie pułku przeznaczono z piechoty grosmajora Świderskiego, któremu służba jazdy zupełnie obcą była. Oficerowie Kostanecki Telesfor kapitan adjutant major, porucznicy, Ojrzanowski, Emeryk obydwa powrócili z San Domingo, Łaszewski i Dobiecki wprzódy będący w Polsce połączył się z niemi w Warszawie, a pułk etapami zwolna maszerował do Prus.

Rzeczeni oficerowie przybyli w miesiącu lutym do Warszawy, niezastali tam głównéj kwatery cesarskiéj, bo Cesarz Napoleon już 30go stycznia opuścił stolicę Polski. Prezentując się księciu Poniatowskiemu, jako wodzowi naczelnemu wojsk polskich i ministrowi wojny, byli od niego bardzo grzecznie przyjęci, ale miejsc sobie ofiarowanych przyjąć nie mogli, bo ich rozkaz brzmiał, aby się udali do głównéj kwatery cesarskiéj, tylko Rożniecki jako jenerał jazdy, Konopka jako grosmajor 1go pułku szasserów, pomieszczeni w tem wojsku zostali; książę Poniatowski kazał im wypłacić żołd miesięczny jako gratyfikacyę. Udali się w dalszą podróż do Osterody, przejeżdżając przez Najdenburg trafili na bitwę jenerała Zajączka z Rosyanami, pod Rudą i Walendorf, Wałami po polsku, w któréj to wsi chłopi zabili dzielnego oficera sztabu jenerała Nansuty Wojcikiewicza, krakowianina, za co tę wieś spalono. Prezento-

wali się ciż oficerowie jenerałowi Zajączkowi, przywitał ich niesfornym komplementem, że późno przyjechali że już place wszystkie zajęte, ale ci mu oświadczyli, że tylko przyszli oddać mu winne uszanowanie, i że jadą za rozkazem do głównéj kwatery cesarskiéj, i że mają stopnie w swoim pułku ułanów idącym teraz z Neapolu. Chcąc swą niegrzeczność naprawić, ofiarował im stopnie, i że napisze do majora wielkiéj armii książęcia Neufchatel, aby na tę tranzlokacyę zezwolił, i zaraz ofiarował Dobieckiemu szefostwo szwadronu, aleśmy sobie dali słowo aby się nieodstępować. Przybywszy do Osterody gdzie była główna kwatera cesarska, prezentowaliśmy się księciu de Berg Muratowi, ten nas cesarzowi przedstawił. Cesarz pytał każdego o nazwisko, z któréj części Polski jest rodem, jak dawno służy i o stopień, ale gdy przyszedł do Ojrzanowskiego i Emeryka, którzy jak się wyżéj wspomniało odbyli wyprawę z Leclerkiem w San Domingo, jakby smutnem wspomnieniem rażony spiesznie się od nich oddalił. Zapłacono tym oficerom żołd trzechmiesięczny, i po 700 fr. kosztów podróży. Nazajutrz proszeni byli do cesarza na obiad, gdzie zdawało się że zamiast wołowéj sztuki mięsa, kobyle mięso zastawiono na stole. Dostali przeznaczenie założenia (depots) zakładu dla pułku idącego z Neapolu, w Kaliszu, tam już niemało młodzieży wyższego stanu i usposobienia zaciągnęło się za prostych żołnierzy, którzy późniéj na sztabs oficerów dystyngwowanych powychodzili, pomiędzy temi pierwszy był Piotr Rogoyski, o którym nieraz będzie wzmianka w tem piśmie, a o którym jenerałowie francuzcy powiedzieli: „że równy jemu w męztwie być może“, odważniejszy nigdy.

W Kaliszu ten zakład niedługo pozostał, i przeniesiony został do Wrocławia, w tym czasie cesarz w głównéj kwaterze Finkenstein dnia 7go kwietnia wydał dekret obejmujący organizacyę legii nadwiślańskiéj; ta miała

się składać z trzech pułków piechoty i 1go pułku lancierów, nazwisko trafne, doskonale wyrażające broń do jakiéj należał, gdy go dotąd to ułanami, to szaserami to znów kawaleryą polską nazywano. Całéj legii dowódzcą przeznaczony jenerał brygady Grabiński, dowódzcy pułków piechoty: Chłopicki, Kąsinowski i Świderski. Lanciery niemieli jeszcze mianowanego pułkownika. Wrocław przeznaczony na miejsce formacyi tak piechoty jak kawaleryi. Administracya wojenna francuska dostała stosowne rozkazy, a rząd tymczasowy polski, o dostarczenie rekrutów polecenie otrzymał. Przyszedł nareszcie w miesiącu maju pułk maszerujący z Neapolu do Lignicy w Szląsku; tu trafił właśnie na chwilę, gdy książę Anhalt Ples połączywszy z twierdz kilka tysięcy piechoty, artyleryi i trzy szwadrony jazdy zrobił demonstracyę na Wrocław. Książę Hieronim Bonaparte brat cesarski dowodzący IXtym korpusem wielkiéj armii w Szląsku, stojący główną kwaterą w Frankenstein, wysłał dywizyę z Bawarczyków i Sasów złożoną na osłonienie Wrocławia, pod dowództwem jenerała Lefebre Desnouettes. Ten nieustraszony jenerał spotkał Prusaków pod Kunt, ale Sasy broń rzucili niechcąc się bić z Prusakami, których przed parą miesiącami byli towarzyszami broni; a Bawarczycy przemagającą siłą nieprzyjaciela rozproszeni zostali. Błąkał się jenerał po polach około traktu od Lignicy do Wrocławia prowadzącego szukając swoich rozbitków, gdy dostrzegł jadących spokojnie za kwaterami nic nie wiedzących o zaszłem zdarzeniu furyerów naszego pułku. Dotarł adjutant, a rozpoznawszy że to Polacy służby francuzkiéj, niemógł pojąć zkąd się wziął w tem miejscu pułk z Neapolu do Polski idący. I jenerał niemniéj był zdziwiony że to jest pułk kompletny, z 600 koni i ludzi składający się, doskonale umontowany i uzbrojony, ledwie pytając się pokilkakrotnie uwierzył. Uważając ten po-

silek jako od Boga na jego ratunek zesłany, dawszy się uznać kapitanowi Fijałkowskiemu dowodzącemu tym oddziałem, zwrócił go do Lignicy gdzie pułk nocował. Zatrąbiono na koń wśród nocy, zdziwieni oficerowie mniemali, że pożar w mieście, bo się sądzili być odległemi od linii bojowéj. Nowe zdziwienie jenerała, gdy pułk w siedm minut do frontu wystąpił, ruszył natychmiast pospiesznym marszem kłusem do Jauer, tu nieco spoczął, daléj doszedł nadedniem do punktu gdzie drogę od Lignicy w góry ku Silberberg droga od Wrocławia przecina. Właśnie Prusacy do téj krzyżówki domierzali. Lefevre Desnouettes dwom szwadronom, to jest 1mu i 3mu nakazał szarżę, a drugi na drogę aby odciąć nieprzyjacielowi odwrot, wysłał ku górom. Jenerał pruski nie stracił głowy, i pokazał że zna swoje rzemiosło, wystawił na swem prawem skrzydle na pagórku dwanaście armat, swą piechotę w kolumnę ściśniętą na szosie zatrzymał, a jeździe atakować rozkazał. Ale ani pierwszy szwadron huzarów tabaczkowych, ani drugi pięknych dragonów w błękitnych mundurach z różowemi wyłogami, ani nakoniec trzeci Bośniaków tak jak ułani w lancy uzbrojonych, natarcia Polaków wstrzymać niemogli. Rozbita uciekająca jazda pruska tłumnie wpadła na swą pięciotysięczną kolumnę piechoty, pozbawiła ją wszelkiéj obrony, i zasłoniła od strzałów armatnich dział na pozycyi stojących, które zrazu mocno naszym szeregom szkodzić poczęły. Przeszli ułani przez tę pokonaną rzucającą broń kolumnę, koląc opierających się, dając pardon jeńcom zabranym; ale gdy już ją wyminęli, Prusacy chwytali znowu za karabiny, i strzelali w plecy ułanom, wtedy odwróciwszy się ułani, niemało trupa położyli. Owocem tego zwycięztwa było 12 sztuk armat, tyleż wozów amunicyjnych, 4000 jeńców i wszystkie bagaże, oraz uwolnienie dwóch batalionów saskich, którzy dniem wprzódy

broń rzuciwszy zabranemi zostali, broń była na wozach więc ich zaraz do straży jeńców użyto. Książę Anhalt Pless rączości swego konia winien był ocalenie; rozprawa ta trwała krócéj niż na jéj opisanie czasu potrzeba. Jenerał Lefevre sam był na czele szwadronów szarżujących które kapitan Fortunet Skarzyński z męztwem i roztropnością prowadził, zginęło jednak kilkunastu ułanów, a oficerowie Szulc młodszy i Fijałkowski ciężkie rany ponieśli. Szczególnie oprócz tych się odznaczyli kapitanowie Stokowski i Hupet, porucznicy: Rybałtowski, Błoński, Dziurkiewicz i Leduchowski; z podoficerów wachmistrz Pruski i Skarzyński. Nieposiadał się z radości książę Hieronim Bonaparte dowiedziawszy się o tem zwycięztwie, które zatarło klęskę przez Bawarczyków poniesioną, dla tego też żadnéj nagrody Polacy nie otrzymali, bo te obydwie potyczki jednym objęte raportem, i bitwa pod Kunt była z tą ostatnią bitwą pod Strigau pomięszaną. Lubo żadne pismo, ani żaden rozkaz dzienny o tem nie wspomniał, Niemcy sami w piśmie peryodycznem w owym czasie we Wrocławiu wydawanem pod tytułem: *Vertraute Briefen* redakcyi Wernera, sprawiedliwość męztwu Polaków oddali, naganiając swemu jenerałowi, że się odważył walczyć z ludźmi których siła moralna do najwyższego stopnia wytężoną była, i ci co lat tyle błąkali się po obcéj ziemi, gdy swoją ze wzgórza Riesengebürge ujrzeli, niepodobna aby byli zwyciężonemi albo wstrzymanemi. Wprawdzie wypadek był szczególny, aby 300 jeźdźców pięciotysięczny korpus pokonało. Korzyści ztąd niemałe wynikły, bo załogi twierdz: Neisy, Glacu, Koźla, Silberberga znacznie zmniejszone, nieśmiały robić wycieczek, i skłonniejszemi były do rychłego poddania. Stanął pułk w Wrocławiu 13go maja po sto czternastu dniach marszu, to jest daty wyjścia z Neapolu; wchodził w tryumfie mając na czele działa zabrane, i jeńców sześć razy przenoszących

liczbę zwycięzców; przyłączyli się do téj uroczystości Bawarczycy i Sasi jakoby do walki pod Strigau należeli.

Książę Hieronim, jenerał Hedouville szef sztabu i mentor młodego księcia otoczeni świetnym sztabem, po większéj części z książąt niemieckich, z księcia Salm Salm Hohenzolern Hoechingen, z francuzkich oficerów, znakomitych uczonych, Pigault Lebrun i Bony de St. Vincent złożonego, przyjmowali pułk na placu musztry za Olawską bramą. Grosmajor Swiderski prowadził go, który lubo nie bardzo strojny i na znużonych koniach, wielce się wrocławskiéj ludności podobał. Oficerowie i żołnierze rozkwaterowani po mieście, żywieni byli kosztem mieszkańców, niebyło to jednak wielkim ciężarem dla miasta, bo rzemieślnicy i kupcy wielkie mieli zarobki, gdy wszystkie zakłady (depots) całéj wielkiéj armii koncentrowały się w Wrocławiu, i przez cały czas pobytu wojsk naszych w tem mieście, żadna zwada ani żadna skarga miejsca nie miały. Rozkazy Cesarskie spiesznie z dokładnością wykonywano, dostaliśmy wkrótce ośmset rekrutów i tyleż koni bankier wrocławski Percz dostawił. Mundury, lederwerki, broń, osiodłanie i okiełzanie, nowe dostarczono; niezdatnych do służby odesłano do inwalidów i weteranów do Warszawy; to było szczególnością, że żołnierz Rosnowski, siwy staruszek, z dawnego wojska Rzeczypospolitéj Polskiéj, mający pierwszy numer matrykuły przy pierwszym zaciągu w Capuy, był jeszcze pod bronią obecny i udania się do weteranów odmówił, zostało się zawsze czterysta starych żołnierzy, którzy po kilka kampanij odbyli; z tych tedy i z wspomnionych nowozaciężnych sformował się pułk 1200 ludzi i koni mocny. Organizacya i ćwiczenie obok formującéj się także legii piechoty, w tem mieście spiesznie postępowała że już z końcem maja Grosmajor Klicki z dwoma szwadronami do obozu pod Fran-

kensztein wystąpił. Zaczęto Glac ściśléj obsaczać, posypano szańce oblężnicze, sprowadzono ciężkie działa z fortec wprzódy zajętych; postępowano podług wszelkich przepisów i reguł sztuki wojennéj, było to nauką praktyczną młodego księcia Hieronima. Zaraz dnia 1go kapitan Stokowski z flankierami zapędził wszystkich huzarów do twierdzy. Książę dowódzca naczelny, z eskortą ułanów objechał w koło fortecę, zatrzymując się w miejscach gdzie zwracano jego uwagę, niezważając na strzały artyleryi pruskiéj ze wszystkich bateryi sypane. Dnia 10go czerwca w nocy Bawarczycy wzięli szturmem flesze daleko w pole wyciągniętą, 24 dział i 1000 jeńców zabrali. A polskiéj jazdy szwadrony, zostały w asekuracyi oblężniczych bateryj, póki noc panowała stali spokojnie, ale za nadejściem dnia, kilka godzin wytrzymali pociski bomb i granatów, które im nieprzyjaciel ze wszystkich dział z fortecy hojnie przysełał. Odbył młody żołnierz tę pierwszą próbę ognia, chrzest żołnierski, nie mięszał się, nie trwożył wcale, tylko ostre żarty starych wiarusów musiał znosić cierpliwie. Już wprzódy 1go czerwca poddała się Neisa, 18go t. m. Kozel, 23 Glac. Kierował temi wszystkiemi, biegły w sztuce zdobywania fortec jenerał Vandamme. Pozostała tylko twierdza Silberberg któréj położenie na spiczastéj skale, trudnem zajęcie czyniło. Pod Frankenstein naprzeciw twierdzy założono obóz, z którego codziennie robiliśmy patrole pod same jéj okopy. Dowódzca pruski zawsze nas ogniem armatnim ze wszystkich bateryj uszanował, co nas przekonywało, że się niebawnie podda, bo nieoszczędzał prochu i podwójnemi nabojami na niepodobną do wiary odległość, ścigał wystrzałami wracających do obozu ułanów. W jednej z takich wycieczek strzelcy pruscy zaczajeni w zbożu wysoko wyrosłem, naszego lekarza Rörich jadącego za oddziałem wzięli w niewolę.

Pokój tylżycki 7go lipca zawarty koniec wojnie położył, szwadrony z linii bojowéj wróciły do Wrocławia. Tam książę Hieronim oglądał cały pułk nowo ubrany, uzbrojony i umontowany 1200 ludzi wynoszący. Kazał utworzyć kompanię wyborczą z samych starych żołnierzy w bermycach, i na karych koniach z całego pułku wybranych. 15go lipca powracał Cesarz od wielkiéj armii, pułk go na drodze pod Neumark cały dzień oczekiwał, przybył dopiero w nocy, a że ta była ciemna, niewiele z odbytego przeglądu mógł odnieść korzyści. Pospieszył za Cesarzem książę Hieronim, eskortował go z oddziałem p. D. *) do Neumark, którego książę grzecznemi słowy pożegnał, oświadczając że pamięć pułku lancierów polskich nigdy w sercu jego nie wygaśnie.

Korpus IX został rozwiązany, na jego miejsce przybył do Szlązka korpus IV marszałka Masseny księcia d' Essling, którego nieobecność zastępował w dowództwie marszałek Mortier książę Trevizo. W tym czasie przybyło nam kilku oficerów: Zawadzki od pruskich czarnych huzarów, Wincenty Konopka, którego brat rodzony pułkownik w bitwie pod Friedland wziął w niewolę, i Trzebuchowski, aleśmy utracili ukochanego Emeryka, któren przeszedł na kapitana do 1go pułku piechoty.

Pokojem tylżyckim ustanowione zostało Księstwo Warszawskie, i oddane pod panowanie króla saskiego. Niezadowolniło to Polaków, a osobliwie legion nadwiślański, w którym się jeszcze niejeden oficer i żołnierz z legionów włoskich, nadreńskich i naddunajskich znajdował. Widzieli w tym kroku swe nadzieje zawiedzionemi, że Cesarz Napoleon nie postępuje szczerze, że się obawia obrazić gabinety petersburski i wiedeński; gdy nietylko nie naruszył terytoryum przez Rosyan Polsce zabrane, ale im oddał część na Prusach odzyskaną

*) Porucznik Dobiecki. (Przyp. wydawcy).

obwód białostocki, nawet ich pismo Kołłątaja *nil desperandum* w tym czasie wyszłe, niewiele pocieszyło.

Książe Józef Poniatowski wódz naczelny wojsk polskich i minister wojny, wracając z Drezna przez Wrocław gdzie jeździł z hołdem homagialnym królowi Saskiemu, zatrzymał się w tem mieście, zrobił przegląd naszego pułku i wszystkich oficerów w jędrnéj mowie grzecznemi słowy obsypał.— W parę dni późniéj Prezes rządu narodowego Stanisław Małachowski marszałek sejmu czteroletniego, także z téj saméj missyi wracając przez Wrocław, raczył przyjąć nocleg u jednego oficera hułanów brata szlachcica syna sąsiada w Polsce *) ale wszelkich honorów wojskowych odmówił.

Dla ćwiczenia się w mustrze, posłano nas do Neustadt nad granicę Morawii i Szląska austryackiego, gdzieśmy przez trzy miesiące pieszo lub konno, ucząc naszych rekrutów do wysokiego stopnia karności, porządku, dokładności w obrotach, użycia broni, konia i całéj szkoły jezdzieckiéj doprowadzić zdołali. Tam zapytywano się całéj legii i piechoty i jazdy: czy chcą pójść do Polski, czy też zostać nadal w służbie francuzkiéj? jednomyślnie w obydwóch korpusach oficerowie oświadczyli chęć udania się do kraju, ale pomimo tego, kazano nam iść do Westfalii gdzie się nowe królestwo dla księcia Hieronima tworzyło.— Ruszyliśmy więc z Neustadt przez Lignicę, Polkowic, Krosno, Frankfort nad Odrą, do Berlina; tam prezentując się marszałkowi Victor księciu Bellunne, ten nam oświadczył: że miłe mu wspomnienia Polaków, gdyż z ich uczestnictwem w końcu wieku przeszłego, odniósł pod Faenza nad morzem Adryatyckiem świetne nad zbuntowanemi Włochami zwycięztwo. — Daléj przez Brandeburg, Magdeburg, Getingę, Kassel, Paderborn, do Ossnabrück — z tamtąd oddzielono szwa-

*) Zdaje się że autor o sobie mówi. (Przyp. Wyd.)

dron trzeci do Friedor, miasteczka fabrycznego jak nasze Kielce. Tam się ten szwadron doczekał nowego króla Westfalskiego, ożenionego z królewną Wirtemberską. — Król Hieronim przenocowawszy w Wilhelmshöhe przezwanym Napoleonshöhe prześlicznem letniem mieszkaniu dawnych Landgrafów Hessenkasselskich, rano nazajutrz, wjazd swój do stolicy Cassel odprawił. — Pułk stał na drodze od Cassel a szwadron trzeci formował szpaler od rogatki do zamku w mieście. Magistrat wyszedł za obręb miasta z kluczami i mową króla powitał; nie widać atoli było ani zbiegowiska ludu, ani okrzyków radości; obrzęd się odbył cicho, spokojnie, co dowodziło że mieszkańcy nie byli z nowego rządu kontenci. — Już to trzeciego króla Polacy na tron wprowadzali. — Chciał ich król Westfalski na gwardyą u siebie zostawić, i ledwieśmy się od tego wymówili zaszczytu; zdziwieni Francuzi nie mogli pojąć że w sercach inna dążność nie osobiste widoki były pobudką służby Polaków Napoleonowi. — Jednak musieliśmy dać niby to ochotników, aż nareszcie gdy i tych zabrakło, kazano po kilkunastu ludzi z końmi od prawego skrzydła kompanii oddzielić na zakład gwardyi Westfalskiéj szwoleżerów i 2ch oficerów; poszedł do tejże gwardyi kapitan Szmauch i podpor. Czernicki, co późniéj pod Mozajskiem nogę od kuli armatnéj utracił. Szwadron 3ci musiał obchodzić całe królestwo jakby na pokazki, że nowy monarcha ma wojsko, był w Quackenbrück, Lübbeke, Herford — tam dnia jednego odebrał rozkaz aby jak najśpieszniéj przybywać do Bielefeld, od którego oddzielały Harzgebürge, a w tych ogromne śniegi upadły. Z wielkiem utrudzeniem przebył szwadron te góry, przyszedł do Bielefeld gdzie w okolicy mieli się chłopi zbuntować, zastał tam już jenerała Lefevre Desnouettes z piechotą i działami ale nieprzyjaciela nie było bo już przed flankierami kapitana Rybałtowskiego śpiesznie ra-

tował się ucieczką. — Po różnéj znów podobnéj włóczędze, w Bilefeld odebrał szwadron ten rozkaz maszerowania do Hanau gdzie się z pułkiem połączył.— Zastaliśmy tam marszałka Kelermana książęcia Valmy, któren z nami dni kilka musztry i manewry odbywał, i zapowiadał dowódzcom kompanii, że który dobrze lancę wyostrzyć każe, ten będzie miał zaszczyt z księżniczką córką jego tańcować, tymczasem do tego nieprzyszło bo balu żadnego niebyło i nawet księżniczki nie widzieliśmy wcale. Aleśmy dostali do pułku cały niedoszły pułk huzarów Kalinowskiego, z kompletem oficerów o co się niższych stopni oficerowie i podoficerowie mocno gniewali, dostaliśmy po kilkunastu ludzi i po tyleż koni. Pułkownik Kalinowski został adjutantem krola Hieronima,— oficerowie byli kapitanowie: Dąbrowski, Pruszak, Niezabitowski; Porucznicy: Pióro, Czarniecki, Snarski, Topolczani.

Następnie ruszyliśmy w marsz do Moguncyi, gdzie przeszedłszy Ren, weszliśmy w granicę Francyi, daléj idąc, przez Metz, Verdun, Chalons, Epernay, Chateau Thierry, zaszliśmy do Paryża. Szczególnem zjawiskiem było dla Paryżan przybycie hułanów polskich, zaraz nazajutrz sprzedawano po ulicach kopersztych wyobrażający cały pułk maszerujący szeregami, w którym każden oficer na czele szwadronu lub plutonu, swoje mógł podobieństwo rozpoznać. Wyjechał do nas komendant Paryża jenerał Hulin, potem minister wojny Clarke hrabia Hautebourg na plac marsowy. Po zwyczajnéj defiladzie i oddaniu honorów tak wysokim dygnitarzom, poszedł pułk z oficerami od służby do koszar Saint Maire, a pułkownik z resztą oficerów udał się do kanclerza legii honorowéj Lacepeda, któren nas grzecznościami obsypał. Po dwudniowym pobycie w tem nowem Babilonie, poszliśmy do Wersalu, gdzie przybył do nas inspektor jeneralny Lagrange d'Angerenville, pokrewny

księcia Neuchatelskiego; ten nam wiele dla pułku rekwizytów obiecywał ale się skończyło na 200 derach które nam późniéj dostarczono. Niedozwolono nam długo spoczywać, poszliśmy przez Mans, Alençone, Bordeau, Dax do Bayonny; pomiędzy Dax a tem miastem spotkaliśmy jadących króla starego Karola IV z królową hiszpańską w landau otwartem, ośmią mułami ciągnionych, exkortowanych przez żandarmeryą wyborczą; uszykowaliśmy się do frontu, oddaliśmy honory wojskowe należne królestwu, aleśmy żadnym sposobem rozróżnić nie mogli, która osoba była królem a która królową. — W Bajonie zastaliśmy cesarza Napoleona gdzieśmy 12 Maja stanęli. Po dwudniowym spoczynku, użytym na czyszczenie broni, lederwerków, koni, i ubrania i t. d. wystąpiliśmy w parku za Pałacem Marax gdzie Cesarz przegląd naszego pułku miał odbywać. Była to największa uroczystość wojskowa, bo wtedy przez ten sąd nieodwołalny, wszystkie łaski, nagrody, zachęcenia na żołnierzy podoficerów i oficerów spływały, lub też nagana okrywała ich wstydem i upokorzeniem. Wyjechał Cesarz przed front pułku, w mundurze piechoty liniowéj, w butach ze sztylpami, na ogromnéj klaczy kasztanowatéj normandzkiéj z bardzo krótkim ogonkiem z osiodłaniem i umunsztukowaniem ciężkiéj jazdy. Nic nie było widać w tym całym przyborze oznaków lekkiéj kawaleryi w które się zwyczajnie najjaśniejszy pan przystrajał, a to abyśmy jako mistrze téj broni niewypatrzyli jakiego artykułu coby ściągnął naszą naganę. Otworzyliśmy szeregi, pomiędzy któremi Cesarz przejechał, następnie po zamknięciu szeregów odłamywaliśmy się plutonami, kłusem defilowaliśmy o ile obszerność placu dozwoliła, a poformowawszy szwadrony, zrobiliśmy kolumnę ściśniętą i z téj przez obrót trzech szwadronów trzema i stanęliśmy całym pułkiem do frontu. Sokolem swojem okiem dostrzegł Cesarz nasze obroty trzema, gdyż wszystkie pułki

jazdy francuzkiéj czterema te poruszenia wykonywały. Wyrachował zaraz, że gdy jeden pieszy żołnierz ma za podstawę (basis) zupełny dwóch stóp czworobok, i na téj może wszelkie obroty w prawo i w lewo czy to w ściśniętéj kolumnie czy też w plutonach uskuteczniać, toż samo w jeździe gdy jest ta sama proporcya w trzech koniach mających rozmiar długości jednego, da się wykonać. Ale o tem niżéj mowa będzie. Kazał znów Cesarz otworzyć szeregi, zsiąść z koni i pułk cały w jeden szereg kompaniami ustawić. Oglądał, pytał o różne przedmioty żołnierzy, i pogniewawszy się że nie wszyscy mieli książeczki, będące najpierwszą zasadą całéj rachunkowości administracyi wojennéj, gdyż je nasze rekruty pogubiły. Odszedł od kompanii 5téj kapitana Stokowskiego i z miną zniecierpliwionego, obszedł szwadron z kompanii 2giéj i 6téj składający się, do szwadronu trzeciego powrócił. Przejrzawszy 3ci i 4ty szwadron — kazał wsiąść znowu na koń zaczął manewrować ale nie te manewra które są lekkiéj jazdy pod tytułem *reglement provisoire de dix sept maneuvres*, objęte, tylko zupełnie dla nas obce podług regulamentu piechoty. Szczęściem że pułkownik Konopka — Grosmajor Klicki i szef szwadronu Rutie służyli dawniéj w téj broni i rozumieli komendę — jednak nie zawsze mieli dość przytomności umysłu aby wszystko zastosować do pierwiastku proporcyi długości jednego do trzech szerokości koni, jak o tem wyżéj wzmiankę zrobiłem. Na próżno jenerałowie adjutanci niepojąwszy myśli cesarza powtarzali mu z żywością Sire! *Ce n'est pas dans le Reglement* on się tylko uśmiechał, odpowiadał im że drwi sobie z regulaminu a swoje robił.

Cesarzowa Józefina siedziała pod drzewami na krześle sama jedna, przypatrując się temu nowemu dla niéj widokowi. Flankiery o kilka kroków przed nią osadzając konie ze zręcznością robienia lancą jeden nad dru-

giego starali się popisywać. Celował flankier z 3ciéj kompanii Czarnecki co jabłka ciskał w powietrze i łapał je na grot — skończyła się rewia — cesarz zdawał się być zadowolonym, dał na pułk czterdzieści krzyżów legionu honorowego, wyznaczył pensye wysłużonym oficerom podoficerom i żołnierzom, pierwszemu kapitanowi Jacewskiemu, co jeszcze za konfederacyi Barskiéj pod Puławskim wojował. Poczem korpus oficerów do siebie na obiad zaprosił. Przy tym obiedzie prezydował marszałek dworu Duroc książe Friulu; posadzono Polaków tak aby każden miał po jednéj stronie damę a po drugiéj, jakiego wysokiego urzędnika — jednemu oficerowi wypadło mieć po lewéj ręce księżnę de la Rochefoucauld, damę honorową cesarzowéj, a niegdyś w téj saméj godności przy królowéj Maryi Antoinecie będącą, po drugiéj siedział ksiądz Pradt biskup Poitiers — i jałmużnik cesarski.— Pierwsza dama rozmowna, dowcipna starała się zabawiać młodego hułana, i bardzo zajmujące wprowadzała dyskursa, czem odpowiadała życzeniom cesarza ażeby głaskać i przychylność Polaków zyskiwać. — Przeciwnie biskup był ponury, milczący nawet na zapytania pół sylabami odpowiadał — jak się późniéj w piśmie o Hiszpanii wysłowił że był głęboko dotknięty Napoleona z królami hiszpańskiemi postępkiem. Stół był przepysznie zastawiony serwisem z porcelany Sewrskiéj, z których jeden Napoleon cesarzowi Alexandrowi darował, a drugi do swojego użytku zostawił. Nie jeden oficer wolałby był nie jeść lubo wybornych potraw a przypatrywać się prześliczym widokom Francyi na talerzach wyobrażonym, każden talerz miał 600 franków kosztować. Siedzieliśmy u stołu przy pałaszach ale swobodnie każden się z swoim pobocznikiem rozmową mógł zabawiać. Nazajutrz zaproszony był pułk cały przez gwardyą szwoleżerów Krasińskiego na ucztę, która miała miejsce dla oficerów w oranżeryi a dla podofi-

cerów i ułanów w ogrodzie, w aleach pod drzewami kasztanowemi; tam było hucznie, gwarno, wesoło; u stołu oficerskiego przy końcu obiadu otwarły się drzwiczki w szczycie oranżeryi będące i pokazał się Cesarz Napoleon, jakby w dyoramie. Porwawszy za kielichy zawołaliśmy: niech żyje Cesarz! a nasze hułany posłyszawszy oficerów okrzyki toż samo powtórzyli. Te oznaki były szczere, bośmy widzieli w Napoleonie ojca żołnierzy i w nim pokładaliśmy naszą całą nadzieję.

Rozkazał Cesarz aby oficerom podoficerom i żołnierzom flankierom dano karabinki; które oficerowie zaraz porzucili, bo oficer rzadko palnéj broni używa a ma nadto z żołnierzami aby ich pilnować by swą powinność pełnili, zajęcia.

Rok 1808.

Wypocząwszy należycie, uszanowani, uczęstowani, opuściliśmy Bajonę udając się przez *Pyrenee*, *Saint Jean Pied de Port*, *Roncevaux* do Pampeluny — stolicy królestwa Navarry. — Tam zastaliśmy jenerała Lefevre Desnouettes, co sobie zbierał korpus, z którym miał wkroczyć do Arragonii. — Ruszyliśmy w pierwszych dniach czerwca z batalionem 48go pułku piechoty liniowéj złożonego z samych starych żołnierzy, każden z trzema lub czterema szewronami. Pytaliśmy ich, gdzie się tak uchowali? bo po częstych bitwach Napoleona rzadko się widzieć takowych weteranów zdarzało; z dwoma batalionami marszowemi kompanią 37 lekkiego piechoty, jednym szwadronem 2go pułku strzelców konnych i z 4ma działami; nasz pułk landwerów szedł na czele, strzegł frontu i skrzydeł kolumny, był

bowiem najznaczniejszą częścią tego korpusu. 4go czerwca przyszliśmy spokojnie od nikogo niezaczepieni do Taffala o pięć mil hiszpańskich od Pampeluny, nazajutrz posunęliśmy się przez Olite do Coparisso gdzie znużeni marszem całodziennym przez wielki upał i używszy za obrok dla koni pszenicy, straciliśmy do ośmdziesiąt koni z ochwatu. 7go t. m. pułk przeprawiał się kompaniami na promie przez Ebro pomiędzy Tudellą a Valtierrą pod Urguadas, ale skoro się 1sza kompania przewiozła, zaraz cały obóz hiszpański zajmujący górę wyniosłą pierzchnął ku Tudelli a nam kociołki i garbanzos *) ugotowane pozostawił. Wyszliśmy na wspomnioną górę, kompania woltyżerów 37go lekkiego pułku spędzała zaczajonych po parowach gerilasów hiszpańskich. — Po prawéj stronie góry rozciągała się piękna płaszczyzna ograniczona z przodu parowami. Szef Kostanecki z jednym szwadronem przypuścił niby to atak na te parowy, Hiszpanie poczęli sypać rzęsisty ogień, a hułany niby to przestraszeni uciekać, wtedy hurmem wybiegają z parowów hiszpanie, wszędzie się nawet po górach otaczających Tudellę rozległ okrzyk: *Vitoria Vitoria*, aż tu szwadron Kostaneckiego staje, i robi obrot trzema w prawo w tył do frontu, i wszyscy hiszpanie, co tak żwawo z parowów wyskoczyli, od lancy polskiéj wykłóci zostali, mała ich tylko część ocalała. Następnie szwadrony na plac boju przybywały, aż się cały pułk zgromadził. Francuzi na lewem skrzydle zdobyli most na Ebro zajęli miasto, sześć dział z wozami amunicyjnemi. Jeńców nie wojskowych, wolno puszczano do domów, z zaleceniem aby się do wojny nie mięszali.

To była pierwsza próbka walki, która następnie tyle krwi polskiéj i francuzkiéj kosztowała. — Hiszpańskiego

---

*) Garbanzos, czyli Garvanzos, rodzaj grochu favorytalny u Hiszpanów, codzienna niemal ich potrawa. (Uwaga wydawcy).

wojska regularnego w téj bitwie nie było jak pięćset ludzi, pod dowództwem margrabiego de Lazan, ale powstańców uzbrojonych było na kilkanaście tysięcy; nasz zaś korpus trzech tysięcy nieprzenosił. Zdobycie Tudelli zapewniało nam komunikacyą z Pampeluną zkąd nam miały nadciągać posiłki, żywność i amunicya. 12go b. m. nadszedł pułk 1szy legii nadwislańskiéj piechoty i nieco Francuzów. Mieliśmy w pułku dzielnego oficera artyleryi konnéj kapitana Hupet *), któren jeszcze 1800 r. pod Hohenlinden świetnie się odznaczał i wiele podoficerów i żołnierzy z téjże broni z artyleryi dowództwa kapitana Redel. — Hupet zaimprowizował artyleryą konną i natychmiast ujrzeliśmy na bateryi cztery działa czynne pod Tudellą hiszpanom zabrane które późniéj pomnożone, nieocenione usługi, nie tylko pułkowi ale armii oddawały. Wracające patrole doniosły, że znaczny korpus hiszpanów drogą od Saragossy nadciąga i że obóz pod Mallen zakłada. Był to Palafox w 9,000 piechoty 300 jazdy z 12 działami. Tegoż samego dnia wyruszyliśmy z Tudelli i rzeczywiście zastaliśmy Hiszpanów na wzgórzach Mallen w bardzo korzystnem stanowisku, a że noc nadchodziła, sami stanęliśmy obozem na obszernéj płaszczyźnie nie daléj jak o sześćset kroków od nieprzyjaciela; 13go czerwca rano pułkownik Chłopicki na czele 1go pułku piechoty legii nadwiślańskiéj, w ramie broń mając, całym frontem z muzyką doboszami chorągwiami rozwiniętemi linią Hiszpanów na wzniosłem miejscu stojących atakował.— Wspaniały to był widok na któryśmy się ze wzgórza na lewem skrzydle Hiszpanów patrzyli. Ale ani bagne-

---

*) Zwykle był zwany Jupe, ale zdaje się że nazwisko jego prawdziwe było Hoppe czyli Hoppen i że był rodem ze Lwowa, oficer rzadkiéj dzielności. (Uwaga wydawcy).

tów piechoty, ani nas, nieprzyjaciel nie doczekał — wszyscy pierzchnęli, i w proch się przed naszemi flankierami rozsypali zostawiwszy pięć sztuk armat i tyleż wozów amunicyjnych. Poszedł cały pułk nasz w pogoń za nieprzyjacielem kłuli hułany aż do Ebro rozbitków, nawet za niemi, lubo bardzo niepotrzebnie wpław się za rzekę puścili; tam utonął porucznik Topolczani, kochany od kolegów młodzieniec, kilkunastu hułanów i jeden żołnierz 2go pułku szaserów francuzkich. Działa zabrane, posłużyły na powiększenie parku artyleryi kapitana Hupet. Pułk potem poszedł do Boquiniony i tam cały dzień spoczywaliśmy; nazajutrz piechota nowe pod Alagon otrzymała zwycięztwo. 15go ruszyliśmy ku Saragossie, tam cały pułk na wyścigi starał się dostać przeć nieprzyjaciela uchodzącego ku miastu. 3ci szwadron był przy kolumnie pułkownika Chłopickiego. — Dostawszy się na trakt od Madrytu idący, piechota udała się w lewo po nad miastem, szwadron zaś jazdy hułanów mając sobie dodane dwie kompanie francuzkie piechoty i dwa działa, miał rozkaz iść ulicą prowadzącą ku cytadeli. Pułkownik Robert z batalionem 48 pułku piechoty liniowéj wdarł się na Monte Torrero — szwadron 3ci z piechotą francuzką i dwoma działami doszedłszy na plac Carmen, zastał tam już Ambrożego Burakowskiego por. z woltyżerami z 1go pułku piechoty l. h. rannego stojącego i opartego o słup kamienny; w tem otworzyła się brama klasztoru Carmen i przywitano nas wystrzałem z działa kartaczowego. Natychmiast zatoczono nasze działa, pięć strzałów kanoniera Radwańskiego z komendy kapitana Hupet i dwa sierżanta artyleryi francuzkiéj, pobiły kanonierów hiszpańskich. Klasztor został opanowany, pomimo że się księża i lud tam będący po kurytarzach strzelając, dzielnie bronili. Jenerał Hubert z piechotą i plutonem jazdy, atak do cytadeli bezskutecznie przypuszczał — tam zginął kapitan grenadye-

rów Emeryk *) porucznik Mierzwiński podpor. lancierów Antoni Snarski, którego z pod saméj bramy twierdzy,

*) Emeryk kapitan był synem kapitana także Emeryka, któren w górach Apenińskich gdy tylko 7 kasztanów żołnierz czy oficer miał na racye żywności, chcąc syna płaczącego z głodu od śmierci uratować, swoje kasztany temuż synowi oddawał, i sam się głodem umorzył. Poszedł potem młody Emeryk z półbrygadą na San Domingo, z tamtąd 1805 wrócił, wszedł do jazdy lancierów jako porucznik, w Kalabryi złapał sławnego Briganta Michała Pozza czyli Fra Diavolo a nagrodę 2,000 dukatów odstąpił temu co go wskazał; 1806 roku.— Fra Diavolo, rodem był z Stri Terra di Lavoro nazywał się Michele Pezzo, był, w klasztorze skąd za złe sprawowanie wypędzony, kontrabandzistą rozbójnikiem, w Apeninach kilkakrotnie złapany i skazany na śmierć, następnie ułaskawiony. Mianowany był przez rząd angielski majorem, dowodził wszystkim ułaskawionym Brigantom, 1806 wyparty, ze Stri gdzie swą główną kwaterę założył wszedł do Kalabryi, jego banda została; sam się tułał, i wzięty przez aptekarczyka w Salerno. Anglicy upominali się o swego majora lecz minister Saliceti odpowiedział że żaden major angielski nieznajduje się między jeńcami wojennemi, jeśli idzie o zbrodniarza Michała Pezzo, ten już na mocy dawnych wyroków dnia wczorajszego powieszonym został.

Ujął go rzeczywiście w Salerno porucznik pułku legii włoskiéj Emeryk, któren idąc z patrolem zwyczajnym zaszedł rano przed wschodem słońca do tego miasta, znużony chciał się czem posilić, wskazano mu aptekę, zasztukano do niéj, aptekarczyk przyniósł mu kieliszek gorzkich preparatów. przed front żołnierzy stojących przy fontannie figurze jakiegoś świętego — pod którą stał człowiek zchorzały w łachmanach obdarty, gdy pił swój napój porucznik Emeryk, aptekarczyk spojrzał na rzeczonego w zalęknieniu nieboraka i rzekł: *Ecco il Fra Diavolo*, wzięto go więc bez czucia a wspaniałość porucznika Emeryka wszystkie nagrody wprzódy przed rząd ogłoszono ustąpiła aptekarczykowi któren dostał 2,000 lujdorów i stopień oficerski w wojsku. Tenże sam Emeryk roku 1807 przeszedł do 1go pułku piechoty na ówczas legii nadwiślańskiéj na kapitana i wchodząc do Saragossy 1808 na czele grenadyerów poległ śmiercią walecznych.

Miło nam jest podać wiadomości potomków te dwa heroiczne przykłady Emeryków ojcą i syna, których nazwisk lubo nieznajduję w żadnym herbarzu, śmiem, jednak przedstawić jako wzory szlachetności wojskowéj polskiéj. (Uwaga wydawcy).

z pośrodka ognia nieprzyjacielskiego wówczas podoficer Piotr Rogujski wyniósł na plecach, sądząc że tylko ranny ale ten zaraz życie zakończył. Już po zachodzie słońca przyjechał jenerał inżynieryi Lacoste i kazał 3mu szwadronowi łancierów zasłaniać rejteradę; była to przykra przeprawa bo ośmieleni mieszkańcy z ganków strzelać w kolumnę nieomieszkali, wiele nam koni pobili. Wyszliśmy nareszcie z miasta ulicą tak długą jak od Jerozolimskich rogatek do statuy króla Zygmunta w Warszawie, za most na kanale, tam już zmrok zapadł wszystko naraz stanęło; nareście i lanciery zsiedli z koni, każden zgłodzony i całodziennym bojem na wielkim upale znużony, usiadł na ziemię i mimowolnie zasnął; jenerał obok dobosza, żołnierz pod koniem, aż ich wschodzące słońce i zatrąbiona pobudka aryergardy zbudziła. — Gdyby byli wtedy hiszpanie w 300 ludzi na te śpiącą kolumnę natarli, mogli wielkie odnieść korzyści.— Ale i oni byli zmęczeni i radzili co daléj począć. — Nieudało się więc opanowanie cytadeli zwanéj Castel Aliaferia murowanéj jeszcze przez Maurów, co było istotnym celem wyprawy. Zajęła cała kolumna obóz pod klasztorem Mulviedro czekając na posiłki. Porucznik Dobiecki *) został ozdobiony krzyżem legionu honorowego za wzięte działo i zajęcie klasztoru Carmen, z poświęceniem osłaniania cofającéj się kolumny.— Dnia 21 przybył pułk 2gi piechoty legii nadwiślańskiéj pod dowództwem pułkownika Kąsinowskiego.— Niechcąc czasu próżnie trawić, wyprawiono pułkownika Chłopickiego do Epili, gdzie się jak najzaszczytniéj z włożonego posłannictwa wywiązał, ale to należy do działań piechoty legii nadwiślańskiéj, które nader umiejętnie ś. p. jenerał Mroziński wówczas kapitan opisał i drukiem w pamiętniku Warszawskim na rok 1819 w Tom. XIII ogłosił.— 24 t. m.

*) Autor. (Uwaga wydawcy).

przybyły jenerał dywizyi Verdier objął dowództwo wojska oblężniczego Sarragossy; przyszły znowu posiłki: Pułk 47my piechoty liniowéj, pułki 70—75go batalion gwardyi narodowéj, miasta Bordeaux i Portugalczycy, z temi jenerał Grandjean. — Jenerał hiszpański Versago znowu zbierał powstańców w okolicy Epili, Calatayud i pobliższych miejscach. Jenerał Lefevre zrobił przeciw niemu z pułkiem lancierów, 2gim pułkiem piechoty i kilku batalionami Francuzów do Epili wyprawę, ale Hiszpanie nie doczekali na téj pozycyi naszego ataku, poszliśmy za niemi do Almuniz ostatniéj wioski pod górami — a ztamtąd już w góry do Calatayud, ale i tam mały opór znaleźliśmy.— Hiszpanie bez wystrzału to miasto opuścili. — Biskup miejscowy z kluczami wyszedł za bramę powitać wojsko przychodzące. Dowódzca 3go szwadronu idący w przedniéj straży, zameldował te okoliczności jenerałowi Lefevre; ten przybywszy, zapewnił miastu spokojność byle dostarczyło wojsku potrzebnéj żywności i furażu, rozesłał na wszystkie strony patrole, i nie wchodząc do miasta, obóz przed bramami rozłożył. Pomiędzy rzeczonemi patrolami wysłanych było dwudziestu żołnierzy piechoty francuzkiéj z oficerem ku wsi Richle, a że ci na naznaczoną godzinę nie wrócili, więc jenerał Lefevre niespokojny o nich, wysłał szwadron 3ci lancierów aby się udał w tę stronę, i wywiedział co się stało z tym oddziałem. — Przybył na miejsce do wioski wspomniony szwadron, zastał tam mnogość prostego ludu na kiermasz czy na odpust zgromadzonego; wszyscy w świątecznych strojach spokojnie się lancierom przypatrywali. Na zapytanie czy tu byli Francuzi? i gdzie są? Wyrwał się jeden młody Hiszpan dający znak dowódzcy aby jechał za nim — wskazując na obszerne budynki gospodarskie. Ten jedzie za nim, Hiszpan otwiera wrota stodoły, aż

tu się przedstawia oczom jego okropny widok, wszyscy ci Francuzi leżeli na słomie z porozrzynanemi brzuchami. Zdumiony oficer wrócił do szwadronu, a nieco koniom wytchnąwszy, pomaszerował nazad zkąd przyszedł do obozu, i całą rzecz jenerałowi zameldował. Ten gniewem i rozpaczą uniesiony, wydaje rozkaz aby ten sam szwadron wrócił się do téj wioski otoczył ją, spalił, tak aby się żywa dusza z niéj nie wyratowała. — Ale gdy mu dowódzca przełożył że od rana do południa od Almuniz do Calatayud się z nieprzyjacielem ucierał, a teraz do obozu Rechle tam i nazad kilka mil zrobił, że ma mocno konie zmęczone; przywołał kapitana Stokowskiego z kompanią 5tą któren powyższy rozkaz sumiennie wykonał. Jednak podoficerowie Rogojski Piotr Korytowski nie jednéj nieszczęśliwéj ofierze a pewnie niewinnéj życie zachowali.

Po téj wyprawie wróciliśmy pod Saragossę. 27go czerwca w nocy przynoszą rozkaz do szwadronu 3go aby się udał pod komendę pułkownika Chłopickiego. O godzinie 2giéj rano zastajemy pułk 1szy piechoty L. NW. przy moście na kanale przerzynającym drogę od Madrytu — do boju w linii uszykowany. Jak się dowódzca szwadronu pułkownikowi Chłopickiemu zameldował, ten zalecił największą cichość, kazał jeździe zsiąść z koni, wraz z dowódzcą idąc wązką ścieżką pomiędzy oliwami nad samym kanałem, całemu oddziałowi rotami za sobą postępować. Szliśmy w największem milczeniu więcéj ćwierć mili polskiéj. Zdawało się że i konie pojmują niebezpieczeństwo tego przejścia; — bo zaraz po drugiéj stronie kanału rozłożony był obóz nieprzyjacielski i dokładnie słychać było ich chrapanie. A zbliżywszy się do płaszczyzny szepnął pułkownik Chłopicki dowódzcy jazdy aby się rzucił na prawo, tam się zformował, i osłaniał go z tyłu i z boku od prawego skrzydła. Rozpostarły się flankiery lancierów, spostrzegli we

mgle rannéj kolumnę wojska z góry postępującą. Gotował się szwadron do ataku póki nie przekonał się, że to był pułk nasz przeznaczony na zajęcie Monte Torero gdy go piechota zdobędzie. — Jakoż pułkownik Chłopicki z męztwem odwagą i roztropnością, ten zamiar uskutecznił; zdobył szańce broniące téj pozycyi i 6 armat; wiele Hiszpanów poległo, reszta do miasta uciekła. Mieliśmy wygodny obóz na Monte Torero, nawet dla koni porobiliśmy z tarcic zasłonę, którym już od upałów ustawicznych aż skóra pękała. Żaden jednak dzień nieminął aby jaki oddział lancierów nie potykał się z nieprzyjacielem. W jednéj z tych wypraw w góry kapitan Stokowski został ciężko w nogę ranionym i stracił kilkadziesiąt ludzi z piechoty francuzkiéj, których mu pod komendę oddano, i kilku lancierów. — 30go czerwca nadciągnął 3ci pułk piechoty legii nadwiślańskiéj pod dowództwem pułkownika Estko siostrzeńca naczelnika Kościuszki. 2go dnia miesiąca lipca przypuszczono ogólny atak na Sarragossę, zajęto klasztory Carmen, Kapucynów,— klasztor Świętego Józefa; pułk lancierów szedł kolumnami szwadronowemi w tylnéj straży i jako w murach niemógł być czynnym, te tylko oddziały co były na lewem brzegu Ebro użyte, spotykały się z nieprzyjacielem, licznych zdobyli niewolników nawet wyższych stopni oficerów. — Piechota polska znaczne straty poniosła,— Grosmajor Szott, podporucznik Zawadzki Stefan — kapitan Wysocki, porucznik i podporucznik Głowaczewscy bracia rodzeni, Por. Bartkowski — polegli. — Bój trwał nieustanny wewnątrz miasta, 10go w nocy szwadron 3ci odebrał rozkaz udania się do główněj kwatery do opactwa gdzie miał dalsze przeznaczenie otrzymać. — Temu szwadronowi dodano przewodnika aby go do przeprawy przez Ebro prowadził. Podeszliśmy prawym brzegiem rzeki aż pod same okopy nieprzyjacielskie, i tam w bród tę

rzekę ledwo do kolan końskich głęboką przebyliśmy, mając całą okolicę przeciwnego brzegu oczyścić. — Rozsypał dowódzca szwadronu flankierów którzy wkrótce donieśli, że nieprzyjaciel w sile w rowie usadowiony się znajduje, i że też flankiery przeskakując rów i Hiszpanów dowodnie się o tem przekonali.— Idącemu po prawem brzegu rzeki jenerałowi Rognat, oznajmił donośnym głosem dowódzca lancierów, że ma przed swoim frontem batalion nieprzyjacielskiéj piechoty w rowie ukryty — *Avancez toujours* odrzekł jenerał. Stosując się więc do rozkazu przyszedł stępo szwadron o dziesięć kroków od rowu, salvą całego batalionu gwardyi Valońskiéj więcéj tysiąca ludzi wynoszącego powitanym został — pomimo tego jednego tylko siwego konia z pod żołnierza Przybyłki ubito. A po siodło i munsztuk dowódzca kazał się wrócić żołnierzowi, co on bez żadnéj od Hiszpanów przeszkody uiścił. Niestrzelali więcéj Hiszpanie, a jenerał kazał zająć pozycyą na wzgórku o 500 kroków od nieprzyjaciela lancierom, oświadczając że woltyżerów w pomoc przyszle niebawnie.— Jakoż przepławiono dwie kompanie francuzkie i jednę polską z kapitanem Pietrasińskim. Trwał długo z obydwóch stron ogień rzęsisty, póki Polacy zaszedłszy w koniec rowu, nieprzyjaciela nie wyparowali.— Cofnęli się w nieładzie Hiszpanie do Alfocen, wioski na górze spalonéj, tam zatoczywszy cztery działa, cały dzień do szwadronu niezrobiwszy mu żadnéj szkody strzelali. Około godziny piątéj po południu, pod tą zasłoną ukończono most na Ebro — szwadron lancierów poszedł w tył na spoczynek i na karmienie koni i ludzi — a inny dragonów jego miejsce zastąpił; ale jeszcze Polacy trzechset kroków nieuszli, kiedy już siedem rot dragonów od kul armatnich zginęło. Przed samym zachodem słońca adjutant komendant Piré przeszedł most, z batalionem 3go pułku piechoty polskiéj i jednym 70go pułku piechoty linio-

wéj francuzkiéj; natarł na hiszpanów po rowach osiedzonych i pędził ich aż do wsi, tam się na wszystkie strony rozpierzchli — a jazda lancierów nadeszła, przebywszy trudne rowów przeprawy, dwa piękne działa zabrała, drugie zaś dwa uszły pogoni.— Nazajutrz jenerał Lefevre Desnouettes i Piré zrobili wyprawę ku Villa Major, przeszedłszy rzekę Galiego po lewym brzegu téj rzeki, pod Saragossę wrócili.

Na trakcie idącym od Barcelony przy moście na Galiego zostały 4ry kompanie lancierów z Grosmajorem Klickim. — Pięć kompanii piechoty z kapitanem Wasilewskim, a z ogólną Grosmajora od dragonów francuzkich Laclede komendą.— 23go lipca zrobił major Laclede rozpoznanie (reconnaisance) ku przedmieściowi Sarragossy na lewym brzegu rzeki leżącem z 3cim szwadronem lancierów na czele, i piechotą Wasilewskiego. Przeszedłszy most spalony na rzece Galiego, spotkał rekonesans hiszpański pułkownika Viana z szwadronem strzelców królewskich, Cazadores Reales, z jednem działem i batalionem piechoty w miejscu zwanem pod Gwiazdą *à l'étoile*. Lanciery bardzo rano jeszcze przed wschodem słońca, z niemałą trudnością przeprawili się przez Galiego, wszedłszy na szosę uformowali kolumnę plutonami, okrywając się na prawem skrzydle flankierami pod dowództwem podporucznika Tacher jakiegoś krewnego cesarzowéj Józefiny przysłanego umyślnie aby miał porę odznaczenia się i zasłużenia sobie wyższéj rangi; dodanego miał sobie na mentora wachmistrza Zbroińskiego.— Dali Hiszpanie do nas ognia z działa, ale kula przeszła górą nad naszemi głowami, powtórnie kartaczami ale i te tylko po lancach grzechotu narobiły. Nareszcie wysunął się ze strzelcami konnemi pułkownik Viana w towarzystwie opasłéj baby i księdza z krzyżem na koniu, strzelcy zaczęli strzelać z pistoletów i z karabinków, i śmiało nas zaatakowali ale od

naszych lanc i sam dowódzca zginął, i mała liczba jego ludzi uratowała się ucieczką — kanoniery z działem umykali ku Saragossie ale dopędzeni wraz z działem dostali się w nasze ręce. — Porucznik Tacher wyżéj wspomniony kulą ugodzony, w kilka godzin życie zakończył. — Śmierć jego gorzko wyrzucali, dowódzcy szwadronu 3go lancierów jenerałowie francuzscy, ustawicznie powtarzając co na to Cesarz powie? Kilku lancierów poległo, wachmistrz Zbroiński ranny, kulą na wylot przez piersi przestrzelony. Nadbiegł kapitan Wasilewski z woltyżerami aby lancierów od nadchodzącéj piechoty hiszpańskiéj chcącéj odbić działo zasłonić. — Wróciliśmy za Galiego z armatą, jeńcami i końmi zdobytemi.

W parę dni późniéj przybyli do naszego posterunku jenerałowie Lefevre, Habert i Piré z kilkoma batalionami piechoty i artyleryą, wysłali kapitana Hupet na rozpoznanie sił nieprzyjacielskich zbierających się na drodze ku Fuentes we wsi Ozera, nad szerokim wąwozem. Powróciwszy kapitan Hupet zdał raport, że przez rzeczony wąwoz jest most murowany ale zabarykadowany, za nim jest baterya ze siedmioma strzelnicami, ale armat w nich niema, i że tam kilka tysięcy Hiszpanów obozuje. Zostawiwszy majora Laclede na stanowisku nad Galiego, ruszyliśmy ku Fuentes, koło południa stanęliśmy pod wsią Peńa, tu w klasztorze jedli jenerałowie obiad, zaprosiwszy wszystkich dowódzców oddziałów i korpusów. Po obiedzie sprzątnięto nakrycie, jenerał Lefevre rzucił knedla mówiąc pójdziemy zaraz atakować nieprzyjaciela. Jenerał Habert wyda plan bitwy. Ten jenerał rzekł: mamy przed sobą szeroką płaszczyznę, po prawéj stronie drzewa oliwne ciągnące się aż do Ebro, po lewéj wysokie góry. Wszystkie grenadyery pójdą naprzód płaszczyzną, za niemi artylerya, a za temi jazda, fusiliery pójdą górami strzegąc się zbyt gre-

nadyerów wyprzedzać; woltyżery w téj saméj linii postępować będą oliwami i starać się będą lewe skrzydło nieprzyjaciela oskrzydlać. Gdy ten, o czem wątpić niemożna wyparty będzie z pozycyi, wtedy jazda wysunie się naprzód i zrobi swoją powinność. Z taką instrukcyą ruszyliśmy się wszyscy do swych oddziałów, uskuteczniając natychmiast ruch przepisany. Zbliżywszy się do wspomnionego wąwozu na strzał karabinowy, rozpoczął się rzęsisty ogień ze strony Hiszpanów, wielu Francuzów i z 3go pułku polskiego legło żołnierzy. Francuzi zaczęli wołać: *Cavalerie en avant*, aby ich zasłonić. Gros-major Klicki zakomenderował: formuj szwadrony, sformował się szwadron 3ci, major nieczekając ażby się następne poformowały, ruszył z tym na czele będącym galopem, zasłonił wprawdzie piechotę, ale wytrzymał cały rotowy ogień linii nieprzyjacielskiéj, i znalazł się o dwadzieścia kroków od bateryi nad parowem nie do przebycia. Ażeby ludzi nie tracić próżnie, zakomenderował dowódzca szwadronu trzema w lewą, raz aby zejść ze strzałów celnych, a daléj aby szukać sposobu przeprawienia się przez wąwoz; ale i tak znaczne straty ten szwadron poniósł, i byłby miał daleko większe, gdy nieoceniony kapitan Hupet galopem przypadł z dwoma działami na pagórek panujący nad pozycyą nieprzyjaciela, dał kilka razy z armat kartaczami ognia (en écharpe) i tem szwadron trzeci uratował. Wtedy ten szwadron zsiadł z koni, przebył małą ścieżką wąwoz, a potem galopem zakrążywszy od wioski Ozery nieprzyjaciela, zajął siedemset kilkadziesiąt niewolników, gdy się ich reszta parta przez woltyżerów z oliw, w rzece Ebro topiła. Rannemi byli w tem spotkaniu kapitan 3go pułku piechoty nadwiślańskiéj Wągrowski, i podporucznik Mazowski, z lancyerów poległ waleczny sierżant Lubański, któremu po śmierci krzyż legii honorowéj przysłano. Przeszkody na moście piechota uprzątnąwszy, przebyła

wąwoz i stanęliśmy wszyscy pod wsią Ozero obozem. Nazajutrz ruszyliśmy płaszczyzną w dalszą drogę ku Fuentes, przyszedłszy naprzeciw tego miasto, rozwinęliśmy na prawo całą naszą kolumnę, odbębniliśmy i odtrąbiliśmy jenerał marsz, i postawszy w bojowym szyku przez dwie godziny odmaszerowaliśmy nazad tą samą drogą którąśmy przyszli, ku Saragossie. Jenerał Lefevre został z nami w obozie nad Galiego. W kilka dni póżniéj przyszedł do nas z resztą pułku lancyerów pułkownik Konopka; a Saragossie drogą od Barcelony nadciągały posiłki. Maszerowała mocna kolumna piechoty i niezaczepiając nas na saméj drodze stojących, rzuciła się w prawo ku Villa Major. Szwadron 3ci i 4ty lancyerów zabrał im do czterechset wozów różnych bagaży, między któremi i kasa wojskowa się znalazła. Wszystko eskortą piechoty dzielnie się broniącą ułani wykłuli, jazda zaś cała zawczasu uciekła, zabrała przybyła piechota co tylko było, z odzieży, bielizny, potrzeb obozowych na tych wozach, ułanom tylko się nieco pieniędzy dostało, zginęło przy téj utarczce kilku lancyerów; zostawiliśmy na pobojowisku szwadron 4ty, zaś reszta pułku poszła na spoczynek do obozu nad Ebro i Galiego. Nazajutrz rano jenerał Lefevre udał się pod Villa Major z lancyerami, flankiery hiszpańskie nigdzie placu naszym dotrzymać niemogli; kapitana Szulca który o pięćset kroków od ich obozu noc przepędził, wcale nie atakowali. Szturmy do Saragossy 2go lipca i 4go sierpnia poddały w ręce nasze prawie dwie trzecie części miasta, ale w resztującéj części mężnie się bronili Hiszpanie i krok po kroku ustępowali zwycięzcom. Podczas ostatniego ataku lancyery zajmowali trakty po lewym brzegu rzeki Ebro, i zaledwo spieszącego po posiłki jenerała Palafoxa nie złowili, gdy go już jeden oficer za kołnierz ujął, ale oszukany skromną odzieżą, pu-

ścił, a pochwyciwszy strojnego majora inżynierów, od niego się dowiedział że mu się znakomita zdobycz z ręki wymknęła. Cały sztab główny Palafoxa, zabrali do niewoli lancyery, zaprowadzeni do opactwa głównéj kwatery jenerała Verdier, zaproszeni na obiad, doznali najprzyjemniejszéj gościnności.

W tym czasie król hiszpański Józef opuścił Madryt, bo się przekonał że cały naród hiszpański wziąwszy za broń, nie tak łatwo ulegnie i opanowanie całego kraju na nie małe trudności wystawi; nieliczne oddziały Francuzów po całéj Hiszpanii rozrzucone wystawione na niebezpieczeństwo, trzeba było zgromadziwszy, czekać na posiłki i zająć obronną nad Ebro pozycyę. 5go sierpnia otrzymał jenerał Verdier rozkaz zaniechania oblężenia Saragossy; w tem celu z 14go na 15ty t. m. wszystkie korpusy pod opactwo na drogę do Tudelli prowadzącą pościągał, działa ciężkie oblężnicze potopił, i tylko na Monte Torrero 3ci szwadron lancyerów z kapitanem Minierów mającym podłożone miny pod miasto zapalić, zostawił. O północy uiścił rzeczony kapitan włożony na siebie obowiązek, a przybiegłszy do szwadronu spiesznie z miasta niebezpiecznego uchodzić zalecił. Ale długi czasu przeciąg upłynął, a ląt niezapalał podsadzanych prochów, już przybyliśmy do zboru całego wojska pod opactwo. Jenerał Verdier powtarzał kapitanowi: *Votre mine ne prend pas*, w rozpaczy kapitan chciał się z pistoletu zastrzelić. Aleź przecie okropny widok zniszczenia oczom się naszym przedstawił. Całe kościoły, klasztory, domy wznosiły się w powietrze, i w gruzach rozsypane wracały na ziemię; ludzie wyrzuceni do góry jak ptaki wydawali się w płomieniach. W tym momencie powstał wrzask w części miasta niezdobytéj, któren uderzeniem we wszystkie bębny naszéj armii, i odgłosem trąb zagłuszonym został. Odmaszerowało wojsko ku Alagon w kolumnach, plutonach, tylko szwadron

trzeci lancyerów i kilka kompanij woltyżerów z dwoma działami w tylnéj straży zostało. W pół godziny i ta tylna straż ruszyła, nikt jéj nie napastował, dopiero kiedyśmy weszli pomiędzy mury otaczające to miasto spostrzegliśm pogoń z 300 jazdy rączo nas ścigającą. Ale ta przywitana kartaczami i rzęsistym karabinowym ogniem, jeszcze spieszniéj nazad się wróciła, kilkunastu zostawiwszy na placu zabitych. Tak więc imieniny Cesarza Napoleona obchodziliśmy, nie zwycięztwem, ale najokropniejszym z wypadków wojennych, zniszczeniem.

Trzechdniowy marsz zawiódł nas do Tudelli, pułk lancierów stanął obozem naprzeciwko Mallen w oliwach, gdzie codziennie hiszpańskie gierylasy przychodziły próbować męztwa swego, i ostrza lancy ułańskiéj, ginęl śmiałkowie bez potrzeby i korzyści, dla Hiszpanów było to niejako mustrą, w któréj się do dalszéj walki wprawiali. Przybyli hiszpańscy jenerałowie Sanét Marco Lamaes, Baron Versayes, z szesnastoma tysiącami wojska, Valencyi, Muncyi, pod Mallen. Szwadron ich przedniéj straży, lanciery pod Fontilas znieśli zupełnie. 20go sierpnia całe wojsko z Francuzów i Polaków złożone, zniszczywszy most, opuściło Tudellę, i usadowiło się na lewym brzegu Ebro. Spieszyły korpusa od Renu przez Francyę na linię bojową, która prawem skrzydłem oceanu Atlantyckiego, a lewem morza Śródziemnego sięgała, i Hiszpanie niepróżnowali, przez ten czas różne bandy gierylasów i armie porządne zgromadzali. Cesarz Napoleon 4go listopada przybył na ziemię hiszpańską, 7go powitał go król Józef w Vittoryi. Hiszpanie zaczęli działać zaczepnie na lewe skrzydło naszéj armii, chcąc ją odciąć od gór Pirenejskich. Napoleon z główną armią: to jest, z 1szym korpusem marszał. Victor, 2gim marszałka Soulta księcia Dalmacyi i 4tym ciągnął ku Madrytowi. Jenerałowie hiszpańscy Castaños i Palafox stają pod Tudellą w 80,000, marszałek Lannes, z 3cim

marszałka Moncey księcia Conegliano, i 6tym marszałka Mortier księcia Treviso, w dniu 23go listopada znosi ich zupełnie; jazda dowodzona przez jenerała Lefevre Desnouettes, w któréj liczył się nasz pułk lancierów, szczególnie się odznaczający, cudów waleczności dokazywała. Rozproszeni Hiszpanie jedni z Palafoxem do Saragossy, inni z Castańosem w górę ku Calatayud się chronią. Ścigani na wszystkich punktach tracą swoje zapasy, działa, amunicye i znaczna część ich dostaje się w niewolę. Książę Conegliano marszałek Moncey, następował do Saragossy w trop za nieprzyjacielem, aby powtórne oblężenie pod naczelnem dowództwem księcia Montebello marszałka Lannes rozpocząć. Madryt po bitwie pod Somo-Siera 4go grudnia był w ręku Francuzów. Korpusa 3ci i 5ty zostały pod Saragossą. Marszałek Ney książę d' Elchingen z 6tym wziął drogę ku Madrytowi, aby się z główną armią połączyć, zarazem ścigał niedobitki Castańosa, mając na czele jazdę z jenerałem Lefevre Desnouettes. 25 listopada pułk lancierów pod Burviedro jego tylną straż zniósł zupełnie, po czem przez Calatayud, Gvadalaxara, Alcale przeszedłszy Madryt, udał się do Almaraz pod dowództwem sławnego jenerała jazdy Lasalle w korpusie marszałka Lefevre księcia gdańskiego.

Rok 1809.

Zaraz po bitwie pod Tudellą z rozkazu księcia Montebello, grosmajor Klicki z kapitanem Rybałtowskim, porucznikiem Ojrzanowskim, podporucznikami Lusignan i Bogusławskim, i dwomaset lancierami oddzielił się od pułku, i został w Aragonii, gdzie wielkie

usługi korpusom 3mu i 5mu oddawał, ale o tem późniéj wzmianka się umieści. Depa jedno małe w Pau Bearne, drugie wielkie w Sedan założone, dostarczały w ludziach i koniach coraz nowe zasiłki pułkowi nowych oficerów z gwardyi jenerała Krasińskiego z wielką krzywdą starych zasłużonych podoficerów i żołnierzy, którzy często po śmierci mieli sobie krzyże lub awanse przysyłane, lub z kalectwem i niezagojonemi ranami zniechęceni do kraju wracali — dostawiono. A temi byli: Stadnicki, Ranowski, Sawicki, Radłowski, Kadłubski i Mikułowski Teofil. Bitwa pod Almaraz i przeprawa Tagu nowemi wawrzynami pułk lancierów okryła. Atak 4go pułku piechoty Księstwa Warszawskiego na czoło armii hiszpańskiéj wykonany, i szarża lancierów po przejściu wpław rzeki na lewe skrzydło, w nieład całe wojsko nieprzyjacielskie wprawiło i wygranie bitwy na naszą stronę rozstrzygnęło. Dwadzieścia i pięć dział, mnóstwo wozów amunicyjnych, i z różnemi bagażami, cały obóz i trzy tysiące jeńców było téj bitwy owocem; po któréj korpus 4ty wkroczył do Portugalii, gdzie parę miesięcy odcięty od głównéj armii sam sobie musiał wystarczać. Pułk lancyerów jako lekka jazda strzegł całości i bezpieczeństwa obozu, i starał się o furaż i żywność. Dowódzca tego korpusu Lefevre książę gdański, odwołany do armii nadreńskiéj do Niemiec dla wojny z Austryą; objął po nim dowództwo jenerał Sebastiani. Ten 20go miesiąca marca 1809 roku opuścił z korpusem Portugalią i udał się przez Avilla, Escurial, Madryt, do Toledo ku górom Sierra Morena, dla osłonienia stolicy. Przebywszy rzekę Tag i miasto Toledo pułk lancyerów, stanął w wiosce między górami zwanéj Juvenes. Pułk ten był całego wojska hiszpańskiego i powstańców postrachem. Gdzie się tylko chorągiewki ułańskie pokazały, wszelka jazda hiszpańska pierzchała, a piechota i działa nawet w kolumnach ściśniętych i czworobokach

ocalenia nie znajdowały. Jenerałowie hiszpańscy postanowili użyć wszelkich środków, aby ten pułk zniszczyć i pozbyć się tak niebezpiecznego wroga, w tym celu zorganizowali ośm pułków jazdy, pod dowództwem jenerała Urbin de Urbino, które miały to zadanie wykonać. Zdawało im się dogodną porą, nocleg lancyerów w Juvenes. Tam ich w nocy w około obtoczyli, a za nadejściem dnia gdy połowa pułku miała rozkulbaczone konie i do chędożenia ich się zabierali, placówki strzelać zaczęły. Z zwyczajną zręcznością i pośpiechem pułk wystąpił do boju i udał się drogą ku wsi Orias *).

Tam spotkał silną kolumnę jazdy hiszpańskiéj, pułk maszerował lewem skrzydłem plutonami, bo wązka droga szerszego frontu stawić nie pozwalała. Pułk nieprzyjacielski Carabinieros Reales w tem ciasnem miejscu oczekiwał i przyjął rzęsistemi wystrzałami, a jenerał hiszpański wzywał lancyerów do poddania się, ale wszystkich tak oficerów jak i dragonów na czele będących lanca ułańska zgładziła, a kupa trupów dalszy postęp zatamowała. Hiszpanie dzielnie walczyli, ale nareszcie przełamani po dość długim oporze, ustąpić z placu musieli.

W tem zamięszaniu pierwszy pułkownik Konopka, torując sobie drogę pałaszem z szefem szwadronu Rutie i kilkunastą lancyeryami przebił się przez ten tłum jazdy nieprzyjacielskiéj, niepodobna mu było wiedzieć o losie, idących i walczących za nim szwadronów. Wydobywszy się na czyste pole umykał ku Toledo, w przekonaniu że pułk tak przemagającéj siły nie zmoże i poddać się będzie zmuszony. Pod wsią Mora spotkał jenerała dywizyi Valence dążącego z piechotą na ratunek ułanów. Zapytany od niego Konopka: gdzie pułk? wskazując na garstkę otaczających go podoficerów i żoł-

*) Odtąd wypada mi się radzić pamiętników Wojciechowskiego, marszałka Sucheta. (Uwaga Autora).

nierzy odpowiada: „ot tyle z pułku mego zostało“. Jenerał Valence począł rozpaczać i gorzkie pułkownikowi czynić wyrzuty. Ale chociaż pułk był pozbawiony swego naturalnego dowódzcy, pozostał tam mąż z dawnéj kawaleryi narodowéj; mały wzrostem ale wielkiéj duszy męztwa i zdolności, szef szwadronu Kostanecki Telesfor. Ten lubo otoczony jak to wyżéj powiedziano, utrzymywał w szyku porządek, wyszedłszy na przestrzeńsze miejsce, zakomenderował: formuj szwadrony! a rozwinąwszy kolumnę front szeroki wystawił, bo dzielny i musztrowny żołnierz obrot jak należy wykonał, i zamiast poddania się zwycięzcom, rozbił ich, rozprószył i do ucieczki przymusił. Stracił jednak pułk dwóch kapitanów Szulca i Kajetana Stokowskiego, wziętych w niewolę porucznika Stawiarskiego i urzędnika zdrowia pułkowego, Włocha, biegłego w swéj sztuce i wielce miłego człowieka Grilla, oraz do ośmdziesiąt podoficerów i żołnierzy poległych.

Mała to była strata w miarę zagrażającego niebezpieczeństwa. Radość jenerała Valence równą była ciężkiemu smutkowi jakim wprzódy został dotknięty. A maszerujący zwolna pułk na obszernéj dolinie, śliczny widok przedstawiał. Sława ocalenia pułku należała dzielności szefa szwadronu Kostaneckiego, osobistéj każdego oficera i żołnierza odwadze, wprawie robienia bronią i wykonywania komendy. Każdy inny pułk w podobnem zdarzeniu byłby straconym.

Połączona jazda z piechotą ruszyła za korpusem ku rzece Gwadiana, 27go marca pod Ciudad Real uszykowanego i broniącego przeprawy zastaliśmy nieprzyjaciela; ale artylerya konna zmięszała jego piechotę, a pułk lancyerów, a za niemi huzary holenderskie galopem most przebywszy, brzeg lewy rzeki opanowali. Uradowany jenerał Sebastiani z odniesionego bez straty pożądanego skutku przeprawy przez Gwadianę, przybiegł

przed pułk lancyerów osobiście, zakomenderował formowanie szwadronów i rozwinięcie kolumny, poczem całym frontem z najeżonemi lancami, sam z dobytym pałaszem na czele szarżował na hiszpańską piechotę, którą złamawszy, przeszedł kłusem Ciudad Real z tyłu ich zaatakował, i tym obrotem zupełne odniósł zwycięztwo.

Głosili Hiszpanie, że pułk lancyerów zupełnie pod Juvenes zniszczyli, ale rozbicie ich piechoty i ciężkie rany od lancy przekonały o fałszu tego twierdzenia. Rozproszeni Hiszpanie utracili artyleryą, pociągi, bagaże, jazda ich uciekając dopiero się o kilka mil w Santa Cruz pod górami Sierra Morena zebrać zdołała. W kilka dni w tem miejscu znowu nam stawiła czoło, ale i tu za pierwszem naszem natarciem pękły ich szyki, ścigana aż do wsi Alvizeglio czyli do samych Sierry Moreny wąwozów, straciła kasę w całości, jenerałowi Sebastianiemu oddaną, i resztę co od przegranéj pod Santa Cruz ocalić zdołała.

Kilka dni we wspomnionéj wsi Alvizeglio pułk lancyerów odpoczął, a na dłuższy spoczynek po tak ciężkich trudach do Toledo powrócił. Pojawiający się w górach nieprzyjaciel, wywołał potrzebę zajęcia przez lancyerów miasteczka Val de Penias nad rzeką Sabalon, gdzie lubo mieszkańcy swe domy opuścili, i trzeba się było codziennie z gierylasami potykać, pułk jednak stojąc tam przez cztery miesiące w kraju bogatym i zamożnym, obfitował we wszystkie życia potrzeby. Pułkownik Konopka odjechał do Francyi, szef szwadronu Kostanecki leżał w Toledo ciężką chorobą złożony, szef szwadronu Rutie dowództwo pułku strzelców konnych francuzkich otrzymał.

W miesiącu czerwcu opuścił pułk lancyerów Val de Penias i udał się w stronę zachodnią od Madrytu, tam był świadkiem okropnego barbarzyństwa jakiego się zbyt często Hiszpanie dopuszczali. W Villa Ferdinando

dwudziestu kilku żołnierzy piechoty polskiéj, poobwijawszy w słomę i pakuły w oliwie maczane, spalili. Spieszyli lancyery na ich ratunek, ale niestety już za póżno przybyli. Wieś tę jako odwet spalili, i mieszkańców bez różnicy płci i wieku wykłuli. Nastąpiła bitwa pod Talavera della Reyna, tam jenerał angielski Wellesley późniejszy Welington, połączywszy się 20go miesiąca lipca z jenerałem hiszpańskim Cuesta, i z Portugalczykami wystawił armię 63,000 wynoszącą. I z naszéj strony marszałek Victor książę Bellune złączył 1szy z 4tym korpusem, i pod ogólnem króla Józefa dowództwem w 47,000 ruszył 26go ku Talavera; tam wojsku francuzkiemu niezupełnie szło pomyślnie; 28 pułk piechoty liniowéj został całkowicie przez angielską i portugalską jazdę zniesiony. Piechota marszałka Jourdan wiele ucierpiała. Pułk 23 dragonów angielskich rozbił sławny 10 pułk i 26 strzelców konnych francuzkich; już dowódzca angielski ruszył na poparcie tych szczegółowych korzyści całą masą swéj kawaleryi. Marszałek Victor przypadł przed pułk lancyerów i donośnym głosem zawołał: Polacy naprzód! Kapitan Hupet dowódzca naówczas pułku, w ataku dobrze wykonanym, zmięszał szyki nieprzyjaciela i całą tę masę częścią wykłuł, częścią rozbroił. Zgoła wydzierając zwycięztwo Anglikom, honor oręża francuzkiego utrzymał.

Zaraz po bitwie nasz korpus na odsiecz Toledo, gdzie tysiąc pięćset Polaków mężny opór jenerałowi hiszpańskiemu Venegas stawiało, pospieszył. Ale nie doczekali nas Hiszpanie bo za zbliżeniem się naszem od oblężenia odstąpili, i pod Almonacid się cofnęli. Pułk nasz lancyerów w przedniéj straży idący, ścigał ich i pędził, aż do tego miasta. Przybyła piechota zaczęła uporną walkę, zdobyła wzgórze będące kluczem całéj pozycyi. Zwyciężyli Polacy, ale zwycięztwo życiem walecznego pułkownika Sobolewskiego opłacili. Pędziła piechota

polska piechotę hiszpańską, lancyery ich jazdę, a gdy ich dość daleko odegnali, zwróciwszy się wpadli w tył kolumn piechoty. Trwoga i zamięszanie opanowały Hiszpanów, uciekając w rosypce działa, bagaże i amunicye stracili. Następnie 8 sierpnia marszałek Mortier zniósł armię jenerała Cuesta, 12 t. m. marszałek Ney zbił na głowę jenerała Wilson, w górach de Benios. Wellesley wycofał się do Portugalii. A tak stolica króla Józefa od wszelkiéj napaści oswobodzona, wojsko mogło użyć potrzebnego spoczynku. Pułk lancyerów pomiędzy Madrytem a Toledo zajął wygodne kwatery, i w tych aż do października zostawał. W tem miesiącu pokazali się Hiszpanie w sile 55,000 nad rzeką Gigela, i znowu zagrozili stolicy. Cała armia francuzka i Polacy stósowny ruch zrobili z 17go na 18ty t. m. w nocy ruszył pułk lancyerów do Toledo, około drugiéj po południu stanął w aleach wiodących do Aranjuez, potem w obec marszałka Mortier, księcia Treviso i jenerała Sebastiani rzekę Tag przepłynąwszy, udał się drożyną ku Ocaña, miasteczka o dwie mile od Aranjuez odległego. Wyszedłszy na wzgórze, sformował front, i ujrzał na rozległéj płaszczyźnie miasto wspomniane Ocaña i uszykowaną w różnych kierunkach liczną jazdę hiszpańską. Traktem głównym od Aranjuez marszałek Mortier i jenerał Sebastiani z brygadą dragonów dla rozpoznania pozycyi równocześnie i równolegle z lancyerami posuwali się. Pierwsi hiszpańscy Carabinieros Reales zaczęli szarżę, ale gdy lancyery złożyli broń do ataku, zabrakło im serca, stanęli i zaczęli sypać na nas rzęsisty lecz bezskuteczny z karabinków ogień, nareszcie zaczęli uciekać, wprawiając w nieład inne swoje na drodze stojące szwadrony. Kapitan Hupet ścigał ich aż do Ocaña. Na poparcie walki sam marszałek z dragonami atak na nich przypuścił; 10ty pułk strzelców konnych z nami brygadujący, toż samo uczynił, a tym sposobem z trzech stron

napadnięty nieprzyjaciel, choć trzy razy liczniejszy poszedł w rozsypkę, i z trzech tysięcy hiszpańskiéj jazdy mało przy życiu zostało. Mnóstwo broni dostało się lancyerom w zdobyczy. Tam zginął jenerał Paris, co było dziwniejszym, że nikt w téj bitwie ani z oficerów ani z żołnierzy nie poległ. Ciemność nocy walkę przerwała; 19go listopada wrócił pułk lancyerów na pole wczorajszéj bitwy, tam w obec całéj armii uszykowanéj, marszałek Mortier zdjąwszy kapelusz dziękował pułkowi za tak świetne i bohaterskie sprawienie się, i w imieniu Cesarza Napoleona przy odgłosie muzyki, trąb i bębnów walczącego dowódzcę kapitana Hupet szefem szwadronu mianował. Około 8éj godziny rano rozpoczęła się na nowo bitwa, gdzie książę Sułkowski pułkownik z 4tym pułkiem piechoty Księstwa Warszawskiego, porwawszy sztandar rzucił się pomiędzy nieprzyjaciół, kilkadziesiąt dział zdobył i kilkanaście tysięcy zabrał w niewolę. Tak stanowcze zwycięztwo na długi czas nam spokojność zapewniło. A wyższość lancy nad inną bronią letkiéj jazdy uznał sam Cesarz Napoleon, gdy w Niemczech pod Wagram i Esling gwardya pod dowództwem jenerała Krasińskiego, pomimo doświadczonego męztwa i dzielności, zbrojna w pałasze, niemogła przeprzeć ułanów austryackich uzbrojonych lancami *). Dać przeto kazał temu pułkowi gwardyi lance, a naszemu pułkowi dostarczenie instruktorów; pomiędzy którémi znajdował się tak ciężko ranny w utarczce pod Galiego w zeszłym roku wachmistrz Zbroiński. I Hiszpanie naśladując naszych ułanów poformowali sobie pułki letkiéj jazdy z lancami, ale te bądź dla braku instrukcyi, lub niedokładnego w czasie i miejscu użycia, małe oddawały posługi. Pułk bowiem nasz lancyerów był wszędy użyte-

*) Ta rzecz ma się inaczéj, jakto w swojem miejscu wyjaśniliśmy i jeszcze wyjaśnimy. (Przyp. wydawcy).

cznym, jeśli na flankierach żołnierz wprawny robienia lancą mając w ręku broń dłuższą od pałasza, miał indywidualną wyższość nad nieprzyjacielem, w froncie bojowym, w ataku na jazdę, konie zestraszone poruszeniem migotających różnobarwnych chorągiewek, same się w tył wracały i szyk łamały. W wspomnionem migotaniu chorągiewek nieprzyjaciel niewidział grotu i niewiedział zkąd go cios śmiertelny może napotkać. Ostrzelany w długich walkach żołnierz nieraz łamał czworoboki i rozbijał kolumny ściśnięte, co się rzadko innéj jeździe udawało. Branie armat na czystem polu, lub w bateryi uskuteczniało się przez pewną liczbę lancyerów rozsypanych jak flankiery, mających sobie wskazany punkt połączenia (*ralliement*) na działach nieprzyjacielskich, a za niemi postępował pluton lub szwadron jako rezerwa, któren działając zaczepnie z asekuracyą ułatwiał uprowadzenie armat przez flankierów zabranych. Ten sposób często powtarzany rzadko kiedy chybił celu, i tem taką mnogość dział ten pułk w każdéj wojnie zdobywał *). To wszystko winien był wyćwiczeniu jakie mu nadał w latach 1804-5-6 w konsystencyach w Pulii i Kalabryi, w Canosa, Cosenza, Matera, ówczesny pułkownik Rożniecki które się aż do ostatka zachowało.

Przy końcu roku 1809 znaczne posiłki w ludziach i koniach dla pułków z Francyi przybyły, i nasz pułk lancyerów z zakładu z Sedan takowe otrzymał.

*) Montecuculi lancę królową letkiéj jazdy nazywał, bo wyrównanie na lancę daje dokładność matematyczną. (Uwaga Autora).

Rok 1810.

Po bitwie pod Ocaña korpus 4ty udał się w góry Sierra Morena; w téj wyprawie był od korpusu jenerała Dupont szczęśliwszym. Pułk lancyerów zawsze w avantgardzie, często w niedostępnych miejscach zsiadając z koni i w ręku je prowadząc, to znowu dosiadając, zajmował obronne stanowiska, a zawsze naprzód idąc przez Andujar *), Santa Fé, nie oparł się aż na brzegu morza Śródziemnego w Malades. W tym czasie odkomenderowany został z oddziałem stu koni, kapitan Fijałkowski, dawny oficer artyleryi za czasów panowania Stanisława Augusta w Polsce, i późniéj w legii naddunajskiéj, w artyleryi konnéj z odznaczeniem służący, pełen doświadczenia, odwagi i roztropności, do Aragonii na poskromienie głośnego partyzanta Porlier zwanego Marquisto, Fijałkowski się dzielnie z włożonego nań obowiązku wywiązał. Wprawdzie rzeczony partyzant umknął w niedostępne, jemu tylko znajome góry, ale Junta **) aragońska za nim także uciekła i rozwiązaną została; a mnóstwo rynsztunków, broni, amunicyi, skór, płótna, sukna, mundurów, koszul, dostały się naszym w zdobyczy. Pułk lancyerów za powrotem kapitana Fijałkowskiego, i pościągawszy różne inne oddziały brygadując z 5tym dragonów i z 32 piechoty liniowéj francuzkiéj, pod dowództwem jenerała Perimont, udał się do Baza w królestwie Grenady leżącego miasteczka, w okolice najbogatsze w całéj Hiszpanii, we wszystkie przyjemności i potrzeby życia obfitujące, tam na konsystencyi blisko przez rok cały 1810 pozostał.

*) Wymawiaj: Anduchar. — **) Chunta.

Jednak ta konsystencya niebyła zupełnie spokojną, bo raz po raz pojawiające się bandy gierylasów, trzeba było odpierać; nawet wsie pojedyńczo zrywały się do oręża, i w ślepem zarozumieniu chciały walczyć z najwyćwiczeńszym żołnierzem. W bliskości Baza, wieś Orgas zrobiła za poduszczeniem miejscowego proboszcza powstanie, które zaraz oddział wysłany lancyerów uśmierzył. W okolicach Kartagieny tworzyły się liczne bandy powstańców, jenerał Sebastiani zrobił na nich z lancyerami, przyłączywszy parę batalionów piechoty, wyprawę. Wspomnione bandy rozpędził, Kartagienę z małą stratą opanował, w której niezliczone zdobył bogactwa; przytem wielką liczbę broni, amunicyi, armat, i różnych potrzeb wojennych; rozburzywszy szańce Kartagieny do Baza nazad powrócił. Już ku końcowi roku 1810 dnia 4go listopada jenerał Blacke utworzywszy nową armię pokazał się nad rzeką Almanzor. Wystąpiliśmy przeciw temuż, a gdy jenerałowie francuzcy długo radzili jak go w tak mocnéj pozycyi atakować, odezwał się pułkownik Konopka świeżo z Francyi przybyły: „pozwólcie mi pa„nowie uderzyć z pułkiem lancyerów w sam środek nie„przyjaciół, a za godzinę będzie po bitwie". Przystano na projekt, a waleczny dowódzca słowa swego dotrzymał. Wpadłszy na baterye środkową, na dwoje linię bojową Hiszpanów rozdzielił. Dragony, artylerya, piechota, niemogli zdążyć za lancyerami. Nieprzyjaciel słaby dawał opór, nakoniec odstąpiwszy armat i amunicyi, rzucając broń po drodze, ratował się ucieczką, i na tem się bitwa skończyła.

Wkrótce potem udał się pułk lancyerów z jenerałem Milhaud do Murcyi, o dwie mile przed miastem Lorha, idąc w przedniéj straży napadł jazdę hiszpańską, ale ta niedotrzymała placu, ścigali ją lancyery, koląc i jeńców zabierając aż za Lorhę, tam napotkano znaczny korpus, do trzech tysięcy jazdy wynoszący, na pozycyi

uszykowany. Równie i ci ruszeni z miejsca uszli do Kartagieny, a że to miasto na nowo się ufortyfikowało, nie przedsiębrano jego zdobywania, ale wrócono się do Baza.

Rok 1811.

Niezupełnie grzeczne obejście się z pułkownikiem Konopką jenerała Sebastianiego, któren bezprawia i nadużycia swych rodaków Polakom przypisywał, co prawdą niebyło, zmusiło Konopkę iż się starał o przeniesienie do innego korpusu. Nietrzeba było dwa razy powtarzać podobnego żądania, każden dowódzca korpusu chciał mieć lancyerów w swem dowództwie, bo mógł na nich polegać, i byli Hiszpanów i Anglików postrachem. W skutku więc rozkazu marszałka Soulta księcia Dalmacyi, ruszyliśmy w kwietniu do Sewilli. Tam przybywszy rzeczony marszałek, wyjechał naprzeciwko nas z licznym i świetnym sztabem, w aleach nad rzeką Gvadalquivir, uszykowany pułk obejrzał, a po skończonéj defiladzie i manewrach, oficerów na wieczorną zabawę uprzejmie zaprosił. Przeszedłszy miasto Sevillę zajęliśmy kwatery na przedmieściu Trajana. Po dwuniedzielnym wypoczynku, dnia 10go tego miesiąca brygadując z pułkiem 10tym huzarów, ruszyliśmy w ariergardzie korpusu na odsiecz oblężonéj twierdzy przez Anglików Badajos, stolicy Estramadury. 15go t. m. przybyliśmy nad rzekę Albuhera naprzeciw wioski tegoż nazwiska, nazajutrz 16go wystąpiliśmy w wielkiéj paradzie, strojni jak zwyczajnie do boju, przeszedłszy wpław rzekę, same flankiery i dwa plutony, dwa szwadrony owych sławnych londyńskich dragonów rozbiły. Ten sam los spotkał drugie dwa pierwszym w pomoc idące. Rozpoczął się

rzęsisty ogień na całéj linii, kazał marszałek lancyerom w skrzydła Anglików uderzyć; w tym celu przeprawili się przez szeroki wąwoz, uformowali się w obec nieprzyjaciela, rozbili mu trzy pułki piechoty, tysiąc jeńców i sześć armat zabrali. Trwała zacięta i uporczywa walka na całéj linii, już jenerał Godinot z wziętéj szturmem wsi Albuhera ustępować zaczął, i już bitwę mieliśmy za przegraną. Jenerał angielski Beresford z całą masą piechoty dla ostatecznego rozstrzygnięcia następował. Gdy marszałek Soult przypadł przed pułk lancyerów, i krzyknął z rozpaczą: „Pułkowniku ratuj honor Francyi!“ Na to wezwanie ruszył pułk z naszlusowanemi lancami naprzód, wstrzymał wyżéj wymienioną piechotę, zatrudnił ją tyle, że dał czas jenerałowi Latour Maubourg, że ten zgubny dla naszéj armii zamiar nieprzyjaciela zniweczył. Anglicy o téj bitwie temi się w swych raportach słowy wyrazili: „Polacy walkę pod „Albuhera rozpoczęli, utrzymali ją i z największą chwałą „zakończyli“.

Pułkownik Konopka posunięty został na stopień jenerała brygady. Jedenaście krzyżów legii honorowéj pułk dla oficerów, podoficerów i żołnierzy otrzymał. Straciliśmy w téj bitwie pięciu oficerów, kapitana Leszczyńskiego, poruczników: Sabo i Mikułowskiego zabitych; jedenastu ranionych i dwieście podoficerów i żołnierzy; z pomiędzy tych ostatnich najwięcéj był żałowanym wachmistrz Jagielski pięknego prowadzenia, i nadziei młodzieniec. Owocem téj bitwy było oswobodzenie twierdzy Badajos, i zasilenie jéj amunicyą i żywnością. Odstąpili Anglicy wówczas od oblężenia, a my przez Fuenta del Maestro, Ribeirę do Llereny się udali, gdzieśmy 24go maja przybyli. Ztamtąd zrobiliśmy wyprawę ku Olivenza, gdzie nasz oficer i podporucznik Skarzyński dostał się w ręce Anglików.

Pułk dużo w liczbie zmniejszony, stojąc w Sevilli nową zrobił przez Grenadę aż do Baza wycieczkę, tam rozbiwszy silną bandę gierylasów do Sevilli powrócił. Opuścił pułk, posunięty na jenerała Konopka; był to człowiek piękněj postawy, waleczny, i pomimo zbytniéj dumy i zarozumiałości, często się wojennemi czynami zaszczytnie odznaczał. Szefowie szwadronu Telesfor Kostanecki i Hupet dla słabości zdrowia do Francyi się udali. Grosmajor Dębiński, którego przed lat dziesięcią znali podporucznikiem 7 pułku dragonów, w Lodi w Lombardyi, przyszedł na dowódzcę lancyerów. Znowu pułk pod Badajos na Anglików podstąpił, ale znalazłszy siły przemagające, w porządku cofnął się do Berlanga, tam w bezskutecznie stoczonéj bitwie Piotr Rogojski późniejszy podpułkownik, znany z swéj nadzwyczajnéj odwagi, przez piersi na wylot był przestrzelony. Tam odebrał pułk zawiadomienie, że dostał na dowódzcę pułkownika Ignacego Stokowskiego z gwardyi szweleżerów Wincentego Krasińskiego, zasłużonego w legionach włoskich i legii naddunajskiéj oficera, któren nas, mających już iść do Polski, w Vittoryi z dwoma szwadronami w zakładzie Sedan sformowanemi, oczekiwał, ale nas po dwakroć dla odsieczy Badajos z drogi zwracano. Na tem zeszedł rok 1811, a następny nowe pole prac i trudów lancyerom otwierał.

Ale czas wspomnieć o czynach oddziału lancyerów pod komendą grosmajora Klickiego w roku 1808 w Aragonii pozostałych; 200 koni lancyerów połączono w brygadę z 4 pułkiem huzarów francuzkich formującą przednią straż trzeciego korpusu. Grosmajor Klicki wszędy okazywał niezmordowaną czynność i nigdy niezachwianą odwagę. Gdy wojska weszły w obręb Saragossy, jenerał Vathier z kolumną piechoty francuzkiéj i polskiéj i wspólną jazdą zajął Fuentes na prawem brzegu Ebro leżące, ztamtąd korpus oblężniczy żywnością zasilał, od

nieprzyjacielskich napadów zasłaniał. Wkrótce powstańcy w liczbie 5000 posuwając się aż do Belchite, temu stanowisku zagrozili. Rusza naprzeciw tym jenerał Vathier, grosmajor Klicki na czele lancyerów wykłuł 200 Hiszpanów, reszta ucieczką w niedostępne dla jazdy góry ocalała. Po poddaniu się Saragossy w końcu lutego 1809 roku i oddaleniu się 5go korpusu do Katalonii, grosmajor Klicki ze swemi lancyerami przy trzecim korpusie, którego dowództwo po księciu Abrantes objął w miesiącu maju jenerał Suchet, pozostał. 15go czerwca jenerał hiszpański Blacke starał się w 25,000 po większéj części regularnego żołnierza Saragossę odzyskać. Jenerał Suchet nie uląkł się jego potęgi, i lubo w mniejszéj sile, śmiało do walki wystąpił. Tam grosmajor Klicki z lancyerami i woltyżerami uderzył na lewe skrzydło Hiszpanów, a poparty 13tym kirasyerów i 4tym huzarów bitwę rozstrzygnął. Dwadzieścia i pięć dział i trzy chorągwie, były téj bitwy zwanéj pod Maryą owocem, a powtórne odniesienie 18go czerwca pod Belchite zwycięztwo, zniszczenie wojsk Blacka uzupełniło; i odjęło na czas długi temu jenerałowi chęć napastowania naszych stanowisk.

Przegrane bitwy nie kończyły wojny w Hiszpanii, choć niebyło wojska regularnego, lecz z bandami gerylasów trzeba było walczyć ustawicznie. Klicki posunięty do stopnia pułkownika dawał ciągłe w tych bezprzestannych utarczkach, niezaprzeczone swych zdolności dowody; wysłany z osobnym z różnéj broni złożonym oddziałem, zajął miasto Duroca nad rzeką Xiloka *) leżące, uśmierzył mieszkańców, zdobył znaczny skład broni. Rozprószeni połączyli się znowu na górze Uzed z powstańcami Calatayud i Moliny, poszedł Klicki za niemi pobił i za granicę Kastylii resztki rozpędził. Zjawił się

*) Wymawiaj Chiloka.

jednak wkrótce nowy zawodnik Villa Campa, który ciągle Kastylię, Nawarrę i Aragonię niepokoił. Wysłał przeciw temu jenerał Suchet w dniu 20 miesiąca lutego 1810 pułkownika Klickiego, a gdy ten z nim na wzgórzach Villet niedaleko Teruel zręcznie manewruje, jenerał Chłopicki opanował mu szańce, a jego żołnierzy częścią w Guadalaviar wytopił, częścią zabrał w niewolę. W wyprawie na Walencyą ciągle się oddziałek lancyerów Klickiego pułkownika z nieprzyjacielem spotykał. Też same prace i trudy podczas oblężenia Leridy, Mechinenzy, Tortozy ponosił. Z téj ostatniéj twierdzy nieprzyjaciel w dniu 11tym lipca silną zrobił na przygłówek mostu pod Mora wycieczkę. Klicki dzielnie Hiszpanów w 90 lancyerów odparł, większą część ich wykłuł i do ucieczki przymusił. Jenerał Suchet poznawszy wyższe zdolności i waleczność pułkownika Klickiego, straż całéj Aragonii po prawem brzegu Ebro leżącéj, jemu powierzył. Wprzódy nieco Villa Campa w dniu 7ym sierpnia pod Cuevas i Andora wielkie transporta wołów i baranów prowadzone dla armii pozabierał. Klicki stojący w Muniesa poparty przez jenerała Habert rozpędziwszy Hiszpanów, zagnawszy za Cuenca *), i walencyjską granicę, wszystkie transporta odzyskał, i obóz żywnością zasilił. 12go listopada pod Vilastar i Villet idąc w pomoc jenerałowi Chłopickiemu, zniósł straż przednią Villacampy a daléj połączonemi siłami, całe jego wojsko oszańcowane w Fuente Santa zupełnie zniszczyli. Jenerał Chłopicki wrócił pod Tortozę, a pułkownik Klicki na dalszą straż Aragonii z tysiącem dwomaset ludźmi pozostał. Dnia 19go grudnia znowu się Villa Campa pojawił, zebrał Klicki swoich lancyerów, 13ty kirysyerów, 2 bataliony piechoty, i napadł go w nocy niespo-

*) Kuenka, Kuenki.

dzianie i wielu na placu położył, resztę w liczbie 150 między któremi siedmiu oficerów, z bronią i bagażami zabrał w niewolę.

Rok 1812.

Na podobnych ciągłych bitwach zeszedł cały rok 1811 zawsze zwyciężani Hiszpanie, z niesłychaną wytrwałością znowu się zgromadzali i występowali do boju. W czasie oblężenia Tarragony jenerał nieprzyjacielski Sarsfield szedł na odsiecz fortecy; jenerał Brassard z pułkownikiem Klickim spędzili go z mocnéj na górze Kalwaryi pozycyi, i ścigali w góry, póki im sił starczyło. Z początkiem 1812 roku cesarz Napoleon wyprowadził wszystkich Polaków z Hiszpanii. Marszałek Suchet książę Albufera, mocno się ich odejściem zasmucił, i jak się sam wyraził: „że tych walecznych żołnierzy, oficerów i dowódzców, tyle wysokich zdolności posiadających wielce żałuje."

Pułki 1szy, 2gi, 3ci i część 4go legii nadwiślańskiéj, i szwadron lancyerów w miesiącu styczniu, korpus 3ci opuścili. Pułkownikowi Klickiemu poruczonem było odwiezienie do Paryża 22 sztandarów i kluczy miasta Valencyi do których zdobycia niemało się przyczynił. Poznał się sam cesarz Napoleon na przymiotach i zdolności Klickiego, i gdy jenerałów: Beliarda przy królu neapolitańskim, marszałka Jourdan przy Józefie królu hiszpańskim, Hedouvilla przy królu Westfalii Hieronimie, jako wierną radę; przy wicekrólu włoskim, posunąwszy Klickiego na stopień jenerała brygady, umieścił. Jenerał Klicki był wzrostu dobrego, ale słabego zdrowia *);

---

*) W kampaniach 1792 czy 1794 był niebezpiecznie pchnięty piką kozacką, na którą ranę całe życie cierpiał.

(Uwaga wydawcy).

jednak nikt się niemógł równać z jego nieznużoną pracowitością. Miły w towarzystwie, kochany od oficerów i żołnierzy, wyższe przy dzielnéj odwadze nauki i wiadomości wojskowe posiadał, znany i ceniony od monarchów i marszałków francuzkich, bezstronny i skromny o nic dla siebie się nieupominał. A nagrody za swe zasługi wytrwałością, długą pracą i pięknemi czynami sobie wysłużył. Niewielu podobnych oficerów Polska liczyła.

Pułk lancyerów który przy tworzeniu innych tejże broni, numer 7 utrzymał, ciągnął jak inne pułki polskie przez Francyą, aby się z wielką armią połączyć. Pułkownik Stokowski w miesiącu grudniu 1812 roku zabezpieczał przejazd Cesarza Napoleona w okolicy Wilna *), i zakrywał to miasto od napaści Rosyan. W chwili gdy do tego miasta wchodziły gwardye, o kilkanaście staj od Ostréj bramy walczył zacięcie pułk lancyerów z liczną jazdą nieprzyjacielską, i często ponawiane ataki dzielnie odpierał. Oddział pułku z porucznikiem Bogusławskim przyłączony był do gwardyi cheveauxlegerów, dowództwa jenerała Wincentego Krasińskiego i przez cały ciąg 1812 roku razem z nim kampanią odbywał, a porządkiem, czystością i karnością celował. Rozprażone pod gorącem niebem wiarusy cierpliwie trzydziestostopniowe **) mrozy znosili, bo głód, to i w tamtym klimacie zbyt im często srodze dokuczał. Kapitan Trzebuchowski odkomenderowany był do Holandyi, i późniéj się z korpusem marszałka Davousta pod Hamburgiem połączył. Pułk ten był po całéj Europie rozprószony wszędy jego oddziały walczyły; marszałkowie, jenerałowie,

---

*) Mianowicie pod Oszmianą.

**) Przesadzony o wiele stopień mrozu.

(przypis wydawcy).

wydzierali sobie lancyerów; skoro się w Sedan w zakładzie jakaś większa liczba uorganizowała, zaraz ich w którąkolwiekbądź stronę, podług chwilowéj potrzeby posełano.

Rok 1813.

Pułk z pod Wilna przeszedł do korpusu jenerała Latour Maubourg, i z początkiem 1813 roku rejteradę zasłaniał. Pułkownik Stokowski dostał się do niewoli, po nim objął pułku dowództwo, Kazimierz Tański, co dawniéj był kapitanem w naszym pułku, późniéj pułkownikiem 4go pułku piechoty legii nadwiślańskiéj, a wprzódy grosmajorem i organizatorem gwardyi litewskiéj. Mąż ten pełen honoru, cnoty staropolskiéj i prawości, łączył z męztwem, łagodność charakteru i wielką znajomość wszelkich gałęzi sztuki wojennéj, służył za czasów Rzeczypospolitéj polskiéj w kawaleryi narodowéj w brygadzie Walewskiego; od zawiązku legii włoskiéj wszystkie następne kampanie odbywał. Do wielu misyi dyplomatycznych był używanym, jeździł dwukrotnie do Petersburga, kochany od Caulincourta księcia Vicencyi, od króla neapolitańskiego Murata, od króla Hieronima westfalskiego, od wicekróla włoskiego był wielce poważanym. Uradowali się tak oficerowie jak i żołnierze, dostawszy takiego dowódzcę którego sława i zasługi niemało na pułk spływały; przywołał wszystkie oddziały rozprószone do pułku i połączył się z wielką armią. W bitwach pod Lützen, Pegau, Bunzlau, gdzie poległ porucznik Piotr Doliński, uczestniczył. Nareszcie należąc do korpusu 14go marszałka Saint Cyr, w dywizyi jenerała

Pageol, brygadzie jenerała Jaquinot objęty kapitulacyą stolicy Saksonii poszedł w niewolę do Węgier.

Pismo to oddaję jenerałowi Tańskiemu, a poświęcam pamięci kolegów moich, którzy walcząc w różnych krajach i klimatach, sławę imienia polskiego z chlubą utrzymywali; nie wszyscy są tu wymienieni, nie wszystkim sprawiedliwość oddana, ale z tych uchybień, sądzę że się na początku dostatecznie wytłómaczyłem. Mało już nas z téj daty na świecie, a z pułku jazdy z Włoch tylko jenerał Tański i Wojciech Dobiecki pozostał.

Pisałem w Pęczelicach, dnia 3go marca 1853 i ukończyłem.

Wojciech Dobiecki.

STAN SŁUŻBY

JENERAŁA BRYGADY

KAZIMIERZA TAŃSKIEGO,

za rozkazem Najjaśniejszego Aleksandra Igo, Cesarza Wszech Rosyi, króla Polskiego i t. d.

Komisya rządowa wojny Królestwa Polskiego, wydaje niniejsze uwolnienie od służby, dowódzcy 3go pułku piechoty liniowéj pułkownikowi Kazimierzowi Tańskiemu, który wszedłszy dnia 13go lutego 1788 do brygady kawaleryi narodowéj dowództwa brygadyera Biernackiego, jako towarzysz; postąpił w roku 1792 na namiestnika; w r. 1795 udał się do Francyi i tam umieszczony został w pułku: cudzoziemskim zwanym, w stopniu pod-porucznika. W r. 1796 przeniesiony był do byłego legionu polskiego we Włoszech. Postąpił w roku 1798

na porucznika. W roku 1802 przeniesiony był do kawaleryi tegoż legionu, postąpił w r. 1804 na kapitana. W roku 1809 na podpułkownika do nowego pułku 4go, legionu 2go nadwiślańskiego. Dnia 30 kwietnia 1811 przeniesiony był do dawnego pułku 11go jazdy Księstwa Warszawskiego, w tymże stopniu. Postąpił dnia 10 sierpnia 1812 do dawnego pułku 3go gwardyi konnéj polsko-francuzkiéj, na pułkownika majora. W r. 1813 na pułkownika dowódzcę dawnego pułku 7go legii nadwiślańskiéj. Dnia 8go (20) stycznia 1815 przeznaczony został na dowódzcę 3go pułku piechoty liniowéj. Odbył kampanie w latach: 1792, 1794, od 1796 do 1806, 1807, 1808, 1809, 1810, 1811, 1812 i 1813. Znajdował się w bitwach: pod Dubienką, Zieleńcami, Swierznem, Boruszkowcami, Szczekocinami, w oblężeniu Warszawy; w bitwach pod St. Leo, Frosinone, Ferentino, Terracina, Falari, Calvi, Fondi, Itri, Gaetą, Garigliano, Kapuą, Tortoną, Arezzo, Trebbia, Novi, Finale, Pont du Var, Col de Tende; w oblężeniach: Mantuy, Peschiery, Bassano, Padua, Castel Franco, Tagliamento, Udine, Ponteba, Glatz, Kozel, Szweidnitz; Saragossa, Bilbao, Valencya, Astorga, Leon, Ciudad-Rodrigo, Somo-Sierra, Benavente, Juvenes; przy przejściu gór Sierra Morena; pod Słonimem, Dreznem, tudzież w oblężeniu Drezna. W skutek kapitulacyi tegoż miasta dostał się w niewolę. Ranny trzy razy. W nagrodę zasług ozdobiony krzyżem kawalerskim orderu wojskowego polskiego, orderu ś. Anny 2éj klasy, i urzędnika legionu honorowego. Na wniesioną przez niego prośbę o dymisyę, Najjaśniejszy Cesarz Jegomość i Król, przychylić się do niéj raczył decyzyą swą z dnia 6go (18) stycznia roku bieżącego zapadłą, a rozkazem dziennym 23go stycznia (4go lutego) tegoż roku ogłoszoną, nadając mu oraz pensyą odstaw-

kową, stopień jenerała brygady, i pozwolenie noszenia munduru.

W dowód czego komisya rządowa wojny udziela mu najwyższe to postanowienie.

Dan w Warszawie d. 26 kwietnia (8go maja) 1818 r.

Naczelny wódz
Konstanty.

Radzca Stanu jenerał dywizyi
Hauke.

Radzca Stanu dyrektor jeneralny
Rautenstrauch.

LISTA IMIENNA

OFICERÓW PIERWSZEJ LEGII POLSKIEJ

NA ŻOŁDZIE

RZECZYPOSPOLITÉJ FRANCUZKIÉJ,

dnia 1go Germinal 9go roku Rzpltéj (1798). 1801

przez

PUŁKOWNIKA WOJCIECHA DOBIECKIEGO

WYDAWCY PODANA.

Sztab główny jenerała.

1. Jenerał dywizyi Dąbrowski komend. naczel. Legii.
   Jego adjutanci:
   Szef batal. Dębowski.
   Szef batal. Tremo.
   Kapitan Markowski.

2. Jenerał brygady Wielhorski.
Jego adjutanci:
Kapitan Cybulski.
Kapitan Oczosalski.

Sztab główny legii

Szef brygady pieszéj Strzałkowski.
" " Karwowski.
" " Grabowski.
" Artyleryi Axamitowski.
" pieszéj Darewski.
Chirurg 2giéj klasy Bollaty.
" " Valentini.
2. Wozowników.
2. Tambormajorów.
1. Krawiec.
1. Szewc.
1. Zbrojownik.
49. Muzykantów.

Batalion artyleryi

1. Szef batal. . . . . . Jakubowski.
1. Kap. adjut. maj. . . Hauke.
1. Chirurg 3ciéj kl. . . Chiveux
1. Kapitan . . . . . . Falkowski.
2. " . . . . . . Stuart.
3. " . . . . . . Hornowski.
4. " . . . . . . Neneka.
5. " . . . . . . Spyller.
6. " . . . . . . Trzeczkowski.
7. " . . . . . . Michałowski.

8. Kapitan . . . . . . Komorowski.
9. „ . . . . . . Mościcki.
10. „ . . . . . . Szmauch.
1. Porucz. . . . . . . Piechocki.
2. „ . . . . . . Żołdowicz.
3. „ . . . . . . Głowacki.
4. „ . . . . . Toczytowski.
5. „ . . . . . . Szumski.
6. z k. . . . . . . Uszyński.
7. „ . . . . . . Suhr.
8. „ . . . . . . Broszkowski Andrz.
9. „ . . . . . . Nowicki.
10. „ . . . . . . Dłużniewski.
11. „ . . . . . . Lipka.
12. „ . . . . . . Truskolawski.
13. „ . . . . . . Lupichius.
14. „ . . . . . . Gognent.
15. „ . . . . . . Broszkowski Stan.
Chorąży podpor. . . . . Łochowski.
Nadliczbowi: . . . . . . Wojcikiewicz.
„ . . . . . . Ojrzanowski.
Wszystkich oficerów . . . . . . 31.
Podoficerów i kanonierów . . . 550.

Wszystkich w batalionie . . 581.

1. Batalion piechoty.

1. Szef batal. . . . . Białowiejski.
1. Kap. adj. maj. . . . Konopka.
1. Chirurg 3ciéj kl. . . Rosenfeld.
1. Kapitan . . . . . . Tomaszewski.
2. „ . . . . . . Szot.
3. „ . . . . . . Jurkowski.
4. „ . . . . . . Dąbrowski.

5.	Kapitan	Bieliński.
6.	„	Pawełecki.
7.	„	Routier.
8.	„	Parys.
9.	„	Rylski.
10.	„	Combrette.
1.	Porucz.	Godlewski.
2.	„	Turkiewicz.
3.	„	Lipowski.
4.	„	Tedrzelski.
5.	„	Zakrzewski.
6.	„	Bogdanowicz.
7.	„	Kincel.
8.	„	Rażowski.
9.	„	Ball.
10.	„	Wnorowski.
1.	Podpor.	Torreselli.
2.	„	Osiecki.
3.	„	Świstacki.
4.	„	Sosnowski.
5.	„	Wiszniewski.
6.	„	Korczyński.
7.	„	Laskowski.
8.	„	Gołębiowski.
9.	„	Szumacher.
10.	„	Malski.
	Chorąży podporucz. . . .	Skaliński.
	Nadliczb. podporucz. . .	Rasz.
	„ „ . .	Rybiński.

Wszystkich oficerów . . . . . . 36.
Podoficerów i żołnierzy . . . . 1360.

Wszystkich w batalionie . 1396.

2. Batalion piechoty.

1. Szef batal. . . . . . Chłopicki.
1. Szef bat. adj. maj. . Szielski.
1. Chirurg 3ciéj kl. . . Duntier.
1. Kapitan . . . . Offoski.
2. „ . . . . Kozakiewicz.
3. „ . . . . Billing.
4. „ . . . . Kosiński.
5. „ . . . . Łuba.
6. „ . . . . Poplewski.
7. „ . . . . Royer.
8. „ . . . . Koszucki.
9. „ . . . . Straczyński.
10. „ . . . . Estko.
1. Porucz. . . . . . . Solnicki.
2. „ . . . . . . Kołodyński.
3. „ . . . . . . Słoński.
4. „ . . . . . . Podlewski.
5. „ . . . . . . Koszubski.
6. „ . . . . . . Borowski.
7. „ . . . . . . Hoppen.
8. „ . . . . . . Łukiewicz.
9. „ . . . . . . Gałecki.
10. „ . . . . . . Truszkowski.
1. Podpor. . . . . . . Szczubielski.
2. „ . . . . . . Wasilewski.
3. „ . . . . . . Ruszkowski.
4. „ . . . . . . Zarzycki.
5. „ . . . . . . Mścichowski.
6. „ . . . . . . Dobrzyński.
7. „ . . . . . . Bujalski.
8. „ . . . . . . Jonn.
9. „ . . . . . . Brzoski.

10. Podpor. . . . . . . Dembiński.
Chorąży podporucz. . . . Wysocki.
Nadliczbowi: podpor. . Daszkiewicz.
Wszystkich oficerów . . . . . 35.
Podoficerów i żołnierzy . . . . 1360.

Wszystkich w batalionie . 1395.

3. Batalion piechoty.

1. Szef batal. . . . . Świderski.
1. Szef bat. adj. maj. . Sznejder.
1. Chirurg 3ciéj kl. . Otello.
1. Kapitan . . . . . . Barski.
2. „ . . . . . . Kamiński Jan.
3. „ . . . . . . Żółtowski.
4. „ . . . . . . Grabski.
5. „ . . . . . . Amiro.
6. „ . . . . . . Kowalski.
7. „ . . . . . . Chilchen.
8. „ . . . . . . Łączyński.
9. „ . . . . . . Ciołkowski.
10. „ . . . . . . Vander-Noot.
1. Porucz. . . . . . . Zadera.
2. „ . . . . . . Egersdorf.
3. „ . . . . . . Kaniowski.
4. „ . . . . . . Magaliski.
5. „ . . . . . . Tański.
6. „ . . . . . . Przezdziecki.
7. „ . . . . . . Notkiewicz.
8. „ . . . . . . Stanowicz.
9. „ . . . . . . Plichtowicz.
10. „ . . . . . . Huławski.
1. Podpor. . . . . . . Wągrowski.
2. „ . . . . . . Wąsowicz.

3. Podpor. . . . . . . Bromirski.
4. „ . . . . . . Krakowski.
5. „ . . . . . . Piekarski.
6. „ . . . . . . Mielnik.
7. „ . . . . . . Rotkiewicz.
8. „ . . . . . . Raggazi.
9. „ . . . . . . Romanowski.
10. „ . . . . . . Komar.
Chorąży podporucz. . . . Urbański.
Nadliczbowi: podpor. . . Tund.
Wszystkich oficerów . . . . . 35.
Podoficerów i żołnierzy . . . . 1360.

Wszystkich w batalionie . 1395.

4. Batalion piechoty

1. Szef batal. . . . . Małachowski.
1. Szef bat. adj. maj. . Bogusławski.
1. Chirurg 2giéj kl. . . Nastydy.
1. Kapitan . . . . . . Królikiewicz.
2. „ . . . . . . Straszewski.
3. „ . . . . . . Oświecimski.
4. „ . . . . . . Kamiński.
5. „ . . . . . . Zieleniewski.
6. „ . . . . . . Messange.
7. „ . . . . . . Zellerin.
8. „ . . . . . . Bogusławski.
9. „ . . . . . . Oskierko.
10. „ . . . . . . Blumer.
1. Porucz. . . . . . . Biegański.
2. „ . . . . . . Sieniarski.
3. „ . . . . . . Zabłocki.
4. „ . . . . . . Wakaliński.
5. „ . . . . . . Tomaszewski.

6. Porucz. . . . . . . Jabłoński.
7. „ . . . . . . Tarsza.
8. „ . . . . . . Garlicki.
9. „ . . . . . . Łysakowski.
10. „ . . . . . . Budzyński.
1. Podpor. . . . . . Kowalski.
2. „ . . . . . . Tokarzewski.
3. „ . . . . . Kowalski.
4. „ . . . . . . Kochański.
5. „ . . . . . . Niedzielnicki.
6. „ . . . . . . Szymański.
7. „ . . . . . . Hołyniec.
8. „ . . . . . . Hemmeryk.
9. „ . . . . . . Bieliński.
10. „ . . . . . . Guedi.
Chorąży podpor. . . . . Milewski.
Nadlicz. „ . . . . Juszkiewicz.
Wszystkich oficerów . . . . . 35.
Podoficerów i żołnierzy . . . . 1350.

Wszystkich w batalionie . 1385.

5. Batalion piechoty.

1. Szef batal. . . . . . Jasiński.
1. Szef bat. adj. maj. . Klicki.
1. Chirurg 2giéj kl. . . Hederych.
1. Kapitan . . . . . . Mościcki.
2. „ . . . . . . Biernacki.
3. „ . . . . . . Żymirski.
4. „ . . . . . . Mądrzycki.
5. „ . . . . . . Zdzitowiecki.
6. „ . . . . . . Kirkor.
7. „ . . . . . . Godlawiński.
8. „ . . . . . . Mierzyński.

9\. Kapitan . . . . . Berensdorf.
10\. „ . . . . . . Szylewicz.
1\. Porucz. . . . . . . Darowski.
2\. „ . . . . . . Kaczanowski.
3\. „ . . . . . . Zadera Michał.
4\. „ . . . . . . Zadera Teodor.
5\. „ . . . . . . Laskowski.
6\. „ . . . . . . Białosiewicz.
7\. „ . . . . . . Rawiecki.
8\. „ . . . . . . Zadera Józef.
9\. „ . . . . . . Młynarski.
10\. „ . . . . . . „
1\. Podpor. . . . . . . Kiełczewski.
2\. „ . . . . . . Tarnowski.
3\. „ . . . . . . Borkowski.
4\. „ . . . . . . Olędzki.
5\. „ . . . . . . Szifler.
6\. „ . . . . . . Romański.
7\. „ . . . . . . Makowski.
8\. „ . . . . . . Borys.
9\. „ . . . . . . Przyłuski.
10\. „ . . . . . . Wejgiel.
1\. Chorąży podpor. . . Sosnowski.
1\. Nadlicz. „ . . . Mądrzykowski.
Wszystkich oficerów . . . . . 35.
Podoficerów i żołnierzy . . . . 1297.
Wszystkich w batalionie . 1332.

6. batalion piechoty.

1\. Szef batalionu . . . Zagórski.
1\. Szef batal. adj. maj. Pakosz.
1\. Chirurg 3éj klasy . . Baldauf.
1\. Kapitan . . . . . . Konopka.

2. kapitan . . . . . . Łachorowski.
3. „ . . . . . . Kąsinowski Michał.
4. „ . . . . . . Sylwestrowicz.
5. „ . . . . . . Tylson.
6. „ . . . . . . Paszkowski.
7. „ . . . . . . Kąsinowski.
8. „ . . . . . . Szubert.
9. „ . . . . . . Kamiński Faust,
10. „ . . . . . . Obertyński.
1. Porucznik . . . . . Domaniewski.
2. „ . . . . . . Kochanowski.
3. „ . . . . . . Sobański.
4. „ . . . . . . Pozaszycki.
5. „ . . . . . . Jaźwicki.
6. „ . . . . . . Zakulski.
7. „ . . . . . . Bajer.
8. „ . . . . . . Bajer.
9. „ . . . . . . Szubert.
10. „ . . . . . . Zalewski.
1. Podporucznik . . . Markiewicz.
2. „ . . . Ostrowski.
3. „ . . . Bergonzoni.
4. „ . . . Gubiński.
5. „ . . . Wiszniewski.
6. „ . . . Wojciechowski.
7. „ . . . Kaziminski.
8. „ . . . Taczanowski.
9. „ . . . Laszczyński.
10. „ . . . „
1. Chorąży podporucznik Duńczewski.
1. Nadliczb. „ Deręgowski.
2. „ „ Laskarys.

Wszystkich oficerów . . . 35.
Podoficerów i żołnierzy . . 1297.

Wszystkich w batalionie . 1332.

7my batalion piechoty.

1. Szef batalionu . . . Zawadzki.
1. Kapitan adjut. major Petrykowski.
1. Chirurg 3éj klasy . . Long.
1. Kapitan . . . . . Biernacki.
2. „ . . . . . . Pokrzywnicki.
3. „ . . . . . . Petrykowski.
4. „ . . . . . . Modzelewski.
5. „ . . . . . . Chłusowicz.
6. „ . . . . . . Rafałowski.
7. „ . . . . . . Grodzki.
8. „ . . . . . . Lenkiewicz.
9. „ . . . . . . Murawski.
10. „ . . . . . . Szczepański.
1. Porucznik . . . . Nagrodzki.
2. „ . . . . . Niekorski.
3. „ . . . . . Orzelski.
4. „ . . . . . Oloff.
5. „ . . . . . Skarzyński.
6. „ . . . . . Karwowski.
7. „ . . . . . Werdun.
8. „ . . . . . Stocki.
9. „ . . . . . Sufczyński.
10, „ . . . . . Rakowski.
1. Podporucznik . . . Sawicki.
2. „ . . . Borkowski.
3. „ . . . Iwaszkiewicz.
4. „ . . . Lipiński.
5. „ . . . Karpiński.
6. „ . . . Józefowski.
7. „ . . . Dołoszkiewicz.
8. „ . . . Duwald.
9. „ . . . Sotoka.
10. „ . . . Ostakiewicz.

1. Chorąży podporucznik Maxymowski.
1. Nadliczb. „ Janowski.

Wszystkich oficerów . . .	35.
Podoficerów i żołnierzy. .	1544.
Wszystkich w batalionie .	1589.

Rekapitulacya jeneralna.

Sztab główny jenerała	15.
„ „ legii	63.
Batalion artyleryi pieszéj . . .	581.
1 batalion infanteryi	1396.
2 „ „	1395.
3 „ „	1395.
4 „ „	1385.
5 „ „	1332.
6 „ „	1332.
7 „ „	1549.
Depot legii we Francyi i Włoszech	200.
Oddział artyleryi legii	70.
Razem w całéj legii .	10,713.

Rada administracyjna.

1. Wielhorski jenerał brygady, prezes korespondencyi.
2. Axamitowski szef brygady artyl. członek korespondencyi z oficerskiego wydziału.
3. Forselli podporucznik 1 batal. } do abszytów reformy
4. Hraczyński kapitan 2 „ } urządzenia weteranów
5. Żółtowski „ 3 „ sprawdzanie kwitów opłaty.

6. Zelleryn kapitan 4 batal. ubiór ekwipażowanie, uzbrojenie.
7. Darowski „ 5 „ Rachunkowość.
8. Duńczewski podpor. 6 „ porządek bióra utrzymujący.
9. Modzelewski kapitan 6 „ intendent rzeczy utraconych i jeńców.
10. Pflugbut szef batalionu, kwatermistrz jeneralny.
11. Corbaj sierżant 6 batalionu, członek komisyi expedycyjnéj.
12. Świderski szef 3 batal., utrzymujący kontrolę legii.
13. Stuart kapit. artyl., trudniący się ubiorem legii.
14. Zadera Teodor poruczn. z 5 batal. } jemu dodani.
15. Braszkowski Andr. porucznik artyl. } jemu dodani.
16. Głowacki poruczn. z artyl., nad zaprzęgami.

Pierwsza rada wojenna.

Axamitowski szef brygady, prezydent.
Ossowski szef z 2 batalionu, członek.
Hornowski kapitan artyleryi „
Żymirski kapitan z 5 batal. „
Egersdorf „ z 3 „ „
Ościcki podporuc. z 1 „ „
Doktorczyk sierżant z artyl. „
Amira, kapitan z 3 batalionu, od raportów.
Komorowski kapitan artyl. komis. władzy wykonawczéj.

Druga rada wojenna.

Darowski szef brygady pieszéj, prezydent.
Jasiński szef z 6 batalionu, członek.
Zelleryn kapitan 4 batalionu „

Kamiński kapitan 6 batal. członek.
Zadera Józef, porucz. 5 bat. „
Tokarzewski podporuc. 4 „ „
Biernacki sierżant 1 komp. gren. członek.
Hauke kapitan artyleryi, od raportów.
Petrykowski kapit. 7 batal. komis. władzy wykonawczéj.

Rada rewizyjna.

Wielhorski jenerał brygady, prezydent.
Karwowski szef brygady pieszéj, członek.
Konopka szef 1go batalionu członek.
Parys kapitan 1go „ „
Domaniewski kapitan 6 bat. „

Lista oficerów zabitych na polu bitwy lub zmarłych w skutku odniesionych ran.

Sztab główny jenerała:
Rymkiewicz jenerał brygady.
Tremo szef bat. adjut. jenerała Dąbrowskiego.
Sztab główny legii:
Chamano szef brygady.
Forrestier „ „
Ritter, chirurg naczelny.
Batal. artyleryi: Möler, pułkownik.
Czechowski szef batalionu.
Iwaszkiewicz porucznik.
Młodzianowski „
1 batal. piechoty: Liberadzki pułkownik.
Podowski szef batalionu.

	Kwiatkowski porucznik.
	Jałbrzycki „
	Wasilkowski „
	Wisłach „
2 batal. piechoty:	Piasecki porucznik.
	Gozon „
	Gryliński „
	Szczubielski „
	Krauze „
	Lochowski podporucznik.
	Wiszniewski „
	Senwadzki „
	Sewadier „
3 batal piechoty:	Zalewski porucznik.
	Gosławski „
4 batalion:	Lipnicki szef batalionu.
	Wesel kapitan.
	Górski porucznik.
	Sroczyński porucznik.
	Godebski „
6ty batalion:	Skarkowski szef batalionu.
	Kozłowski porucznik.
	Zieliński „
	Zynarski „
	Paciorkowski „
	Daszkiewicz „
5ty batalion:	Lipczyński szef batalionu.
	Brochowski kapitan.
	Woliński „
	Strzemecki porucznik.
	Potocki „
	Miaskowski „
7my batalion:	Wazello porucznik.

LISTA
oficerów rannych w bitwach włoskich.

Sztab główny jenerała:
Dąbrowski jenerał dywizyi.
Jabłonowski jenerał brygady.
Dembowski szef bat. adj. jen. Dąbrowskiego.

Sztab główny legii:
Strzałkowski szef brygady.
Darewski " "
Regulski adjutant major.

Batal. artyleryi: Hauke kapitan:
Stuart "
Kobylański porucznik.
Piechowski "

Batal. 1 piechoty: Konopka szef batalionu.
Downarowicz szef batalionu.
Hodzkiewicz kapitan.
Routier adjutant major.
Winert kapitan.
Iliński "
Melfort "
Parys "
Jurkowski kapitan.
Brzychwa "
Zakrzewski porucznik.

2gi batalion: Chłopicki szef batalionu.
Szielski " "
Billing kapitan.
Koszucki "
Laskowski kapitan.
Borowski "
Kozakiewicz "

Kosiński kapitan.
Hraczyński „
Słoński porucznik.
Kołodyński „
Wasilewski „
Szremer „
Solnicki „
Gałecki podporucznik.
Koszubski „
Daszkiewicz „
Pruszkowski „
Kochański „
Koszarski „
Roszkowski „

3ci batalion: Karski szef batalionu.
Kamiński szef „
Żółtowski kapitan.
Kowalski „
Łączyński „
Dziurbas „
Vander-Noot adjutant major.
Przezdziecki porucznik.
Tański „
Wąsowicz „
Notkiewicz „
Madaliński „

4ty batalion: Małachowski szef batalionu.
Królikiewicz „ „
Bogusławski kapitan.
Zelleryn „
Reinhold „
Godebski porucznik.
Łysakowski „
Blumer „
Oskierko „

	Tokarzewski podporucznik.
	Niedzielnicki „
	Szymański „
5ty batalion:	Kirkór pułkownik.
	Sieradzki kapitan.
	Biernacki „
	Cybulski porucznik.
	Berensdorf „
	Zadera „
	Borys „
	Majewicz „
	Borkowski „
	Kaczanowski „
	Zadera „
6ty batalion:	Lachowski szef batalionu.
	Szubert kapitan.
	Tisson „
	Domaniewski porucznik.
	Michałowski „
	Markiewicz „
	Bergonzoni „
	Bajer „
	Szczepański „
	Obertyński „
	Nagrodzki podporucznik.
	Nowicki „
	Litwiński „
7my batalion:	Zawadzi szef batalionu.
	Lenkiewicz kapitan.
	Modzelewski „
	Rafałowski „
	Grodzki „
	Lipiński porucznik.
	Rakowski „

ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

XV.

O ŚNIE ZIMOWYM PTAKÓW.

(Dalszy ciąg).

Twierdzą dalej że Niedźwiedź, Świszcz bobak, Borsuk, Koszotka i t. d. tyle w sobie mają tłuszczu że im na całą zimę wystarcza za pożywienie. Z jednej strony krytykując to zdanie, musimy się zaiste zadziwić, iż do utrzymania życia przez pięć miesięcy dostatecznym być ma ten tłuszcz wylizywany z łap, *ktoryby się tam z całego ciała koncentrować musiał?* lub też jak u bobaków które w kółko jedne blisko drugich się kładą i kupkę nierozdzielną tworzą, emanacya wzajemna za pożywienie służyćby miała? Z drugiej strony widzimy ssące stworzenia, niezostające w długim i ciągłym letargu zimowym, zabezpieczające sobie szpiżarnię na zimę jak Jeże, Wiewiórki, Homiaki niektóre gatunki myszy i t. d.

Patrz zeszyt lipcowy.

Cóż to dowodzi, że jedne potrzebują pożywienia, a drugie w otrętwietniu jak bez życia zostają zimę całą, daléj że jedne jak n. p. Niedźwiedź w gawrze mają czucie i zaraz dają znaki życia, inne i tych jest większa część są że tak powiem zmarzniętemi bryłkami. Czyż twierdzenie o bobakach potrzebuje odparcia? pewnie nie, lecz dla okazania jak mało téj zajmującéj kwestyi badań i poszukiwań poświęcono, jak mało ją rozbierano już nie na podstawach anatomii i nauk przyrodzonych, lecz zdrowym rozumu sądem, wypiszę tu z mych notatek dwa zajmujące spostrzeżenia.

W roku 1834 podróżując po Sabaudyi pokazywano mi kilkaset sążni ziemi do słońca leżącéj w lodowcach *de l'allée blanche*, okolonéj lodami okiem nieprzejrzanemi. Na tym kawałeczku kilka rodzin świszczów bobaków od niepamiętnych czasów żyje, młode wychowuje i w téj mikroskopicznéj ojczyźnie życie pewnie bezprzykładne spędza, gdyż w roku całym dziewięć miesięcy są śniegiem zasypane a na trzy miesiące lub cztery (w szczęśliwym dla nich roku) odkrywa się skała, ubarwia nędzną wegetacyą która im służy za pożywienie. W Tatrach naszych znam podobne, chociaż nieco większe miejscowości na których te zwierzątka żyją kilkanaście tygodni, wydają dorodne bobaczki na świat co roku, a 7 do 8 miesięcy w letargowym śnie przepędzać muszą. *Zdaje mi się że na podobnym chlebie tłuszczu zbytecznego nieuzbierają.* Lecz tak jak nie każdy niedźwiedź w gawrze całą zimę śpi, tak nie każda rodzina bobaków przeznaczoną jest na tak długie otrętwienie, to dowodzi jak życie zwierząt jest częstokroć wyjątkowe, jak się stosuje do okoliczności, nawet przypadkowych jak często jest różna potrzeba pokarmu i ilości powietrza. Mam przekonanie że gdyby do tych dwóch miejscowości przyniesiono z innych mniéj zimnych stref bobaki pod jesień, te by z trudnością wytrzymały długo-

trwały letarg do którego się były nieprzyzwyczaiły. To nam dowodzi że są już wyjątkowe położenia w naturze, których prawie pojąć nie można, że do tychże pomału żyjątka się przyzwyczajają, i do okoliczności i potrzeby z *przeznaczenia* umieją czyli mogą się zastosować. Mnie zaś to przekonywa że w przyrodzie wszystko pod te same prawa podciągnąć nie można i sądzić wszystkiego opierając się na jednéj podstawie, tem mniéj gdy dotąd z tajników zasłona nie spadła i my na niektóre zdarzenia wyjątkowe nie mamy dowodów, a jeżeli je rozum nie pojmuje i dla tego potępia, będziemy zawsze krótko widzącemi i bliżéj błędu jak prawdy. — Myszy i rodzaje pokrewnione z niemi potwierdzają te naszą uwagę; w tym samym gatunku, jedne znalazłszy obfite pożywienie i ciepłą zimowlę nietrętwieją i nawet mnożą się, inne po jamach w uśpieniu część zimy przepędzają.— Wiele bardzo raportów z różnych krajów miałem przed oczyma od roku 1770 do naszych czasów w których dnie i miesiące były zapisane pory zimowéj, dowodzące iż w listopadzie, grudniu, lutym i marcu pojedyncze, lub w małych gromadkach jaskółki pojawiały się na krótki czas i znowu znikały z widnokręgu, zawsze była mowa o Jaskółkach, Dymówkach i Grzebiółkach nigdy o Oknówkach; opisy z południowych wysp europejskich zgadzają się na to twierdzenie, w zimie często bardzo jaskółki przylatują w ciepłych dniach, pobujają chwilkę, a jak zimno chwyci, lub słota nastanie, znikają w okamgnieniu. Czy kto będzie miał odwagę wyrzec, że te ptaki z Azyi południowéj lub Afryki na spacer sobie kilkaset mil przyleciały i znowu spacerem odlatują? Pewnie że nikt. Sam nieraz widywałem dwa pierwsze gatunki w drugiéj połowie października i w listopadzie lub też na końcu marca i początku kwietnia; te chwilowe pojawiania się jaskółek zawsze mnie dziwiły i już od lat wielu naprowadzały na tę myśl że one w otrętwieniu wyjąt-

kowo spoczywały, dalekiéj podróży odbyć nie mogły, gdyż zimno i głód byłyby je nieochybnie zabiły; tem mniéj przypuścić mogę, aby znikając mi z oczów na długi czas, one napowrót kilkatysięcy mil odlatywały w porze mroźnéj w któréj wszystkie owady w śnie zimowym pogrzebane bywają. Raporta różnych podróżujących zgadzają się co do terminów przybycia jaskółek do ciepłych krajów w Egipcie i w Libii w połowie pierwszéj września w Bengalu, Kanadzie, Senegalu i w Jamajce, na wyspach kanaryjskich i przylądku Dobréj Nadziei najpóźniéj do 6go lub 9go października, jakże wytłómaczyć możemy obecność jaskółek w naszym kraju w październiku lub listopadzie? Jak wytłómaczyć te pewne liczby tych ptasząt latających w tem samem miejscu, dające ruchami i zwyczajami dowody że to zawsze te same a przecie znikające i pojawiające się na nowo? Przecie te ptaki nie mogły odbywać podróży dalekich i znowu powracać; uwzględniając niesłychaną lotność jaskółek a przypuściwszy nawet że w 24 godzinach mogą odbyć 100 mil, jeszcze myśleć nie możemy iż w jednym lub drugim tygodniu polecą już nie do Indyj lecz do Grecyi, Malty lub na wyspy Archipelagu i niebawem do nas powrócą? Twierdzą że te spóźnione ptaszęta wszystkie głodową śmiercią giną, pewnie że wielką część ten smutny los spotyka, lecz gdyby te wszystkie które widziemy miały zdechnąć i to w krótkim czasie, *gdyż głód i zimno w jednym lub dwóch dniach wszystkie by zabić musiał*, przecie byśmy je spotykali na różnych miejscach i o tem słyszeli, a kto w październiku, listopadzie lub marcu może nam złożyć na to dowody? Rzecz się ma inaczéj z jaskółkami gromadnie przybywającemi w kwietniu do naszych krajów. Wtedy słotne zimno często krociami je zabija, lecz *czas otrętwienia minął, ogarnizm rozbudzony trybem lęgowym rozgrzany pożywieniem przyjętem*, *nie da się w jednéj chwili*

do letargu, tego symbolu śmierci, przymusić i wtedy to niemal na każdem miejscu znajdujemy ofiary niecierpliwych podróżniczek; dla czegóżbyśmy nie mieli je zdybywać w tych miesiącach które wyżéj wypisałem? Łatwo zaiste wątpić, a wątpliwością jak mgłą ciemną nakrywać to czego zrozumieć dotąd niemożemy, a nader trudnem zadaniem śmiertelnika odkryć i na to złożyć dowody co z woli Stwórcy przyroda w tajemnicy kryje!

Wiele autorów idąc w ślady za poprzednikami, szczególniéj zaś za Kleinem przypuszczają, iż niektóre jaskółki chowają się w kryjówki i tam się żywią żukami i ich poczwarkami, owadami lub ich jajkami. — Kto spruchniałego drzewa trociny badał, kto przejrzał w jesieni rozpadliny ziemi i nory jaskółek, kto zna żarłoczność tych ptaków pewnie z uśmiechem to zdanie potępi i odrzuci. — Że ludzkość pracująca corocznie w odkryciach postępuje, co roku pewne zasłony zdziera, dowodzić niepotrzebujemy; astronomia, nauki przyrodzone chemia i fizyka codziennie potwierdza, że nieco odkryliśmy, lecz że każdy sumienny pracownik ma otchłanie jeszcze przed sobą i w każdym zawodzie nie jedno życie strawimy, generacye zastępywać będą generacye a tajemnic zostanie niemało do skończenia świata, które Bóg człowiekowi odkryć niedozwoli aby wiedział, że wszechwiedza jest boską atrybucyą, niezgodna z naszą ułomnością!

Cóżby w średniowiecznych czasach odpowiedziano na to twierdzenie iż chemicznym procederem można człowieka uśpić i strętwić do stopnia tego że obieg krwi i oddech ustają i znowu człowieka fizycznym aparatem poruszać i trupów nawet do ruchu przyprowadzać?

Cóżby poprzednicy, badacze przyrody za zadziwienie okazali gdyby usłyszeli że niektóre ptaki bez zmiany pierza, lecz starcia końcówek piór przybierają inne ko-

lory, i te kolory potęgując jaskrawość, zmieniają w zupełności barwę tych ptaków, a to w tak krótkim czasie że rozum téj metamorfozy pojąć nie może, a o rzeczywistości téjże sam się przekonałem. To odkrycie zrobił lat temu trzy profesor Szlegl z Leydzie w Holandyi, sumienny i zacny badacz, jego imie pełne zasług przejdzie do potomności z laurami rzadkiemi w naszych czasach, barwiących odkrycie niedające złota i srebra, metalami za któremi dziś wszyscy gonią, nad pomnożeniem których najtęższe głowy pracują. Rzeczywistość tego zadziwiającego odkrycia sam licznemi dowodami poprzeć mogę, a mógłbym czytelnikom arkusze zapełnione przedstawić dowodzące z jakiem niedowiarstwem i zazdrością to odkrycie w sąsiednim naukowym świecie przyjętem było, jak się autorowie silili na udowodnienie *że to być nie może i że wątpić wypada!*

Jeżeli dotąd nikt Doktorowi Schwedenborn nie zadał kłamstwa, że dziewczynę czternastoletnią na trzy tygodnie zamroził i znowu ocucił, że późniéj tę ofiarę badań naukowych na dłuższy czas tym samym procederem uśpił i do życia powołał; jeżeli prorocy indyjscy (Santosy) po kilka miesięcy w ziemi zakopani na 3 do 5ciu łokci potem zmartwychwstają i durzą łatwowiernych iż Boskość posiadają, wtedy mimo wstrętu rozumu, wiele niepojętego wierzyć a jeszcze więcéj przypuszczać możemy. Na pierwsze zdarzenie mamy dowody w protokóle akademii w Sztokholmie z roku 1845go, na drugie wiele raportów wiarygodnych podróżujących a najważniejszy w sprawozdaniu gubernatora Indyj Lorda Grey, który był osobiście przy zakopaniu proroka i przez sześć tygodni grób wojskiem otoczony trzymał, po którym to czasie wydobyto ofiarę i widział naocznie jak stopniowo do życia przychodził i późniéj kilka lat przy dobrem zdrowiu go zostawił.

Przejdźmy w inny świat żyjątek. Gaimard zamrażał ropuchy polewając je na mrozie wodą i tworzył bryłę nieruchomą lodu, po czasie jaki sobie wybrał raz dłużéj drugi raz krócéj, polewał je letnią, daléj ciepłą wodą do życia i ruchu w 10ciu minutach powracał. Jak wiele tych zwierząt niejaki czas bez powietrza obejść się może, dowodzą ropuchy i żaby zamurowane na lat kilka a może i kilkanaście; sam znam zdarzenie iż ropucha przez trzy lata w murze bez żadnéj styczności z powietrzem spoczywała wapnem przyrzucona i w téj saméj pozycyi ją odkryliśmy, z początku nie ruszała się, lecz patrzała na nas, po kilku minutach ruszać się zaczęła, po dwóch godzinach poszła sobie, pewnie szukać pożywienia! Wiele bardzo żuków trzymać można godzin kilka pod wodą, byle je do tego stopniowo przyzwyczajać, które poźniéj odżyją, równie owady i robaki. Nikt przecie nie powie że prawidła przyrody przeznaczają wszystkie żyjątka do tego życia wyjątkowego, które niemal w każdéj klasie napotykamy a one je znoszą, i tym sposobem śmierci unikają.

Do téj chwili moje doświadczenie nie bogate w dowody, mimo że żadnéj sposobności nieopuściłem w zgłębianiu téj ciekawéj tajemnicy, a mimo że dwa razy znalazłem Przepiórki i Jaskółki dymówki w skośnieniu (*torpor*) które do życia powróciły, jeszcze z pewnością twierdzić nieśmiem iż niektóre ptaki w tym letargu zimę całą przepędzić mogą.— W połowie grudnia roku 1837 przyniesiono do dworu mego majątku w Brzeżańskim cyrkule położonego, siedm młodych lecz wykształconych przepiórek. Znaleziono je w dziuple spruchniałego buka siedzące w kupce z nóżkami ściągniętemi pod brzuszek na obfitych trocinach; ptaki które w tym stanie widziałem były twarde jak kamień, po kilku godzinach spostrzegliśmy w ciepłym pokoju pierwszy znak życia w poruszeniu pierza całego, daléj odsunęły się nieco

skrzydła od ciała, drgać ptaki zaczęły w dalekich odstępach, nareszcie oczy otworzyły i mrugając jak do taktu dzióbki otwierały, cały dzień pożywienia żadnego przyjąć niechciały i spostrzegaliśmy wielkie osłabienie do drugiego dnia. Te same zmartwychwstałe przepiórki puściliśmy w pole na wiosnę. — W buku ściętym 12go grudnia leżało sześć jaskółek dymówek zmarzniętych zupełnie, przyniesione do pokoju 4ry pomału do życia powróciło, dwie zaś sen do śmierci zaprowadził; niestety i tamte cztery po kilkunastu godzinach z głodu zginąć musiały, owadów nie było a innego pokarmu przyjąć niechciały. Dziś surowo sobie wyrzucam błąd nie do przebaczenia, że niezamroziłem kilka tych ptaków na nowo, byłbym miał skazówkę, jeżeli nie dowód na to czego tak uporczywie szukam, a być bardzo może iż w dalszem mojem życiu niezdarzy się już znaleść w zimowéj porze strętwiałych ptaków. Nie raz mi myśliwi i wieśniacy podobne zdarzenia opowiadali, lecz bez dowodów na powrócenie do życia, gdyż jak to pojąć łatwo, ile razy znaleźli ptaki otrętwiałe, odrzucali je na bok jako zdechłe i te rzeczywiście późniéj już odżyć nie mogły. Jeżeli porównam organizm i obieg krwi ptaków z organizmem w letargu spoczywających ssących zwierząt, nieznajdę żadnéj przyczyny aby tak jedne jak drugie nie mogły w stan letargowy przechodzić, a że już nie potrzeba dowodzić rzczywistości *torporu* w wielu gatunkach czworonożnych żyjątek, jak równie tego: że jedne chwilowo trętwieją, inne na dłuższy czas i znowu się budzą, te zasypiają, przy cieple oczy otwierają, pokrzepiają się powietrzem, tamte żeru szukają, jedne przyjmują nieco pożywienia, drugie w letargu całą zimę przepędzają; są znowu takie które przy pewnym stopniu ciepła kryjówki opuszczają i żyją życiem naturalnem, a przyciśnięte zimnem trętwieją. Napotykamy wszędzie wyjątki, wszakże śmiem twierdzić iż

są peryody *krótkie które zwierzęta ssące, gady i owady przespać muszą*, i li przypadkowemi okolicznościami w tym terminie rzadko kiedy przebudzanemi bywają. Że cała przyroda tak ściśle jest związaną, tak szczelnie zamknięty tworzy łańcuch, iż idąc z ogniwa po ogniwie można z ostrożnością daleko zajść i pewne dedukcye czynić, które późniejsi badacze, mając wskazaną drogę przez nas, potwierdzą lub sprostują. J tak np. widząc ptaki otrętwiałe w grudniu, z tego gatunku z którego towarzyszki dwanaście tygodni pierwéj Europę opuściły, przecie do życia cieplikiem sztucznym przywrócone, można przypuścić że tak jak wytrzymały sześć lub ośm tygodni ten torpor, mogą w tym stanie do wiosny wytrzymać. Ptak w ruchu będący bez pożywienia po 24 godzinach żyć przestaje (excypując drapieżne), a zatem czy ptak ośm dni czy sześć miesięcy nie żeruje, a znowu do życia powołanym bywa, jest obojętnym zdaje mi się zarzutem. Ptaki które w tym stanie widziałem były tłuste czyli mięsiste i tego wycieńczenia nie spotykałem które to z bólem serca uważamy czasem na czajkach, bocianach i czaplach w kwietniu gdy mróz ściśnie wodę, a śnieg pokryje ziemię; równie w opowiadaniach innych o chudości szkieletowéj nigdy niesłyszałem.

Nie raz zadawałem sobie pytania, na które i dziś z pewnością niestety odpowiedzieć jeszcze nie mogę: jak n. p. przepiórki z późnego zniesienia w sierpniu a czasem i we wrześniu, będące jeszcze w październiku niezupełnie wypierzonemi, a bywa ich u nas niepospolita liczba, szczególniéj w gospodarstwach z wielkiemi łąkami suchemi i obszernemi łanami koniczyn, gdzie najczęściéj pierwsze zniesienie kosa niszczy, — jak te ptaki mogą odbyć podróże zaantlantyckie, kiedy niemal co roku ku końcu października mróz chwyta i śnieg pruszyć zaczyna; jakże znowu mogę przypuścić, że te wszystkie późno wyklute ptaszyny skazane być mają

na nieochybną śmierć, i że w każdéj jesieni krocie ich przeznaczane na zniszczenie. Czyż tak sądzić możemy o mądrém i miłosiernem gospodarstwie Bożem? Gdy w późnéj jesieni spotykam te biedne przepiórczęta najpierwéj rejterujące z pola do bliskich krzaków, późniéj do lasów gdzie tak mało pożywienia znaleść mogą, wtedy mimowolnie mi zawsze myśl przychodzi że kryjówek szukają i pomału w otrętwienie przechodzą.

Chróściel wodnik (Rallus aquaticus) równie innym owadożernym ptakom, odbywa co roku w jesieni zamorskie podróże, a przecie nie mało ich pozostaje w naszym kraju przy cieplicach obszernych stawów i jezior, niedostępnych dla gąszczów utworzonych przez odwieczne trzciny i szuwary, tak samo zimuje jak w Grenlandyi północnéj Szwecyi, Norwegii i Islandyi. Te ciekawe i w samych zwyczajach mało znane ptaki, zajmowały mnie przez wiele zimowych miesięcy, i myślę że ich życie porównać mogę do życia letargowych ssących zwierząt. Gdy dzień był słoneczny i mróz ustąpić musiał przed promieniami południowego, tak krótko nam świecącego słońca, wodniki w gwarze i ruchu nieustającym godzin kilka przepędzały, w innych chwilach grobowa cisza panowała; gdy znowu śnieg sypał czas długi lub mrozy w otrętwienie całą przyrodę oprowadzały i powierzchnia cieplic nawet ciężkim lodem jak szybą szkła się nakrywała, wtedy ani oko spostrzedz wodnika nie mogło, ani ucho usłyszeć tych mi znanych tonów tak podobnych do głosu wydawanego przez świnie i dla których Grenladczycy tego ptaka nazwali *ptakiem świnia*. Powietrze podobne trwa u nas czasem tygodnie i miesiące całe, co robią wtedy wodniki? Często umyślnie wybierałem wodę i szlamową ziemię z cieplic, i badałem je sumiennie, wprawdzie znajdywałem wiele poczwarek i ślimaczków, lecz nie tyle aby przypuścić że ta ilość jest w stanie wyżywić kilkanaście ptaków prze-

cie znacznéj wielkości, równie myśleć nie mogę aby ptaki te tłukły dziubami lód i szukały żeru? Cóż więc wnosić musimy? *Że albo w otrętwienie te ptaki wpadają, lub że się przy życiu utrzymują nam nieznanym sposobem?*

Jeszcze tu jeden szczegół do tych zagadek dodać muszę, będzie on silnym bodźcem do badania téj tajemnicy. Przepędziwszy na wyspach północnego morza kilka tygodni, umieszczałem się zawsze w najodludniejszych stronach aby gadatliwy człowiek nie przeszkadzał moim badaniom i poszukiwaniom, a ja zakryty abym mógł swobodnie przypatrywać się życiu mych lubych lotnych ptaków. Pierwszych dni października zaskoczyły mnie tak mocne i zimne północne wiatry że się z wyspy ruszyć nie można było, dzieliłem więc biedę, zimno i niedostatek z ptaszynami srogo nienawidzonemi i z niemałem zadziwieniem w ciągu méj podróży spostrzegałem pojedynczo lub gromadnie latające jaskółki grzebiołki i dymówki, zaś w czasie zimnym ani jednéj oko postrzedz nie mogło. Gdy nazajutrz rozkiełznane wczorajsze wiatry dąć przestały, a ja się podkradałem pod wał przeciw falom morza wysypany, ujrzałem kilka jaskółek dymówek wylatujących ze szczelin i rozpadlin między kamieniami, szturchając zaś stęplem od strzelby wygoniłem jeszcze kilka, że te nory były kręte nie mogłem się przekonać, czy tam jeszcze inne pozostały lub delikatniejsze już w otrętwieniu spoczywały. Pokazało się że przy każdéj zimnéj słocie i na noclegi jaskółki do tych kryjówek się chroniły. Czy mi za złe czytelnicy i koledzy wezmą jeżeli się przyznam iż posądzam że te jaskółki w tym wale zimę przepędzają, nie mogąc przypuścić aby w téj późnéj porze roku mogły się puścić w daleką podróż.

Czas już pewnie konkluzyę tego wszystkiego wypisać i was czegoś nauczyć, a jakże to z zagadki konkludo-

wać? Skromnie i z pokorą wyznać więc muszę, że nic z pewnością twierdzić nie mogę, i że z zagadki w przypuszczenie przechodzę, z domniemywania wnioski czynię, a gorąco proszę i serdecznie pragnę, tak serdecznie jak tylko miłośnik przyrody pragnąć może w swéj nienasyconéj ciekawości, aby ci co o téj tajemnicy wiadomości mają jakie, łaskawie mi je udzielili, zaś do badaczy się udaję, nawet do ufnych w potęgę nieomylnego ich rozumu, aby bez szyderskiego uśmiechu szczerze tę tajemnicę zgłębiali, a nie pisali o niéj jak o bajeczce dla dzieci, lub jak o baśniach z gminnych podań.

Nie mogę więc twierdzić że jaskółki zimują w kryjówkach naszych krajów, *czyli pewna ich część*, nie mogę tu przekazać potomności, jako owoc mych prac i doświadczenia, lecz przyznaję, że to przypuszczam i że daléj badać będę z całem poświęceniem te skrytości ciekawe, a co przez kilkanaście lat spostrzegłem, wypisałem tu jako skazówkę dla późniejszych badaczy. Że się jaskółki do kryjówek chowają w późnéj jesieni, te które z towarzyszkami w podróż się udać nie zdążyły, że jaskółki które widujemy czasem w marcu i początkach kwietnia nie przylatują z Indyj, bo zimno i głód tych podróży nie dozwolą, że wreszcie ptaki w pierwszych miesiącach zimowych z otrętwienia obudzone zostały, wierzyć muszę, *chociaż to dotąd za wyjątkowe zdarzenia uważam*, a biegnące z przypuszczenia w przypuszczenie, czynić muszę wnioski które nienapotykając opozycyi w sądzie rozumu mego, rozdrażnić muszą ciekawość moją, a zaostrzyć chęć każdego badacza do pracy.

Pewnie sztuka lekarska w zamiłowaniu nauki, w chęci przyniesienia ulgi cierpiącéj ludzkości, znakomite postępy uczyniła, i niepojęte odkrycia zdobyła, a czy dziś może wyjaśnić letargi ludzi? Czy może powiedzieć, dla czego cały organizm w ten torpor wpada i jak długo ten torpor trwać może? Czy dwa lub trzy dni letargu

nie nasuwają nam myśli, że groby nieme dłuższe i straszniejsze letargi w tajemnicy chowają. W klasach ludzi w których skomplikowane lekarstwa do dekompozycyi nie pomagają, w których człowiek umiera cicho i prędko, że tak powiem znika bez hałasu i wrażenia jak kwiatek z łąki, czy w téj klasie pełnéj zdrowych soków nie zepsutych ani sztucznemi niezdrowemi pokarmami, ani aptecznemi truciznami, letargi krótsze i dłuższe zdarzać się muszą, o których akademie lekarskie nigdy nie słyszały! Mogą uczeni doktorowie twierdzić, że letarg dłużéj nad 48 godzin trwać nie może, ja myślę że nie w jednym grobie prostaczka straszliwy dramat się odbywał, i my wtedy dopiero ujrzemy tę tajemnicę bez zasłony gdy trąby archaniołów zagrzmią a jeden o drugim wiedzieć będzie co cierpiał, jak duszę oczyścił, i jaką pokutą gniew Boży przebłagał!

Oprócz podań ludowych dawnych bez pewnych dowodów, oprócz ustępów autorów, częstokroć zacnych i wiarogodnych, nie mamy źródeł w których cierpać możemy dochodzenia tajemnicy zimowania ptaków pod wodą; ja sam, mimo że tyle o tem słyszałem, niezebrałem dotąd żadnego dowodu, a zatem nie mogę nawet uchwycić nitki Ariadny do tego labiryntu, — lecz nie opierając wszystko na rozumie, na wszechwiedzy któréj nikt nie posiada, odrzucić nie mogę tego o czem rozumniejsi odemnie niewątpili; a jeżeli nury i maskonury z pod wody przy biegunach północnych w zupełnym torporze wyciągane bywały, i do życia przywracane, te ptaki mające płuca i ten sam obieg krwi, niepojmuję dla czego przypuścić nie można że inne ptaki w podobnych okolicznościach i miejscowościach nie mogą pod wodą zimować? Mój rozum zgłębiając te tajemnice wprawdzie się na tę myśl wzdryga i nieznajduje jednego argumentu do poparcia zimowania ptaków pod wodą, lecz znając ogrom tajemnic przyrody, niski stopień

naszego wtajemniczenia, mądrość niezrozumianą Stwórcy w urządzeniu i w prowadzeniu olbrzymiego świata, z arabem wykrzyknę w pokorze: Wszystko być może, Bóg wielki!

Co zaś do letargu ptaków, *a organizmem tak do ssących zwierząt zbliżonych*, wyznać muszę, że niektóre dowody, i tyle wskazówek prowadzą mnie do wniosku, iż rzeczywiście ptaki w torporze jak i zwierzęta zimować mogą, niektóre używając tu i owdzie okruszynek pożywienia, inne bez obudzenia się do czasu wiosennego słońca i odżycia owadów spoczywają. Przypuszczam naturalnie, że to są wyjątkowe zdarzenia, lecz myślę, że kilkakrotnie na kontynencie co roku powtarzać się muszą, bo jakże inaczéj twierdzić, widząc krocie ptaków odlatujących do ciepłych krajów, i czytając równobrzmiące raporta o terminach przybycia ich za morza, znowu przypuścić tu muszę że wielka część ptaków corocznie z drugich zniesień jaj tak późno wykłutą bywa, że podróży już dla zimna i głodu odbyć nie może.

Czuję ja dobrze, iż te wyjątkowe przeznaczenia dla żyjątek téj saméj gromady, tego samego rodzaju a nawet i gatunku, które udowodnić usiłowałem, straszliwie razić będą mych kolegów, twierdzących że pewne gatunki temi samemi prawami rządzone bywają i być muszą, lecz gdy się bliżéj przyrodzie przypatrzą — ujrzą wszędzie wyjątkowe exystencye, spostrzegą, że są tajemnice, których nasz rozum przebić dotąd nie może, i z pokorą wyznać będą musieli, że nam wiele do odkrycia pozostaje; a jeżeli dumny rozum wątpliwości hamulcem zatrzymywać nie będzie dalszych badań, pewnie potomność się dowie o tajemnicach, których dziś ludzkość przypuścić nie chce.

Mimo nienaruszonych odwiecznych praw rządzących światem od jego stworzenia, widzimy wszędzie tajemnicze wyjątki, których pojąć nie możemy, i na wargach drga

ustawicznie to słowo grzesznego człowieka: *dla czego?* jak dzieci nie mogące pewnych myśli zrozumieć, dąsają się i sobą miotają, — tak my przy szronie na włosach ogarnięci miłością własną, dufni w naszą wiedzę, wytężamy wzrok umysłu, a gdy jasno nie stanie przed nami szukana myśl, z niepojętą zarozumiałością utrzymujemy, że jéj niema bo jéj niewidziemy!

Letarg w człowieku jest wyjątkowym stanem, a zaprzeczonym być nie może. Ssące zwierzęta w téj saméj gromadzie, czasem w tym samym gatunku jedne chwilowo w letarg wpadają, inne całą zimę w tymże pozostają, te kiedy niekiedy pożywienia potrzebują, tamte w skośnieniu całą zimę przepędzają bez żadnego żeru, w tym samym gatunku mnożą się niektóre, a towarzyszki trętwieją w mroźnych porach. Ropuchy polewane lodowatą wodą lub zamurowywane na lat kilka, i znowu do ruchliwego życia przywracane, znoszą wyjątkowy stan. Santony indyjskie zagrzebując się pod ziemię na kilka tygodni wpadają w stan umarłych. Magnetyzowani i jasnowidzący często w stan nienaturalny wprowadzeni bywają. Moje jaskółki i przepiórki znalezione w grudniu w stanie skośnienia i przywołane dobroczynnem ciepłem do życia, znajdowały się w wyjątkowem położeniu; a czy kto powie że każde zwierze ssące przeznaczone na otrętwienie, lub ropucha na kilkoletnie zamurowanie? Każdy Indyanin na pochowanie żywcem do grobu? Wszystkie przepiórki i jaskółki na letarg zimowy? Czy wszystkich ludzi można przez magnetyczne uśpienie na równy czas quasi śmierci oddać? Każdy odpowie że nie, a w świecie owadów i żuków w tym świecie olbrzymim, a mikroskopicznym cóż tajemnic, co wyjątków, i jakie trudności w odkryciu ich, a przecie istnieją i zadziwiają nas ustawicznie! Każde stworzenie potrzebuje codziennego pożywienia, bez którego zginąć

musi, a przecie w każdéj gromadzie dziwne wyjątki napotykamy.

W zimie nawalnie śnieżnéj, upatrzyłem w zaspie śniegu zająca zadętego, który dni 6 to jest przez cały czas trwania tego okropnego czasu nieruchomie i bez pożywienia odsiedział swą pokutę, i znowu pobiegł za pożywieniem gdy się powietrze zmieniło, a twierdzić mogę że często i dłużéj te pożyteczne dla nas zwierzątka, bez pożywienia czas zamieci śnieżnych przesiadują w pół otrętwieniu. Nikt więc wyjątkowych przeznaczeń z przyrody wymazać nie może, nikt wyrzec że tajemnic nie ma dla rozumu ludzkiego, a kto z sumiennych badaczy obroni się przeciw zwątpieniu, kto zgłębi prawdę i zbierze rzeczywiste dowody nim wątpić zacznie, ten kroczyć będzie śmiało ku skarbom tajemnic przyrody.

Olejów dnia 20 czerwca 1859.

Kazimierz Wodzicki.

DIANA—NOCENA.

WIERSZ NAPISANY W PAMIĘTNIKU KSIĘŻNÉJ NARCYZY CZETWERTYŃSKIEJ.

Βουλομ ὕμνεῖν Σεληνην.
Σ' ἀναμέλφαμεν, Σελήνη,
Μελέωρον ἀργορᾶωιν.
Leopardi.

Dianam tenerae dicite virgines.
Horat. *Od* l. I, XVIII.

Cudna auzońska nocy w drżących gwiazd koronie,
Błękitna, — z pełnią czarów i księżyca w łonie,
Jeszcze wśród jaśni twoich odżywa podanie
O niebieskiéj łowczyni na srebrnym rydwanie,
Gdy szuka uśpionego w lasach Endymiona,
A mglana jéj się bieli po liściach zasłona,

I zapłakana rosą twarz jéj się promieni
Z pod wiecznéj tajemnicy lazurowych cieni...
Znać nieśmiertelnie młoda — tak czysta dziewicza,
Rzewna by pierwsza miłość, jasność jéj oblicza,
I w lilianéj bieli w gęstwę zabłąkana
Tak trwożnie liść uchyla by ujrzeć młodziana.
Znać lęka się go zbudzić — taka cicha, drżąca,
Wieje nieporuszając liścia, który trąca,
I znać wiecznie raz pierwszy kocha — tak wpatrzona
W posągowym zachwycie w piękność Edymiona!
A gdzie tylko ku niemu przewiała po rosie,
Wszędzie gwiazdy brylantów rozsypanych lśnią się,
W każdą łzę wstąpił promień: tysiączne źrenice
Łzawe tysiąca kwiatów wpatrzone w dziewicę.
Sama ziemia auzońska, ziemia kwiatolita,
Podnosząc głowę wyżyn swą boginię wita,
Jakby rozbłękitnione każde swoje wzgórze
Chciała jéj wiewnym stopom oddać na podnóże;
A wzgórza te od morskich przezroczystsze fali
Wwiane w lazur gdzieś płyną w nieskończoność dali:
Rzekłbyś sny śpiącéj ziemi na jaw nie wyśnione
Plotące widnokrężną z widziadeł koronę.
Przejrzalnością im równe z nad gór co się sinią,
Łabędzie przez tumany lecą za boginią,
I już cały widnokrąg niezmiernéj przestrzeni
Stał się wieńcem mar śnieżnych i niebieskich cieni,
Jak gdyby w koło Diany nimfy i charyty
Wiodły chór z ich postaci na przemian uwity;
A migotliwe gwiazdy wschodzące w ich kole
Zdają się klejnotami na tych cieni czole,
I sam blask elizejski co się w górze pali
Światelnym zda się cieniem lucerny z opali.

Cudna auzońska nocy w drżących gwiazd koronie,
Lubię twoją boginię gdy jéj pełnia tonie

W wawrzynowych ciennikach jak nocna lilia
Rozkwitła z pączka chmurki, która górą mija,
Gdy od bladości kwiatu, co pływa w lazurze,
Na pokosię zachodu bledną brzasku róże.
Lubię twoją boginię gdy w chórze niebianek
Nad wiankiem gór łacińskich gwiazdy splata w wianek,
I wzniesionem dwurożem lekka przewodniczy
Drużkom wiodącym planet taniec malowniczy,
Przy téj muzyce światów, co w ciszy wieczora
Zasłyszało przed wieki ucho Pitagora,
A mleczna tańca droga wydeptana od niéj
Zdaje się smugiem dymu z jéj bladéj pochodni.

Lubię twoją boginię gdy łuk swój przypina
Do zwieszonego włoskiéj sosny baldachina,
A jeszcze drżącą strzałą w ciemną gęstwę godzi,
Gdy mara jéj światłości omglona przechodzi
Jak westalka przez portyk sosnowych konarów
Między długiemi rzędy tych lasu filarów.

Lub gdy z za czarnych gajów bladą skroń odsłoni
Zwilgłą obłokiem nocnych balsamicznych woni,
I cienie z niéj strząsając jak fiołki bez liku
Złoży ją na samotnéj kolumny świeczniku,
I senną samym smętkiem uwieńczoną głową
Świeci na postumencie jak lampą grobową.

W godzinę któréj miękki wietrzyk co kołysze
Śpiewną w objęciu falę coraz senniéj dysze
Lubię kiedy zefirów lutnie ucichają
Białoręką Selenę *), gdy nad śliczną Bają **)

---

*) Δεσκόλενος Σελήνη. *Homerid.*
**) Znane ze starożytności *Bajae* pod Neapolem.

Zawiśnie, i przez wyłom co się w stropie sini
Do swojéj opuściałéj zagląda świątyni,
A po za bluszczem arkad w srebrne łowi sieci
Tonącą brzasku różę gdy w morze obleci...
Wszystko już wtedy marzy i wpółgłośnie śpiewa:
Fala równiejszą zwrotką na brzegi wylewa,
Słowiki cytrynową upojone wonią,
Coraz ciszéj pod liściem perły głosu ronią;
Cisza nocna wegrana w kryształne przestworza
Zniża muzykę ziemi i muzykę morza;
Echo słuchając ciszy, na pamięć powtarza
Przebrzmiałe na głębinach nuty marynarza;
Od echa, dźwięków cienia, przysłonięte, letsze,
Jak westchnienia kochanków szepcą one w wietrze....
Żywe *lucziol* *) płomyki, co świątynię wieńczą
Grającą światła fryzą, promienią się, brzęczą,
Cień śpiewnemi ich gwiazdki jak zajrzeć się roi,
Każdy krzew świeci, nuci, gdy się w nie ustroi,
Krocie rybackich ogniów na ciemnem skał czole
Równiankami z rubinów błyszczą ku Pozzuole **);
Zewsząd wodne, powietrzne i ziemne przestrzenie
Tknięte czarem czarowne wdziały oświetlenie;
Nawet fala spływając w uścisk drugiéj fali
Błękitni się szafirem, karbunkułem pali ***),
I jak oblubienica na skroń wkłada drżąca
Wianek pomarańczowy z promieni miesiąca...
Wiatr ciężarem zapachów tłumiąc pieśń zaczętą
Różą i cyprysami zawiewa z Sorrento,
I miesięcznemi głoski na morza atłasie
Niewidomy widomie pisze coś o Tassie,

---

*) *Luciole*, rodzaj latających świętojańskich robaczków, właściwy krajom włoskim.

**) W starożytności *Puteoli* niedaleko Bai.

***) Znana jest podróżnikom fosforyczność morza na neapolitańskich brzegach.

Jak gdyby to przesłodkie a tułacze imie
Chciał objąć w fali strofach, w dwóch lazurów rymie,
Jak gdyby z róż ojczystych wielkiego różańca
Chciał wywiać balsam woni na pamięć wygnańca.....
Lilia pól błękitnych — żagiel z wiatrem idzie
Po lilianéj ścieżce prosto ku Nisidzie *),
A nad nim jako siostra w górze się rozwija
Srebrna księżyca pełnia — ta niebios lilia:
Jedna jest ich żegluga, jedna dążność obu,
Od kolebki Torkwata do Wirgila grobu!.....

Między Wirgilem, Tassem, przeobrażon cały
Świat jak poemat snuje same ideały,
W najpiękniejszym ustępie ważąc się otwarty
Już wciela bezcielesność w lazurowe karty.....
Już zarys ziemskich rzeczy dokoła się zwiewa
Jak płonny kwiat migdału z przekwitłego drzewa,
Już roztajała w srebrze, w błękitach, w przezroczach,
Skończoność by kadzidło niknie w twoich oczach;
Ziemia wniebowstępuje: baczysz w okrąg siebie
Szafir nieba na falach, szafir fal na niebie:
Przyroda zda się w modréj muszli zasklepiona
Z miesiącem jako z perłą uriańską u łona.....
W świecie uprzezroczonym, spowietrzniałym prawie,
Jaw widać gdyby przez sen, sen widać na jawie,
Nieskończoność jak Psyche nad tym snem się kłoni
Srebrnobłękitna — z lampą księżycową w dłoni!.....

Lecz blask twój o Noceno! bardziéj sercu miły
Kiedy na ziemi mogił pada na mogiły,
Kiedy z chmurnego nieba patrzy zadumany
Na smętne czarne lasy i na wielkie łany;

*) Wyspa położona niedaleko Bai i jéj zatoki.

Kiedy jak dreszcz śmiertelny nagłą jawność ciska
Na trawiste grobowce lub pobojowiska.
Gdy krąg twój z ramion krzyża wstaje trupio-biały
Przyświecając bladością ziemi owdowiałéj;
Gdy się w godzinę duchów powoli obnaża
Z nastrzępionych piołunem okopów cmentarza,
Wlokąc całun promieni, bez innéj ozdoby
Na siwéj głowie oprócz chmur żałoby,
I jak tułacz niebieski, pośród obcych gości
Szuka niepogrzebanych precz po polach kości,
I rzuca na twarz ziemi długie szmaty cienia
By zmarli niewidzieli żyjących spodlenia!.....

ULGA.

Z HISZPAŃSKIEGO, Z POETY QUEVEDO.

En esta cueva humile y tenebrosa.

Oto pozioma strzecha i te ciemne ściany,
Przystań, gdziem żywcem pogrzebł cień mój skołatany.
Wkoło mnie cisza wielka — a śmierć w głębi łona...
Żądze, nadzieje, żale, wszystko we mnie kona.....
Już i walka ustała: głucho... Oto błogi
Oto pokój cmentarzy, lekarz wszelkiéj trwogi!.....
Niegdyś mię wieszczem zwano, sławiono me pienia:
Nikt nie dostrzegł pod rytmem gorzkich łez strumienia.

Władysław Kulczycki.

NAD WISŁĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).[1]

VI.

Ten długi list, a raczéj dziennik posłany został Stefanowi do Warszawy: Bronisław tymczasem codzień jeździł na Zieloną Kępę i codzień bardziéj rozmarzony stamtąd wracał.

Nie codzień spotykał swoją Rusałkę, a przypominając sobie nic zbyt zachęcające zaproszenie Jelnickiego, do dworku wejść nieśmiał. Widywał czasem dziewczynę zdaleka, chodzącą po podwórku, lub przed wrotami na lipowéj drodze. Niekiedy zdawało mu się jakby umyślnie na niego czekano przed bramą, ale gdy się zbliżał drogą dziewczyna znikała jak pierzchliwa sarna — zdaleka tylko na jego powitanie odpowiadając dzień dobry.

---

[1] Patrz zeszyt lipcowy.

Raz, czy dwa zdołał ją zatrzymać na chwilę i parę słów wymienić, słów dosyć obojętnych, które przecież na cały dzień zostawały mu w pamięci. A kiedy wróciwszy do siebie rozbierał wrażenia tych rannych wycieczek, zawsze znajdował w nich dość wątku, aby snuć śliczne i długo się ciągnące marzenia. Jakieś słówko na wpół wyrzeczone, usłyszane zdaleka, nuta piosnki, którą echo nadwiślańskie przynosiło zaczajonemu w zaroślach, kwiat w ręku trzymany..... wszystkie takie drobnostki składały się w cudny jakiś obrazek, który wyobraźnia młodzieńca tęczowemi stroiła barwy, i za którym coraz bardziéj i coraz głębiéj zasuwała się ta przeszłość bolesna jaką pragnął zapomnić.

Jednego poranku Bronisław o zwykłéj porze znajdował się nad zielonym stawem, ale ślicznéj bajarki nie było.

Na łące pasły się w ogrodzeniu krowy, jak zwykle, na pniu pod drzewem siedziała tylko mała Jagusia z elementarzem w ręku.

Dziewczę nie z wielką pilnością patrzało się w książkę — jéj oczęta ścigały to małe pliszki chodzące po piasku przed stawem, to motyle i śliczne owady z błękitnemi skrzydłami co się unoszą nad wodą.

Bronisław zliżył się do roztargnionéj uczennicy.

— Cóż? jakże idzie czytanie? zapytał czy umiesz już dobrze litery?

— Litery same to umiem, odpowiedziało dziewczę, ale jak dwie złożyć to nie potrafię.

— Ja ci pomogę, rzekł siadając Bronisław, a powiedz mi Jagusiu jak na imie téj pannie co cię czytać uczy?

— Panna Aniela.

— Czy kochasz pannę Anielę?

— Kocham bardzo.

— I ja też kocham ją bardzo, powiedział jakby sam

dla siebie młodzieniec, dziwną przyjemność znajdując w tych słowach, i położywszy na kolanach elementarz, z wielką cierpliwością zaczął sylabizować z dziewczęciem. Już przeszło kwadrans trwała ta nauka, Broniś w najlepsze powtarzał swéj uczennicy, b, a, ba b, e, be, gdy zaszeleściało coś za niemi w krzewinie — obejrzał się — i ujrzał śliczną córkę Jelnickiego, która z uśmiechem przypatrywała się nauczycielowi i uczennicy.

— Dzień dobry, panno Anielo, rzekł Broniś rad, że mógł tą razą nazwać Rusałkę po imieniu.

Anielka odpowiedziała mu dzień dobry trochę zmieszana.

— Przychodzę tu, rzekła, zobaczyć jak się sprawuje Jagusia i czy już umie to co jéj zadałam.

Bronisław otworzył elementarz i kazał przerecytować całą lekcyą dziewczęciu.

Pokazało się istotnie, że Jagusia zrobiła zadziwiające postępy.

— Czy ojciec pani, panno Anielo, jest w domu? zapytał Łaski, po skończonéj lekcyi.

— Jest.

— A Matka?

— Nie mam Matki, odpowiedziała Anielka smutno.

Bronisławowi przykro się zrobiło, że uczynił to niedyskretne zapytanie.

— Ja też nie mam matki, ani ojca.

— Ani ojca, ani matki! powtórzyła Aniela, ale siostrę pan masz?

— Nie, nie mam jestem sam.

Anielka spuściła głowę i obrywając listki jakiegoś krzewu zabierała się do odejścia, w tem na drożynie z pomiędzy zarośli ukazał się Jelnicki.

— A pan co tu porabiasz, rzekł surowo patrząc na Łaskiego, który zmieszany nie po mału zwijał i miął w ręku elementarz Jagusi.

Anielka śmiejąca się pobiegła ku ojcu i całując go w rękę:

— Ten pan, rzekła, przyszedł tu, uczyć sylabizować Jagusię.

Jelnicki spojrzał się po obojgu młodych i głaszcząc córkę po głowie, podawał dość zimno rękę Bronisławowi.

— Jeśli pan wracasz do swego czółna, rzekł do Łaskiego, to cię odprowadzę ku rzece. Młodzieniec rad nie rad poszedł za Jelnickim, Anielka została pod drzewem.

Gdy już uszli kilkanaście kroków, Jelnicki się zatrzymał.

— Panie Łaski, rzekł surowo patrząc w oczy młodemu, jak wiesz, nie zapraszałem pana do siebie, wbrew prawom najprostszéj gościnności — mam do tego swoje powody, bądź łaskaw je szanować, chociaż ci ich mówić nie będę i nie przyjeżdżaj więcéj na Zieloną Kępę, bardzo cię o to proszę, a teraz bądź mi zdrow, dodał łagodniéj, podając rękę zmięszanemu młodzieńcowi i zostawiając go przy czółnie.

Bronisław stał jeszcze chwilę, potem wziął za wiosło, skoczył do łódki i odbił od brzegu.

VII.

Zakaz Jelnickiego był tak wyraźny, tak uroczysty, że jechać na Zieloną Kępę było rzeczą niepodobną. Jeździł wszelako Broniś w swem czółnie nie dobijając do lądu, w nadziei, że może między nadbrzeżnemi krzewami błyśnie mu kiedy urocza postać Anielki, lecz zawsze w nadziejach swych zawiedziony, ze smutnem i tęsknem sercem wracał do domu.

Te parę tygodni, które dotąd na wsi przepędził, zeszły mu jak sen czarowny, wiosenny. Dusza wracała do równowagi, owiana czystem jakiemś tchnieniem, rozjaśniona cudną postacią dziewczęcia spotkanego w majowy poranek nad zielonym stawem.

Teraz już od dni kilku, nie widząc swojéj Rusałki smutnieć zaczął widocznie; nie tylko praca do któréj wziąść się próbował, nie szła mu wcale, ale i raz po raz widma téj przeszłości, którą chciał zapomnieć, nawiedzać go i męczyć zaczęły; a owa tak piękna niedawno nadwiślańska okolica, posępniała mu teraz w oczach, jakby ją kto krepą żałobną przeciągnął.

Tydzień przeszło upłynął od ostatnich na Zielonéj Kępie odwiedzin, Bronisław już dłużéj wytrzymać nie mogąc, postanowił sobie bądź co bądź, dostać się w czarowne miejsce, do ślicznéj Jelnickiego córki. Sposobność ku téj pożądanéj wycieczce nastręczyła mu się sama.

Jednego dnia, rano przy śniadaniu, wprowadził on umyślnie swego stryja na rozmowę o Jelnickim.

— Cóż się dzieje mój stryju, zapytał, z ową sprawą chłopów, za którymi ujmował się Jelnicki?

— Sprawa jeszcze nie rozstrzygnięta, ale oddaną jest do sądu pokoju.

— W moich rannych wycieczkach, mówił Bronisław, miałem sposobność spotkać parę razy Jelnickiego, zaręczam stryjowi, że to bardzo przyzwoity człowiek, gdybyś mnie stryj upoważnił, to bym z nim o owéj sprawie pomówił, jestem przekonany, żeby się to lepiéj załatwić dało niż za pośrednictwem ekonoma lub sądu pokoju.

— I owszem mów z nim, jeśli ci się podoba, wiesz jak procesów nie lubię, jeśli p. Jelnicki przeprosi mi ekonoma, a chłopom wytłómaczy, że nie powinni rąbać drzew w moim lesie, to nie będę miał do niego żadnych pretensyj.

— Pomówię z nim i jestem pewny, że się to lepiéj załatwi niż na drodze sądowéj. Broniś domawiając tych słów, już wstawał od śniadania, a kręcąc się po pokoju szukał pretekstu do prędkiego wyjścia.

— Czas taki piękny, rzekł wreszcie stojąc w szklannych drzwiach otwartych na ogród, żem gotów teraz przejechać się po Wiśle, kto wie z resztą czy się nie spotkam z Jelnickim — i nie czekając dłużéj wybiegł do ogrodu, a ogrodem w dół do brzegu.

— Co jego ten Jelnicki tak żywo obchodzi, mówił do siebie p. Adam Łaski, stryj Bronisława, patrząc się w ogród za biegnącym.

Ale Bronisław już był w czółnie.

Z wzruszeniem nie małem dobił do brzegów Zielonéj Kępy, a z większem jeszcze zbliżał się aleją lipową do brzozowego dworu zdecydowany wejść do mieszkania Jelnickiego przed którym mógł się tą razą zasłonić zleceniem stryjowkiem. Zanim jednak wstąpił na owe czarowne podwórko, gdzie jego noga nie postała dotąd, zatrzymał się przed wrotami i patrzał w okna otwarte wprawdzie, ale firankami przysłonięte. Mianowicie w jedno poglądał z tych okien, gdzie mu kiedyś mignęła urocza główka Anielki. Stały tam kwiaty w doniczkach — lekki wiatr wciągał i wyciągał przezroczystą zasłonę — lecz nikogo nie było widać, ani w oknie, ani przed domem. — Cicho, głucho — słychać brzęk pszczoły i gruchanie gołębi.

Bronisław dodając sobie odwagi wszedł na przełaz znajdujący się przy wrotach i jednym skokiem stanął na podwórzu. W téj chwili ogromny brytan szczęściem dla naszego bohatera przywiązany na łańcuchu, oznajmił jego przybycie głośnem i pełnem gniewu szczekaniem. Na hałas czujnego stróża, zasłona w oknie uchyliła się lekko i śród kwiatów ukazało się dwoje szafirowych oczu na jedną tylko sekundę, bo wnet zasłona

opadła, a prawie w téj saméj chwili ukazała się na ganku prześliczna Jelnickiego córka. Zapłoniona cała klaszcząc w ręce wybiegła ona na przeciwko gościa.

— Pan jeszcze tutaj! mówiła gdy Łaski wchodził na ganek, a ojciec powiedział, żeś pan przed tygodniem odjechał do Warszawy i że już pan więcéj nie wrócisz.

— Czy ojciec pani jest w domu? spytał Bronisław.

— Nie ma w téj chwili, ale nadejdzie zaraz, niechże pan wejdzie do pokoju, prosiła gosposia, chcąc jak nąjgrzecznéj gościa przyjmować.

Weszli przez sień zawieszoną wieńcami żniwiarskiemi do pokoju — był to mały wiejski i bardzo skromny salonik; przy oknie stały krosienka Anielki z zaczętą robotą i mały kołowrotek ze lnem białym i starannie wyczesanym. Meble były orzechowe i skromne, na ścianach tylko z zadziwieniem spostrzegł Bronisław kilka rycin pięknych, rzadkich i starannie oprawnych.

Młodzieniec nie posiadał się z radości, że nareszcie potrafił przeniknąć do tego czarownego ustronia, do którego myślą przenosił się tyle razy.

— Więc doprawdy panno Anielo, mówił do dziewczęcia, cieszysz się, że mnie tu widzisz i wolisz, żem jeszcze został w tych stronach.

— O! doprawdy bardzo jestem rada, odpowiedziała z najpowabniejszym uśmiechem.

Młodzieniec zachęcony tak szczeremi słowy, i wzrokiem prześlicznym, który nie pozwalał wątpić w ich szczerość, posunął swą śmiałość do zapytania się Anielki — dla czego się cieszy i dla czego woli, że został.

Dla czego? mówiła gosposia, stając przy swych krosnach, bo naprzód sądzę, że pan musisz być bardzo dobry, myślałam to już sobie wtedy, kiedyś pan uczył czytać Jagusię, potem dla tego, boś mi pan mówił, że jesteś sam na świecie, potem... tu urwała dziewczyna

i zaczęła coś szczebiotać do kanarka w klatce wiszącéj przy oknie.

— Patrz pan jaki śliczny mój ptaszek. — Łaski się zbliżył do klatki i zaczął wychwalać ptaszka.

— Czy pan lubisz ptaki i zwierzęta? spytało się dziewczę.

Bronisław zaczął zapewniać o swéj miłości dla zwierząt w ogóle, a szczególniéj dla ptaków.

— Chcesz pan, to panu pokażę mój zwierzyniec, powiedziała urocza gosposia, — proszę pana za sobą.

Weszli do sieni, która cały dworek przecinała na dwoje — na przeciwnym końcu téj sieni, wychodziły drzwi także na ganek i ogród ciągnący się za domem. Pod tym gankiem z którego zeszli po schodkach, chowały się różne ptaki i zwierzęta. Całe stadko kuropatw nadbiegło drobnym krokiem do nóżek gosposi. — Synogarlice z błękitnemi szyjkami ostrożnie przechylając główki trzymały się w przyzwoitem oddaleniu, odważniejsze przecie od znajdujących się tam zajęcy, które wnet pochowały się po kątach. Anielka wzięła w rękę jedną turkawkę najłaskawszą i zaprezentowała ją swemu gościowi: od drzwi lamusa stojącego obok, zaczęły się pokazywać z trawy białe króliki o czerwonych oczach, czekając z podniesionemi słuchami, czy im gosposia nie rzuci jakiego liścia kapusty. Łaski patrzał się, pieścił z turkawką, znajdował to wszystko bardzo zajmującem i pięknem.

— To nic, rzekła Anielka, pokażę panu coś piękniejszego, i prowadziła go ogrodem śród klombów bzu, drogą wysadzaną grzędami wonnego hyzopu, rezedy i bukszpanu.

Był śród ogrodu mały trawnik, płotem niskim ogrodzony, z jednej strony ciągnęła się za nim łąka olszyną porosła, z drugiéj dotykała doń pasieka, woń lip kwitnących i brzęk pszczół zdaleka ją zdradzały.

— Jasiu! zawołała Anielka wchodząc w ogrodzenie; na to wołanie, wybiegła w lekkich susach z trawy sarenka, — patrz pan jaki śliczny mój Jasio! rzekła dziewczyna, klękając w trawie i obejmując rękoma zgrabne zwierzątko, które swój czarny świeży i błyszczący pyszczek zbliżyło do lica dziewczynie.

— Jeszcze orła muszę panu pokazać, mówiło dziewczę kończąc swe pieszczoty z Jasiem, któremu w téj chwili Bronisław zazdrościł.

— Chodź no pan tutaj, rzekła wstając z ziemi i biegnąc naprzód, a sarenka w lekkich susach biegła tuż za swą panią.

Na środku trawnika stała na palu w ziemię wbitym, wielka drewniana klatka, siedział w niéj duży ciemno-brunatny orzeł z gatunku tych, co się czasem od Karpat w nasze równiny zabłąkają. Król ptaków z majestatycznym ruchem przegiął w tył głowę na widok przychodniów i wlepił w nich swoje okrągłe, złotą obrączką obwiedzione oczy. Anielka włożyła rękę przez szczeble klatki i gładziła nią pięknego ptaka. Bronisław stojący z drugiéj strony, chciał to samo uczynić.

— Nie dotykaj się go pan zawołała dziewczyna, on zwykle źle przyjmuje nieznajomych. Ale Bronisław już miał rękę między szczeblami klatki i chciał właśnie dotknąć się orła; w oka mgnieniu ptak rozgniewany czy też przestraszony, dziobnął go swoim krzywym i twardym jak róg dzióbem. Młodzieniec wyjął prędko z pomiędzy szczebli rękę. Anielka krzyknęła lekko, widząc krew na palcach Łaskiego.

— Mówiłam panu — rzekła przybiegając do Bronisława — że go nie trzeba dotykać, jakżeż ja pana przepraszam za mego orła.

— Nic się złego nie stało, powiedział śmiejąc się Broniś i wyjmował chustkę, aby nią rękę obwinąć.

— Zaczekaj pan — trzeba naprzód ranę wodą obmyć. O! brzydki ptaku mówiła zwracając się do orła i nim ją Bronisław mógł wstrzymać pobiegła ku domowi po wodę. W kilka minut już wracała ze szklanką i białym płatkiem bielizny. Łaski szedł naprzeciw biegnącéj błogosławiąc w duszy ten mały wypadek.

— Obmyj pan ranę, rzekła Anielka, podając mu wodę, Bronisław obmywał, ale krew nie chciała się od razu zatamować.

— Daj mi pan teraz rękę. Bronisław podał, a ręka jego drżała dotknięta rączkami dziewczyny. Anielka zaczęła obwijać skaleczony palec przyniesionym płatkiem. Podczas tego opatrywania główka dziewczęcia zbliżyła się do piersi rannego. Pomięszany, z sercem silnie bijącem, czuł nie ledwie jéj oddech na piersiach, patrzał się tak zbliska na włoski śliczne i dwa warkocze spadające na ramiona i nie wiedział czy to lipy kwitnące i rezedy, czy ta główka dziewicza wydają z siebie takie rozkoszne i upajające wonie!...

Kroki czyjeś skrzypiące po żwirze, którym ogrodowa droga była wysypaną, przerwały tę krótką chwilę zachwycenia. Bronisław ujrzał na kilka kroków przed sobą Jelnickiego, który brwi marszcząc z wyrzutem zdawał się patrzeć na niego.

Anielka pobiegła naprzeciw ojca.

— Ten pan nie odjechał jeszcze, ojcze, przyszedł tu przed chwilą i orzeł skaleczył go w palec, dosyć mocno nawet, ale już zawiązałam ranę.

Bronisław zmięszany, zaczął sobie przypominać pretekst, jakim miał usprawiedliwić swoje w brzozowym dworku odwiedziny, ukłonił się Jelnickiemu, który milcząc surowo się weń patrzał, i rzekł zbliżając się do pochmurnego gospodarza.

— Dotychczas tylko szczęśliwy przypadek dozwa-

lał mi spotykać się z panem, dzisiaj sprowadza mnie interes.

— Interes? rzekł Jelnicki, jaki?

— Przychodzę z poleceniem od mego stryja.

— W takim razie proszę pana ze sobą do pokoju, powiedział gospodarz wskazując ręką drogę.

Weszli do sieni, z sieni do owego saloniku, w którym Aniela przyjęła swego gościa.

— Chodź pan do mego pokoju, rzekł Jelnicki, widząc że córka wchodzi za nim.

Weszli. Pokój Jelnickiego odznaczał się tą samą czystością i prostymi sprzętami, jak pierwszy salonik. Pod ścianą stało łóżko, nad łóżkiem myśliwskie bronie i przybory, w głowach Matka Boska Częstochowska, wyżéj nad nią wisząca głowa Chrystusa, włoskiéj jak się zdawało szkoły, zwróciła na siebie uwagę Bronisława. Na przeciwnéj ścianie wisiał także obraz jakiś, ale cały zasłoną pokryty, widać tylko było z boku piękne i bogate ramy.

Jelnicki podał krzesło swemu gościowi.

— Interes, rzekł, który pana do mnie sprowadza, musi być bardzo ważny, kiedy pan nie wahałeś się przyjść tutaj mimo wyraźnéj méj prośby, abyś nie przyjeżdżał więcéj na Zieloną Kępę.

Bronisław zarumienił się lekko.

— Stryj mój dał mi zlecenie, którego odmówić nie chciałem, radby on skończyć ową sprawę z chłopami, która podobno ma się rozstrzygnąć w sądzie.... lecz stryjowi memu głównie idzie o to, aby z téj rzeczy nie wyniknęło jakie nieporozumienie sąsiedzkie między nim a panem.

Młodzieniec wyraźnie przekraczał granice dyplomatycznéj misyi, jakiéj się był podjął.

— Mój drogi panie, rzekł Jelnicki, nie rozumiem wcale, czemu się stryj pański do mnie w téj mierze udaje,

sprawa nie jest zemną, ale z chłopami rządowéj wsi. Ci chłopi przyszli do mnie po radę, pokazali papiery bo sami nie umieją czytać, z papierów tych przekonałem się, że mają słuszność i prawo rąbania drzewa w gaju z którego ich wypędził, wybiwszy ekonom. Chłopi, którym oprócz tego zabrano siekiery, poszli na skargę do sądu; sąd tę sprawę jak myślę, powinien na ich korzyść rozstrzygnąć — cóż ja winien i co mogę uczynić dla stryja pańskiego w téj rzeczy?

— To też stryjowi memu, rzekł dyplomatyzując znowu Bronisław, wcale nie idzie o tę sprawę z chłopami, ale o zachowanie przyjaznych i zażyłych stosunków któreby z téj przyczyny ucierpieć mogły.

— Przyjaznych stosunków! rzekł Jelnicki, przyjazne i zażyłe stosunki nie mogą istnieć między mną a stryjem pańskim, naprzód dla tego, że ja jakeś to pan mógł spostrzedz do stosunków z ludźmi nie jestem łatwy, a potem dla tego, że stosunek właściciela Zielonéj Kępy, do majętnego i téj pozycyi człowieka, co p. Adam Łaski nie mogą być bardzo zażyłe.

Jelnicki wstawał z krzesła, jakby chciał dać poznać swemu gościowi, że się rozmowa skończyła; nie rad był jednak zakończyć ją młodzieniec, a patrząc się na głowę Chrystusa, która istotnie wyglądała na znakomite dzieło:

— Co za śliczna głowa! rzekł pokazując na obraz, sądziłbym, że to Guido Reni.

— Uchodzi ona za Guida, ale ręczyć panu nie mogę czy to oryginał, rzekł sucho Jelnicki, nie wdając się w dalszą o obrazie rozprawę.

Bronisław widział, że wizyty nie podobna dłużéj przeciągnąć.

— Nie wiem rzekł do gospodarza z jakich powodów nie pozwalasz mi pan korzystać ze swéj znajomości. Zakaz pański przykrzejszym jest dla mnie, aniżeli to pan wy-

stawić sobie możesz. Zastósuję się jednak do niego — i prawdziwy szacunek jaki mam dla pana, zawsze w mem sercu zachowam.

Jelnicki otwierając drzwi do saloniku uścisnął dość serdecznie rękę, którą mu młodzieniec na pożegnanie podawał.

W saloniku do którego wchodzili siedziała przy krosnach Anielka, podniosła ona ku wchodzącym swoje śliczne oczy.

— A palec czy już nie boli, spytała Łaskiego z uśmiechem.

— O! nie boli, rzekł, zatrzymując się przed nią, młodzieniec.

— Zaręczam panu, że na drugi raz nasz orzeł zaznajomi się z panem i będzie grzeczniejszy.

— Pan Łaski nie będzie mógł zaznajomić się lepiéj z twoim orłem, bo właśnie odjeżdża i przyszedł się z nami pożegnać.

— Odjeżdża! powiedziała Anielka smutno i ręka jéj trzymająca iglicę z włóczką opadła na krosienka.

— Gdyby ojciec pani, panno Anielo, rzekł Bronisław stojący już we drzwiach pozwolił, tobym nie odjechał pewnie, i został i miałbym często szczęście. . .

Ale Jelnicki nie pozwolił mu skończyć, wyprowadził grzecznie na ganek i na ganku pożegnał.

Bronisław szedł ze spuszczoną głową przez podwórko, jakby z raju wygnany. — U wrót obrócił się i w oknie widział uchyloną zasłonę i dwoje oczu ślicznych, a jak mu się zdawało smutnych, patrzało za nim przez kwiaty i rączkę małą dojrzał, co go powabnym gestem żegnała. Nie śmiał się zbyt długo w owe okno wpatrywać bo na ganku stał jeszcze Jelnicki pochmurny i surowy.

Wsiadł do czółna rozmarzony wielce dzisiejszą w brzozowym dworku wizytą. Zakaz Jelnickiego smucił go nie mało — ale gdy przywołał na pamięć całe zdarzenie

w ogródku i tak serdeczne powitanie Anielki, jakaś błoga szczęśliwość podnosiła się w jego sercu. Zamykał oczy, aby wzrokiem duszy dojrzeć lepiéj uroczą postać dziewczęcia i widząc w świeżem wspomnieniu tę główkę cudną, niewinną, którą na chwilę tak blisko czuł przy piersiach, — po raz pierwszy wyznał przed sobą że ją kocha i że ją kochać będzie zawsze.

— Tak zawsze! powtarzał sobie w duszy rozmarzony młodzieniec. Wiara bezwzględna w trwałość uczuć rodzących się w duszy, jest najwybitniejszą młodości cechą — stanowi ona jéj urok i bywa niekiedy jéj usprawiedliwieniem.

VIII.

Gdy Bronisław wrócił do wiernickiego pałacu, oddano mu list z Warszawy. Był to następujący list Stefana Skiby w odpowiedzi na ów długi list a raczéj dziennik Bronisia.

Drogi mój Bronisławie!

Cieszy mnie, że czujesz się na duszy zdrowszy i na umyśle rzeźwy, że wiosenne i wiejskie powietrze przypominają ci, że jesteś młody i silny, a zatem do życia i walki sposobny — ale twoja sielanka na Zielonéj Kępie, choć się ładnie i romantycznie zaczyna, niepodoba mi się wcale.

Twoje serce nieustających miłości chciwe, twoja wyobraźnia gorąca, już utworzyły sobie Rusałkę z pierwszéj

dziewczyny jaką spotkałeś. Czyś się pytał sumienia swego, do czego to doprowadzi? i jak się sielanka skończyć może?

Dusza twoja zaledwie uleczona z gorączkowéj namiętności, co ci dwa lata życia zmarnowała, już szuka nowéj dla siebie strawy, czy zdajesz sobie sprawę jakim ją kosztem znajdzie? Czy chcesz niewinnemu sercu wiejskiéj dziewczyny dać poznać te bole i rany jakie tobie zadano!

Romansujesz mój drogi, to wprawdzie wiekowi twemu właściwe, ale zapominać się zdajesz, że miłość kobieca nie jest życiem całem, ani życia celem, jest ona tylko drobnym w życiu epizodem.

Przypomnij sobie wspólne nasze rozmowy, zamiary i pojęcia o życia celach.....

Należysz do ludzi, którzy, jak powiada Jean Paul, mają w kieszeni listy polecające do potomności, nie zaniedbuj więc tych listów donieść i oddać — a zagubisz je pewnie i nie doniesiesz, jeśli po drodze życia gruchać będziesz ze wszystkiemi turkawkami jakie spotkasz.

Czytaj biografie wielkich ludzi, co coś dla ludzkości, dla kraju, dla nauki lub sztuki zrobili i patrz jak miłość małą tam odgrywa rolę.

Te uwagi moje, które zbyt zimne i pedancko-rozsądne wydadzą się tobie, rozmarzonemu wiosenną nadwiślańską sielanką, zakończam jeszcze jedną radą, a raczéj prośbą, to jest proszę cię i zaklinam, abyś już na Zieloną Kępę nie wracał. Użyj tych kilku dni na pracę, skończ nareszcie twój dramat. Napisz jeśli chcesz z owéj legiendy o topielcach poemat w stylu poezyi gminnéj, ale na miłość boską nie chodź już słuchać bajek nad owym Stawem Zielonym i wracaj do nas czemprędzéj, bo mamy nadzieję, że nim za granicę wyjedziesz, zechcesz kilka dni spędzić jeszcze z nami. Ksiądz Makary spodziewa się nawet, że u nas staniesz, kazał ci wy-

porządzić celę, którą zajmowałeś i nad stolikiem twoim do pracy, wielkiemi literami wypisał:

Ne dederis mulieribus substantiam tuam.

Twój
Stefan.

Całe Bazyliańskie kółko ściska cię wraz ze mną.

Ale ten list Stefana w niedobrą przyszedł porę, bo uczucie z którego dotąd sprawy nie zdawał sobie Bronisław, dziś właśnie z całą mocą podniosło się w jego duszy i wszystkie jéj władze ogarnęło. Owe odwiedziny dzisiejsze w dworku Jelnickiego, te pierwsze choć nie widoczne, ale tem ponętniejsze objawy uczuć Anielki, sam nawet zakaz ojca — wszystko słowem przyczyniało się, aby rozpłomienić umysł i serce młodzieńca.

Przeczytawszy list Stefana, wziął on natychmiast papier, i z pełnym liryzmu uniesieniem jakie było w jego poetyckiéj naturze, zapisał jednym ciągiem kilka stronnic nie składając na chwilę pióra.

Były w tym liście do Stefana takie np. ustępy:

„Kocham ją, kocham mój drogi, tą miłością do któréj „sądziłem już serce moje niezdolnem, od czasu jak ją „znam, oddycham piersią pełną, świat Boży mi się „uśmiecha, — ona jest najcudniejszym tonem w téj cza„rownéj wiosennéj harmonii, która mi gra w duszy, uno„sząc ją na wysokości kryształowe i przezroczyste na „jakich nie była nigdy....

„Chcesz abym żył, każesz mi wracać do świata,.... „ach mój drogi, to com widział i doświadczył na wstępie „w życiu, tak mi już poraniło duszę, tak odstręczyło od „tego co się światem zowie!.... sama myśl o tem, aby

„powrócić w te sfery, w których obracać się może będę „zmuszony,.... sama myśl ta budzi we mnie strach i „odrazę...

„Nie... mój drogi Stefanie... dziś na całym globie „który niedawno serce moje śród pragnień i aspiracyj „młodzieńczych obejmowało, dziś tylko ten mały świa„tek nad Wisłą jest jedynem miejscem gdzie oddychać „mogę i gdzie żyć pragnę...

„Pamiętasz, — pisał w innem miejscu Broniś, — ową „powiastkę w wypisach szkolnych, nie wiem już o ja„kim Greku, który pszczołom skrzydła poobcinał i po„znosił im najpiękniejsze kwiaty, aby pod jego okiem „miód robiły, pszczoły i miodu robić nie chciały i same „rychło pomarły; tak i ty mi skrzydła chcesz obciąć „a potem do pracy zmusić. Moje skrzydła, to miłość do „téj czarownéj i czystéj istoty.... gdybyś mnie oddalił „z tych miejsc i wyrwał z atmosfery, gdzie oddycham „pełnemi piersiami, byłbym jak sparaliżowany na du„szy i jak pszczoły owego Greka całkiem niezdolny „do pracy..."

Na ten temat ciągnął się ten długi list, który Bronisław tego jeszcze samego dnia do Warszawy wyprawił.

Wieczorem wszyscy mieszkańcy wiernickiego domu siedzieli już jak zwykle pod wystawą pałacu, kiedy Broniś odesławszy swój list przyszedł tam także.

— Cóż twój pan Jelnicki — zapytał stryj, czyś się z nim widział i rozmówił?

— Widziałem i mówiłem, odpowiedział młodzieniec wychodząc z zamyślenia, nie uwierzy stryj, jak bardzo mi się ten człowiek podoba, choć na pozór jest dziki i nieprzystępny.

— Nierozumiem czem cię tak bardzo oczarował ten pan Jelnicki, ale cóż o sprawie z chłopami mówił?

— Uniewinniał się, rzekł Broniś odgrywając rolę pośrednika, — zdaje się, że ekonom wszystkiemu winien,

Jelnicki jeśli w czem uchybił, to radby jak najmocniéj uchybienie swe naprawić.

— Jeśli istotnie, rzekł p. Adam Łaski, ten Jelnicki jest przyzwoitym człowiekiem z którym pomówić można, to bym gotów jeszcze raz spróbować czyby go się skłonić nie dało do odstąpienia mi Zielonéj Kępy. Robiłem mu już tę propozycyę przez mego rządzcę; może tobie łatwiéj się uda zrobić mi ten interes. Folwarczek Jelnickiego bardzoby mi się przydał, bo bym tam mógł przenieść całą moją stadninę. Jeśli więc znów go zobaczysz, zaproponuj mu to zręcznie, i daj poznać delikatnie, że drogą procesu mógłbym go do wyjścia z folwarku zmusić.

— O tem ostatniem, drogi stryju, Jelnickiemu nie wspomnę, bo wiem żebyś stryj nie posunął się nigdy do takiéj ostateczności. Ale propozycyę samą zrobić mu mogę, powiedział Broniś, istotnie uradowany w duszy, że mu się nawija nowy pretekst zbliżenia do Jelnickiego, a może i odwiedzenia brzozowego dworku.

Przez dni parę rozmyślał młody człowiek jakby się wybrać na Kępę z owem zleceniem stryja; wsiadał do czółna, dobijał już do przeciwnego brzegu, lecz gdy przyszło wysiąść tracił odwagę, bo przypominał sobie wyraźny zakaz, i surowa szlachetna postać ojca Anielki stawała mu w pamięci, a miał ten człowiek w wejrzeniu i całem swem obejściu coś, co wzbudzało i nakazywało szacunek. Choć Bóg wie czego byłby nie zrobił Bronisław dla zobaczenia na chwilę córki Jelnickiego, to przecież nie śmiał lekceważyć wyraźnego zakazu człowieka, którego istotnie szacował; więc tylko krążył z daleka w swem czółnie około czarownéj Kępy, codzień więcéj tęskniący i zakochany.

Już tydzień upłynął od ostatnich za Wisłą odwiedzin, ów palec zraniony przez orła całkiem się prawie zagoił, a płatek biały pochodzący od Anielki i jéj rączka-

mi dotknięty, jeszcze pierwszego dnia schowany starannie został w pulares. Bronisław codzień wybierający się na Kępę, odebrał jednego dnia następujący list od Stefana w odpowiedzi na ostatnie swe pismo.

Drogi mój Bronisiu!

Jeśli początek twojéj Sielanki zaniepokoił mnie trochę, to dalszy jéj ciąg niepokoi mnie daleko więcéj. O mój romansowy, liryczny i sentymentalny poeto! śpiewasz mi jak Dobrski w Napoju miłosnym:

Tylko szczerze kochać umiem!
W tem jest cały rozum mój!

Myślałem i myślę jeszcze, żeś ty do czego innego powołany, jak do śpiewania téj monotonnéj aryi przez całą młodość! Wyobraźnia twoja, drogi mój poeto, nie radząc się ani rozsądku, ani sumienia, usnuła sobie znowu romans, który zamierzasz prowadzić do końca bez zdawania sobie sprawy, jaki będzie ten koniec. Nie wiem w którym tomie i rozdziale twego romansu jesteś dzisiaj, ale wiem że znajdujesz się w położeniu, gdzie uczciwemu człowiekowi zostają tylko dwie drogi — albo natychmiast przyjechać do Warszawy, albo jeśli zostajesz w Wiernicy dla przedłużenia twéj sielanki, ożenić się z córką Jelnickiego. Mam nadzieję że wybierzesz pierwszą, lecz jeśli nie masz odwagi wyjechać zaraz i zostajesz, to uczyń drugie. Mój drogi i ukochany Bronisiu, jeżeli nie usłuchasz méj rady i nic nie postanowiwszy przedłużysz twój pobyt w Wiernicy, aby widywać córkę Jelnickiego, i do tego widywać potajemnie, to gotujesz sobie męki i wyrzuty o jakich wyobrażenia nie masz, a których twoja szlachetna, choć słaba czasem dusza znieść nie będzie w stanie.

Myślałem o tobie dużo i doszedłem do przypuszczenia, że może jesteś jednym z tych ludzi, którzy prze-

znaczeni są prędzéj czy późniéj w miłości kobiecej utonąć; ponieważ więc masz naturę bluszczu, który musi koniecznie coś ramionami oplatać, aby iść w górę, opleć się około twojéj nadwiślańskiéj Rusałki, ale oświadcz się o nią ojcu, (który mi się dosyć podoba), osiądź w wiejskiéj zaciszy, a chociaż nie będziesz żył, walczył i cierpiał z nami, to przecież węzłów jakie nas łączą nie zerwiesz zupełnie.

Lecz jeśli nie pójdziesz jedną z dróg jakie ci tu wskazuję, to rychło stracisz i własny szacunek i przywiązanie tego, który cię z dawna jak brat kocha

Twój

Stefan Skiba.

Przeczytanie tego listu wywarło niemałe na Bronisławie wrażenie, zaczął on wchodzić w siebie głębiéj i badać się sumienniéj. Wyjazd nagły, bez widzenia jeszcze raz Anielki, zdawał mu się rzeczą nad siły, a nawet całkiem niepodobną. Serce i wyobraźnia młodzieńca chwyciły się drugiéj rady Stefana. Myśl o tem, aby uczucie zrodzone śród wiosennéj woni, nad Zielonym stawem, mogło się prozaicznie małżeńskim zakończyć węzłem, myśl ta nie postała dotąd w umyśle młodego poety. Teraz gdy ją obudził list Stefana, Bronisław zaczął w niéj znajdować urok i powab świeży, całkiem nieznany dotąd. Młodość ma ten przywiléj, że wnet z podsuniętych (często lichych materyałów) potrafi stworzyć sobie świat nowy i uroczy: a tutaj materyał był bogaty i dostarczał wątku do wcale ładnych marzeń. Więc cały wieczór marzył nasz bohater o życiu z Anielą w owym zacisznym brzozowym dworku, przy Jelnickim do którego coraz silniéj czuł się pociągniętym. Przypominał sobie jakby chcąc porównać ostatnie czasy

w Warszawie spędzone, ową czczość salonów i ludzi jakich tam spotykał: porównywał z nimi Jelnickiego, a Anielę stawiał obok widzianych tam kobiet i czuł że żadna z nich porównania z nią nie wytrzyma tak co do piękności, jak też co do serca i uroku. — Tu naturalnie stanęła w myśli, bynajmniéj nie zapomniana jeszcze hrabina Laura, — przywołał sobie znowu na pamięć wszystkie kłucia szpilkowe, wszystkie męki codzienne, wynagradzane zaledwie szczęściem, którego pewnym nie był nigdy, a za które rumienić się musiał nieraz i które okupił bólem tak strasznym; wszystkie te uwagi i wspomnienia przesunęły się w myśli Bronisia — tak jest, powiedział sobie w końcu, Stefan ma słuszność, Anielka będzie moją żoną.

Z tem postanowieniem położył się w łóżko, ale zasnąć nie mógł, bo przyszły wnet inne myśli, zrodzone niegdyś w bazyliańskiem kółku, myśli o sławie, o wielkości, zagłuszone chwilowo ale nie odstępujące zupełnie.

— Sława, wielkość, mówił sam do siebie Bronisław, któż z dobrą wiarą powiedzieć sobie może, że jest na drodze wiodącéj do nich! Podniesiony czystem uczuciem jakie mam dla Anielki, wsparty radami takiego człowieka, jak Jelnicki, więcéj potrafię zrobić dobrego, niż siląc się iść po drogach, na których nie wiem czybym wytrwał i czybym istotnie coś zrobił. Takie prowadząc ze sobą rozmowy wchodził on myślą do brzozowego dworku, widział Anielę to przy krosnach, to w ogródku goniącą za sarenką, a patrząc się w jéj szafirowe tęskne oczy, zasnął nareszcie.

Nazajutrz postanowienie oświadczenia się Jelnickiemu o córkę tak było silne i niezachwiane w duszy Łaskiego, że się nie wahał zaraz rano pojechać na Zieloną Kępę.

Gdy już dobiwszy do brzegu wszedł na ścieszkę nad stawem wiodącą i do alei lipowéj się zbliżał, odwaga

odstępować go zaczęła zwłaszcza gdy przypomniał sobie wyraźne zalecenie Jelnickiego, aby w tych miejscach nie pojawił się nigdy. Więc zamiast pójść do dworku, usiadł on nad Zielonym stawem, rozmyślając czy nie lepiéj kilka słów napisać i Jelnickiego do swych odwiedzin przygotować, prosząc o chwilkę rozmowy. Ten stan zdawał mu się najlepszym, wydarł co prędzéj z pularesu kartkę i ołówkiem napisał następujące słowa:

Szanowny panie! pamiętając na zakaz pański, nie śmiem się stawić w jego domu, ale z tak ważną i niecierpiącą zwłoki sprawą przychodzę, że odważam się prosić go, abyś raczył przyjść nad Zielony staw gdzie czekać będę.

Bronisław Łaski.

Napisawszy to, zawołał jednéj z dziewcząt pasących bydło na łące.

— Zanieś to panu Jelnickiemu, powiedział oddając kartkę dziewczęciu. Gdy dziewczę odeszło, Bronisław usiadł pod drzewem, i z bijącem sercem oczekiwał przybycia człowieka, który miał los jego rozstrzygnąć.

W dobry kwadrans ukazał się na ścieżce między zaroślami Jelnicki, zdawał się on jeszcze surowszym i posępniejszym jak zwykle.

— Panie Łaski, zatrzymując się, rzekł do idącego ku sobie młodzieńca, byłem pewny, że po ostatniéj méj prośbie i po przyrzeczeniu pańskiem nie zobaczymy się tutaj.

— Tylko ważność sprawy z jaką przychodzę pozwoliła mi zapomnieć o pańskim zakazie, powiedział mocno zmięszany Bronisław.

— Jakaż to znowu sprawa? zapytał Jelnicki.

Lecz Broniś nie miał odwagi powiedzieć od razu ja-

ki właściwie powód sprowadza go tutaj, więc przypominając sobie zlecenia stryjowskie:

— Stryj mój, rzekł nie śmiało, kazał mi zrobić panu jedną propozycyę, a raczéj zapytanie..... chciałby on wiedzieć, czy pan nie masz przypadkiem zamiaru, sprzedania i odstąpienia mu Zielonéj Kępy, warunki....

Jelnicki nie dał młodzieńcowi dokończyć;

— Stryj pański rzekł już mi dwukrotnie przez swego rządzcę robił tę propozycyę, a ja dwukrotnie i najwyraźniéj odpowiedziałem mu, że wcale o sprzedaży nie myślę. To samo dziś jeszcze powtarzam i proszę, abyś mu to oznajmił odemnie, a od pana tą razą żądam wyraźnego przyrzeczenia, że na Zieloną Kępę więcéj przyjeżdżać nie będziesz.

Po tych słowach odejmujących wszelkie nadzieje, Bronisław zebrał całą odwagę, a widząc że Jelnicki zabiera się odchodzić, wziął go za rękę i z determinacyą, jaką stanowczość chwili nareszcie w nim wywołała, śmiało mu się patrząc w oczy powiedział:

— Panie Jelnicki, jeśli przychodzę tu, to tylko dla tego, że kocham pańską córkę, i że chcę prosić abyś mi ją pan dał za żonę.

Jelnicki wyjął prędko swą dłoń z ręki młodzieńca, i poglądając na niego swoim surowym wzrokiem, wyrzekł po chwili:

— Szaleństwo! i zaczął odchodzić, lecz zaledwie zrobił dwa kroki, stanął, odwrócił się do bladego wzruszeniem Bronisława i jeszcze raz powtórzył:

— Szaleństwo! a potem szedł prędko drożyną wiodącą do domu.

Lecz Bronisław czując że z jego odejściem wszystko i na zawsze skończyć się może, pobiegł za nim i zagradzając mu drogę:

— Panie Jelnicki, rzekł, mam 23 lat, ocenić umiem ważność téj chwili i znaczenie słów które mówię; po-

wtarzam jeszcze raz panu, że kocham pańską córkę nad życie, szczęścia jéj pragnę z całéj duszy, — mam niezależność zupełną i własny majątek — jeśli pan niemasz jakich ważnych a nieznanych mi powodów odepchnięcia mnie od siebie — daj mi córkę swą za żonę.

Surowa i posępna twarz Jelnickiego przybrała jakiś wyraz łagodniejszy i rzewny. Wziął on młodzieńca za rękę i patrzał mu chwilę w oczy z niemałem wzruszeniem, jakby szukając w jego wzroku potwierdzenia, że wyrzeczone dopiero co słowa, z prawdziwego i głębokiego idą uczucia.

— Przyjdź jutro, rzekł po chwili, łagodnie, rozmówiemy się ze sobą — nie przychodź do mego domu, ale tu nad staw, będę cię czekał o 8éj rano, a teraz do widzenia.

Chciał jeszcze coś mówić Bronisław, ale Jelnicki powiedział mu — do jutra — i poszedł ku domowi.

IX.

Nazajutrz rano gdy się Bronisław nad Zielony Staw zbliżał, zastał tam już czekającego nań Jelnickiego. Ojciec Anielki siedział zadumany z głową na dłoni opartą, a gdy młodzieniec na powitanie serdeczniéj jak kiedykolwiek dłoń mu ściskał.

— Bywa czasem, powiedział do niego łagodnie, że jeden dzień rozsądnego zastanowienia wpływa na postanowienie ludzkie, zostawiłem ci umyślnie dzień taki abyś ochłonął trochę z gorączki młodzieńczéj i mam

nadzieję żeś użył dnia tego na rozmyślenie się i rozwagę.

— Nie od wczoraj, drogi panie, rzekł Bronisław, ale od dni kilku rozważam i myślę, i w skutek tych rozmyślań przyszedłem do pana, a to co wczoraj powiedziałem powtórzę i dzisiaj — kocham pańską córkę nad życie....

Jelnicki patrzał posępnie przed siebie, słuchając tych słów z gorącem wymówionych uczuciem.

— Mam w Bogu nadzieję, rzekł, biorąc Łaskiego za rękę, że sobie wybijesz z głowy to uczucie i z czasem o niem zapomnisz, córka moja nie może być twoją żoną.

— Nie może? zawołał Bronisław — czyś ją pan przyrzekł komu? czy kocha kogo? czy może pan nie dość wierzysz we mnie, mój charakter, mój honor?

— Wierzę w ciebie, w prawdę twych uczuć, a dam dowód, że wierzę także w twój honor, mówiąc ci, że córka moja dla tego żoną twoją nie będzie, bo ma matkę do któréj przyznać się nie może....

— To w niczem, zaczął mówić wzruszony Bronisław, bo w niczem zamiaru mego nie zmienia....

— To zmienia wszystko mój drogi, rzekł smutno Jelnicki, dowiodę ci, że biorę twoje słowa i oświadczenie na seryo, że cię mam za dojrzałego i honorowego człowieka. — Siadaj — powiem ci całą moją historyę, a jesteś pierwszym któremu ją mówię.

Bronisław usiadł pod drzewem, a Jelnicki zaczął.

Historya Jelnickiego.

Naprzód powiedzieć Ci muszę, że się nie nazywam Jelnicki, — nazwisko które porzucić czułem się zmuszony, należy do znanych w kraju i historycznych imion. Urodziłem się i młodość spędziłem na Wołyniu.— Twój wiek miałem, kiedy po wyjściu ze szkół Krzemienieckich, matka wysłała mnie za granicę, dla skończenia jak mówią edukacyi. Wychowanie, które odebrałem, było mniéj więcéj takie, jakie odbieramy w naszéj sferze wszyscy — dużo ogłady — dużo powierzchownego poloru, ale wewnętrzny człowiek, albo całkiem zaniedbany, albo w nie jednem skrzywiony i zwichnięty. Czytanie wszystkiego co popadło w ręce, rozogniło mi wyobraźnię już i tak wielce do zapału skłonną, ale popędy szlachetne budzące się w duszy nie były skierowane ku żadnemu i określonemu celowi. Przejechałem Niemcy, Włochy i znajdowałem się w Paryżu, podczas toczącéj się właśnie walki o niepodległość Grecyi, pojechałem tam jako ochotnik............... Kiedym z ran tam odniesionych się leczył, list donoszący mi o słabości matki przyśpieszył mój powrót do kraju. Przyjechawszy nie zastałem już matki przy życiu. Objąłem dość znaczny majątek i zacząłem żyć owem życiem nużącem zgiełkliwem a bezczynnem, w którem człowiek czuje się sam, a przecież samotności mieć nie może, słowem życiem jakie większość ludzi młodych u nas po wsiach pędzi. Czczość, próżna nuda rychło mnie ogarnęły; śród wielu pragnień nieokreślonych i niezaspokojonych, pragnienie miłości, nadzieja spotkania ideału kobiecego, o jakim marzyłem wciąż, a nie znajdowałem nigdy, — pragnienie owe i nadzieja na pierwszem stały miejscu. Czułem, że jeśli spotkam istotę, dla

któréj by serce moje bić zaczęło, istocie téj oddałbym się cały i poświęcił wszystko.

W sąsiedztwie mojem mieszkała już nie młoda dama mająca przy sobie młodą siostrzenicę; — panie te należały do eleganckiego naszego świata i wiele o nich w okolicy mówiono.

Słyszałem nie raz o wdziękach panny, o sukcesach światowych ciotki, lecz choć mnie nie raz w odwiedziny ciągniono, odstręczała mnie zawsze reputacya owéj cioci, z którą matka moja nigdy, ani żyć, ani widywać się nie chciała.

Pewnego przecież razu dałem się nakłonić: pojechałem tam ze szkolnym przyjacielem moim i kolegą Edmundem, który u tych pań częstym i dobrze widzianym był gościem. Od pierwszego wejrzenia, od pierwszéj rozmowy uroda i niesłychany powab, ośmnastoletniéj zaledwie panny, zrobiły tak silne i niesłychane wrażenie, jakiego dotąd żadna nie wywarła na mnie kobieta. Zastałem tam towarzystwo bardzo liczne, prawie z samych mężczyzn złożone, wystawność w domu wielką, choć jak wiedziałem, fortuna była mierna i bardzo podszarzana. Jedni z gości grali w karty, drudzy, a tych była nie mała liczba, otaczali młodą boginię, która odznaczała się nie tylko niepospolitą i rzadką pięknością, ale dowcipem, urokiem, powabem z jakiemi umiała utrzymywać rozmowę i błyszczeć śród licznego grona wielbicieli. Mój przyjaciel Edmund zdawał się w ich liczbie najpierwsze zajmować miejsce.

Kiedym po odwiedzinach, które się parę dni przeciągnęły do domu wracał, byłem już nie tylko zajęty panną i rozmarzony, ale najzupełniéj pewny, że nareszcie znalazłem mój ideał, tak gwałtownie i nagle wszystkie władze méj duszy, pociągnęła ku sobie piękna moja sąsiadka. — Wizyty stały się coraz częstsze, ciotka coraz grzeczniejszą się zdawała i dość wyraźnie okazy-

wała mi swą łaskawość. W miesiąc po pierwszem poznaniu już się oświadczyłem — we dwa dni byłem ożeniony. Zaraz po ślubie wyjechaliśmy za granicę: chciałem żonę moją wyrwać co prędzéj z atmosfery jaką otaczała ją ciotka; wymógłem nawet na niéj, że po powrocie naszym do kraju, nie będzie widywać nikogo z tamtego towarzystwa. Żyliśmy dosyć samotnie, ale widziałem, że żona moja tęskni trochę za ludźmi i światem, do których mnie najzupełniéj nic nie ciągnęło.— Jak wielkiem było, krótkie moje szczęście opisywać ci nie będę — kochałem moją żonę nie spokojną miłością męża ale coraz wzrastającem i gorączkowem uczuciem kochanka. Ile razy miłość dla kobiety tak opanuje umysł i serce człowieka, że mu zakryje wszystko i że już przez nią nie widać, ani Boga, ani ludzkości ani ojczyzny, tyle razy miłość taka staje się źródłem ciężkiego bólu, a w końcu i narzędziem pokuty — tak się też ze mną stało.

We dwa lata po ślubie, gdy już mieliśmy córkę, nadeszły wypadki z 1830 roku . . . .
. . . .
dochodziły już stron naszych głuche wieści o wojnie.

Czy wiesz jaką była jedna z najpierwszych myśli, gdym się o wypadkach dowiedział?... oto ta, że trzeba będzie odjechać od żony i może na długo ją zostawić. Ja któremu niedawno jeszcze nie zbywało na gotowości rzucenia się w niebezpieczeństwa, który aż do Grecyi robiłem wyprawę..... dziś nieśpieszyłem się wcale za drugimi i czekałem wypadków.

Jednego dnia na wiosnę, już późnym wieczorem zajechało przed mój dom kilku mężczyzn konno i zbrojno: był między nimi Edmund który od mego ślubu nie pojawił się u nas ani razu. Przybyli, zsiedli z koni i weszli do pokoju gdzie ich uprzejmie przyjęła moja żona. Edmund który dzielnie wyglądał w ułańskim mundurze

był ożywiony jak człowiek czujący szablę przy boku i idący życie na kule wystawić, zaczął z moją żoną długie rozmowy, pełne wspomnień z czasów owych zabaw i wizyt u ciotki, które i dla niej wiele zdawały się mieć uroku.

— A ty nie jedziesz z nami? zapytał się mnie śród rozmowy.

Czułem że krew mi ze wstydem uderza do twarzy. — Odpowiedziałem, że pojadę, ale że jeszcze w téj chwili uczynić tego nie mogę.

— Nie dziwi mnie bynajmniéj, że ci nie śpieszno, na twojém miejscu takżebym się nie śpieszył, rzekł Edmund znacząco patrząc na moją żonę, lecz, dodał, w mojem położeniu, nawet zasługi niema dopełnić obowiązku; gdy kulę w piersi dostanę nikt pewnie płakać po mnie nie będzie.

Kiedym później przypomniał sobie wzrok jakim żona moja w téj chwili na niego patrzała, wyrzucałem sobie z goryczą rozpaczy, żem w chwili owéj nie przeczuł i nieprzewidział wszystkiego.

Jeszcze téj saméj nocy Edmund i jego towarzysze odjechali w strony ku Kowlowi.

Po ich wyjeździe moja walka wewnętrzna wzmogła się daleko gwałtowniéj, czułem że iść trzeba, a coraz mniéj miałem odwagi żonę moją porzucić. Raz już wyjechałem z domu i w parę dni wróciłem z drogi, czekając znowu na dalsze wypadki i wyrzucając sobie jak zawsze słabość, która mnie w własnych oczach hańbiła.

Nareszcie odebrałem wyraźne zlecenie od Różyckiego stawić się pod Latyczów, ociągać się dłużéj nie było podobna. Bojąc się pożegnania z żoną: postanowiłem do niéj z drogi dopiero napisać, a zabrawszy i moich ludzi i tych co się z nami złączyli, poszedłem w danym kierunku. Gdym doszedł na oznaczone miejsce, tęsknota ogarnęła mnie tak wielka, chęć zobaczenia i pożegnania

żony odezwała się tak gwałtownie, że zostawiłem mój oddział, a sam na arabskim koniu, którego miałem od Emira Rzewuskiego, puściłem się do domu, pewny że nazajutrz do swoich powrócę. Zabawiłem w domu parę tylko godzin i z sercem jeszcze bardziéj rozmiękczonem wracałem do mych towarzyszów. Powiedziano mi gdym powrócił, że podczas nieobecności mojéj przyszedł rozkaz posuwania się daléj, lecz, że nie usłuchano tego rozkazu czekając mego powrotu; zgryzłem się tą wieścią nie pomału, zwłaszcza, że zaraz po mym powrocie dały się słyszeć nie zbyt odległe armatnie wystrzały. Ruszyłem z moim oddziałem na ich odgłos, lecz już w drodze spotykaliśmy rozproszone nieliczne naszych szeregi piesze, konne i rannych wiezionych na powózkach — przybyliśmy o parę godzin za późno . . . .

. . . .

Gdym stanął wytchnąć mojemu koniowi przed nędzną karczmą w lesie, wybiegł do mnie żyd i oznajmił, że leży u niego w karczmie tylko co przywieziony młody jeden pan ranny bardzo. Zsiadłem z konia i wszedłem do izby.— Na stole karczemnym leżał na burce skrwawionéj blady i mocno cierpiący Edmund. Uniósł się on ze swego posłania na mój widok i wyciągnął ku mnie rękę: Dostałem piękną ranę rzekł z uśmiechem, patrz prawie w same piersi, jestem pewny, że rana nie jest niebezpieczna; a gdyby jakikolwiek cerulik był pod ręką, to by można kulę wydobyć, bo czuję że jest ona na wierzchu.

— Sprowadzę ci doktora rzekłem do Edmunda, karczma ta leży na ustroniu, możesz tu bez niebezpieczeństwa jaki dzień pozostać, ja podaję do miasteczka i bądź co bądź wrócę z lekarzem. Edmund uścisnął mi rękę, ja wsiadłem na konia i nie bez trudności dostałem się do miasta o dwie mil odległego. Felczera który był rozrywany, prawie gwałtem porwałem na najęty

wózek i jeszcze tego dnia w nocy stanęliśmy u Edmunda. Zastaliśmy go w gorączce i znacznie osłabionego; lecz rana istotnie nie była niebezpieczną — kula dała się wyjąć łatwo — a felczer zalecił spoczynek, zaręczając, że za parę dni, byle wygodnym powozem, ranny będzie mógł udać się gdzie zechce. Edmund ściskał mnie za rękę i mówił:

— Był czas, że żal wielki miałem do ciebie, ale od dziś dnia nie zapomnę, żem ci prawie życie winien i mówiąc to, łzy w oczach miał ten człowiek!

Zaspokojony o niego, chciałem się udać zaraz za oddziałami naszemi, które jak sądziłem odnaleść potrafię. Ale Edmund błagał, aby go nie opuszczać, za nim podnieść się nie będzie zdolny. Uczyniłem zadość jego prośbie i postanowiłem parę dni poczekać. Jeszcze téj saméj nocy wyprawiłem list do żony, donosząc, że się znajduję przy rannym Edmundzie, że zostanę zapewne dni parę i jéj proszę, aby przysłała najwygodniejszy powóz, dla przewiezienia rannego, gdy już będzie mógł się ruszyć. List ten posłałem przez żyda, który się podjął poselstwa.

We dwa dni zajechał mój powóz przed karczmę, w powozie siedziała moja żona ze swą garderobianną. Nie spodziewałem się wcale jéj przyjazdu, i nie byłbym śmiał nigdy narażać samą na podróż w takich czasach — tem więcéj przeto ucieszyłem się jéj widokiem. Edmund zaczął się właśnie podnosić i już czuł siły potrzebne do odbycia podróży. Trzeba było się naradzać, gdzie i jak umieścić rannego — o przewiezieniu go do domu, nie można było naówczas myśleć. Miałem parę wiosek na saméj granicy Galicyi; zdawało nam się, że tam najlepsze i najpewniejsze będzie dla niego umieszczenie, zwłaszcza, że w razie poszukiwań zostawała łatwość przejechania granicy. Żona moja pochwalała ten projekt i podjęła się Edmunda dowieść na samo

miejsce, bo na wypadek jakichkolwiek spotkań, ranny jadący z kobietą na mniejsze narażony był niebezpieczeństwo. Plan ten został przyjęty. Edmund wsiadł z żoną moją do powozu, ja miałem czekać w karczmie na wiadomości od nich i doniesienie gdzie i kiedy zjechać się mam z żoną — tę wiadomości podjął się dostawić żyd zabierający się na kozioł z odjeżdżającymi.

Zostałem w owéj karczmie, cała dwa dni sam jeden, pełen niepokoju i różnych wyrzutów: zazdrościłem Edmundowi rany i téj opieki jakiéj od żony méj w swojem położeniu doznawał. Drugiego dnia nocą żyd wrócił i przyniósł mi kartkę: donosiła mi w niéj żona, że Edmundowi w drodze otworzyła się rana, że stan jego pogorszył się bardzo, a jéj prosta litość nie pozwala go opuścić. Skoro tylko niebezpieczeństwo minie, pisała daléj, zdecydowaną jest do domu wrócić i postarać się aby mnie uwiadomić o tem jak najprędzéj. Znalazłem to wszystko bardzo naturalnem, a znając jak nasze kobiety w podobnych razach poświęcenia są pełne, pocieszałem się i dziękowałem Bogu, że mi dał dobrą i szlachetną żonę.

Wyjechałem z owéj karczmy z postanowieniem przyłączenia się do któregokolwiek z naszych oddziałów... udało mi się nie bez trudności do nich przedostać a nawet wziąść udział w paru potyczkach..... ....

We dwa tygodnie późniéj już tułaliśmy się rozproszeni po lasach..... o powrocie do domu nie można było myśleć w téj chwili... W niepewności o losie żony i Edmunda, gdy umyślni wysyłani do nich nie wracali, zdecydowałem się przedrzeć konno w strony owe nad galicyjską granicę. Na kilka może mil od wsi nadgranicznéj, gdzie Edmund się przechowywał, spotkałem na gościńcu długi wóz naładowany tłomaczkami, pakami i pudłami kobiecemi, na wierzchu nad tem wszystkiem siedziała Justysia garderobianna mojéj żony.

— Co tu robisz, skąd jedziesz spytałem zdziwiony?

— Wracam z domu i jadę do pani, która nad granicą na mnie czeka. Pani wysłała mnie po rzeczy swoje, które zabrałam i wiozę dla niéj.

— Nie masz listu do mnie?

— Pani kazała mi list w domu zostawić i przykazać ludziom, aby pana odszukali, ale ponieważ nikt w domu o panu nie wiedział, więc wiozę list napowrót i mam go ze sobą.

— Porwałem list z rąk Justysi — zawierał on kilka wierszy. Donosiła mi w nim żona, że poszukują Edmunda, że będzie zapewnie zmuszony przejechać granicę, a ona w takim razie zdecydowaną jest przewieść go, zwłaszcza, że ranny bardzo jest jeszcze osłabiony.— Błagam cię, był koniec listu, staraj się dostać nasze dziecko, zostań przy niem i zastąp mu matkę w czasie méj nieobecności, która być może przeciągnie się dłużéj jak myślę.

List ten jakimś dziwnym nieznanym niepokojem napełnił mi duszę — spytałem Justysi o córkę moją zostawioną w domu, — powiedziała mi ona, że pani z początku miała zamiar sprowadzić dziecko do siebie z piastunką, ale potem zmieniła projekt; spytana o Edmunda Justysia, zapewniała mnie że on zdrów i że już dawno jak wstał i chodzić może. Te odpowiedzi służącéj zwiększyły niepokój mój i udręczenia, a pierwszy raz w duszy powstało okropne jakieś podejrzenie, które przecież odpychałem od siebie ze zgrozą. Chciałbym był téj saméj chwili dostać się nad granicę, ale koń mój kilkodniową drogą strudzony był bardzo, zabranie się na wóz z Justysią nie obiecywało mi ani pośpiechu, ani bezpieczeństwa. Sądziłem, że bocznemi drogami prędzéj stanę na miejscu, rozpytałem się o to i puściłem w danym kieruku w nadziei, że w kilka godzin stanę w owéj wsi nadgranicznéj. Ledwiem parę mil ujechał koń

mój padł prawie podemną ze znużenia. Trzeba było odszukać i najmować konie, to wszystko trwało dość długo, a oprócz tego zbłądziłem i naddałem niemało drogi, tak, że zamiast tego samego dnia, stanąłem zaledwie nad ranem na miejscu. Gdym przed dom zajechał powiedziano mi, że téj nocy jeszcze, zaraz po przyjeździe Justyni, żona moja z Edmundem przejechali granicę. Kazałem natychmiast zaprzęgać, aby się udać za niemi. Zaledwiem wszedł do pustych pokoi, aby chwilkę wypocząć, usłyszałem tentent przed domem, wyjrzałem oknem, — dom był otoczony przez kozaków — we drzwiach stanął oficer pytając się o Edmunda, spytał zarazem i o moje nazwisko, gdym mu je powiedział: — I pana mam rozkaz aresztować rzekł pokazując mi papier.................

We dwa tygodnie znajdowałem się już w Kijowie, a w miesiąc, jeden z usłużnych przyjaciół, doniósł mi że Edmund uwiózł moją żonę, że wszyscy o tem wiedzą i mówią, i że dziś oboje zapewne znajdują się w Paryżu. Wiadomość ta poprzedziła tylko o jeden dzień wyrok skazujący mnie na 10 lat fortecy.

Kiedy cios taki uderzy w człowieka, zamkniętego między cztery ściany więzienia, to popada on naprzód w to osłupienie rozpaczy i ból ciężki, tępy, bezwładny stokroć zwiększony niemożnością ruszenia się i przedsięwzięcia czegośkolwiek, potem dopiero zaczyna się Jobowa walka z Bogiem, a dusza zraniona miota się w gniewie i wyrzutach, kosztując wszystkich z kolei trucizn bezwładnéj rozpaczy. Jak przeżyłem pierwsze trzy lata mego więzienia mówić ci nawet nie będę — w bólach piekielnych innéj nie znałem ulgi, jak albo snuć w duszy projekta zemsty na uwodzicielu méj żony, albo chorobliwego szukać wytchnienia w myśli o samobójstwie, która jak cień nieodstępowała mego umysłu.

Po trzech latach więzienia śród których włosy moje posiwiały, tak jak je dziś widzisz, oddano mi list pierwszy, jaki dotąd odebrałem. List ten skreślony dziecinną i niepewną ręką, zawierał dwa wiersze wielkiemi napisane literami:

„Drogi ojcze, jestem grzeczna, czekam na twój po„wrót i kocham cię z duszy.“

Te parę słów mego dziecka, mojéj Anielki sprawiły, żem po raz pierwszy zapłakał, żem po raz pierwszy upadł na kolana i mógł się modlić. Kiedy człowiek takim jak moje przyciśniony nieszczęściem, potrafi raz myśl swą do Boga zwrócić i uznać na chwilę że na cierpienie i ból zasłużył — cierpienie zaraz staje się znośniejsze, a z poddaniem się woli Bożéj równowaga a za nią cisza wraca. Niedługo po odebraniu tego listu przyszło mi ułaskawienie. Zostałem wypuszczony z fortecy i mogłem uścisnąć moją dziewczynkę, którą poczciwa kobieta, niegdyś klucznica méj matki wychowywała.

Zaraz po moim powrocie oddano mi list już dawniéj z Paryża przywieziony — był to list Edmunda, pisał mi w nim, że sobie życie odbiera, i przed śmiercią o przebaczenie prosi — kobieta, któréj serce mi zabrał, opuściła go, a ciosu przeżyć nie może i tak już wyrzutami nękany.

Prawie jednocześnie z odebraniem tego listu odwiedziła mnie ciotka méj żony, przyjechała ona niby to mnie pocieszać i zaczęła coś mówić o niéj, o jéj teraźniejszem położeniu... przerwałem i zakazałem najwyraźniéj wspominać przedemną imienia méj żony, oświadczając, żem zdecydowany strony te opuścić i nigdy do nich nie wrócić. Majątek mój zapisałem był jeszcze przed wypadkami 1831 r. na imie żony — nie chciałem a nawet nie mogłem zapisu tego odmienić. Oznajmiłem to owéj ciotce, prosząc by się zajęła administracyą, a jéj doniosła, że jest panią całego majątku. Oświad-

czyła mi potem w parę tygodni ciotka, że żona moja będąca za granicą, zapisu tego dla siebie nie przyjmuje, a majątek uważa za własność Anielki, — odpowiedziałem że córka moja nic przyjąć nie może od swojéj matki i nigdy nie przyjmie... Od tego czasu niesłyszałem już nigdy o niéj, nie wiem nawet czy jest przy życiu, a córka moja ma ją za umarłą...

Póki człowiek żyje w tym powszednim świecie, śród głupstw, fałszów i całéj komedyi ludzkiéj, gdy idzie nie zdając sobie sprawy niesiony prądem życia jak i drudzy, to nie bywa uderzony ani fałszami, ani czczością okropną komedyi; lecz gdy cierpienie prawdziwe przenurtuje duszę do głębi, a kilkoletnia samotność przyzwyczai wchodzić w siebie i myśl wciąż zwracać do Boga, to inna wiara, inny sąd całkiem obudza się i powstaje w duszy. Już człowiek wtedy nie przystaje do świata i ludzi, śród których obracać się jest zmuszony. Tak się też ze mną stało. Choć dużo hartu i mocy zyskałem, nie dosyć miałem chrześciańskiéj pokory, aby się wdrożyć znowu w życie i obcować z ludźmi, którzy mnie wciąż ranili pragnąc rozerwać i pocieszyć. W miesiąc po wyjściu z więzienia opuściłem na zawsze strony, w których doznałem krótkiego szczęścia co upaja i długich cierpień co mądrości uczą. Nie mówiąc nic i nie zwierzając się nikomu, wziąłem nazwisko i papiery jednego z moich oficyalistów, zabralem córkę i przeniosłem się tutaj, gdzie od lat dziesięciu żyję.

Wszystko co stanowi osobiste szczęście człowieka zostało we mnie złamane. Czas jeśli nie leczy to uspakaja wszystko. Dziś kiedy się po za siebie oglądam, to winy moje wyraźniéj stają mi przed oczy, a za to rany coraz mniéj bolą.

Im bardziéj człowiek zachodzi w lata i do grobu się zbliża, tem bardziéj rzeczy osobiste i doczesne dla których tyle poświęcił i tyle wycierpiał, błahemi się wy-

dają i marnemi, a natomiast nieśmiertelne i wieczne, które zaniedbywał wciąż i odsuwał od siebie z uporem coraz jaśniejszym i prawdziwszym świecą przed jego oczami blaskiem.....

Ach! gdyby mi dzisiaj młodość moją wrócono!..... Wyrzucam sobie niekiedy, żem porzucił majątek, imię, pozycyę w świecie, z któremi można było stać się pożyteczniejszym dla drugich człowiekiem. Choć kocham moją samotność i mały światek, w którym staram się robić trochę dobrego, to przecież sumienie powiada nieraz, że niewolno dla żalu osobistego uciekać od świata, i mieć do niego urazę, za te cierpienia, których zarody i przyczyny w nas samych leżą — że niegodzi się stronić od ludzi i zrywać z życiem, dla tego, że się samemu żyć nieumiało. Bo życie nasze nie jest i nie powinno być monologiem, ale dramatem ciągłym, w którym do końca taką grać trzeba rolę jaką nam wielki Twórca dramatu wedle sił naszych i zdolności przeznaczył. Nawet gdy nam egzystencyę i szczęście osobiste złamano, stanowiska swego opuszczać nie wolno. Prawa na których świat nasz i ludzkość cała się opiera, tak są urządzone i od działalności naszéj zawisłe, że wszystko i na każdym kroku woła na człowieka. — Działaj, idź naprzód, cierp ale walcz i pracuj dla drugich. Tylko ciągła praca jest ową maczugą Herkulesa, którą można wojować i zwyciężać potwory...

Jelnicki ukrył swą głowę w dłoniach i milczał chwilę.

— Jedno, mówił, co ucieczkę moją od świata tłómaczyć i usprawiedliwić może, to chyba to, żem córkę moją chciał wyrwać ze sfery któréj niebezpieczeństwa, fałsz i pokusy znałem, a w któréj zostając musiałaby prędzéj czy później spotkać się z wspomnieniem swéj matki!.... Czym dopiął celu? Czy potrafię zapewnić mojemu dziecku, dla którego dziś żyję, trochę tego szczęścia i spokoju o jakie w życiu tak trudno!....

Powiedziałem ci całą moją historyę, kończył Jelnicki zwracając się do młodzieńca, o bolach moich dotąd tylko Bogu mówiłem; człowiekowi który chce córkę moją wziąść za żonę, miałem obowiązek powiedzieć całą prawdę, — wiesz ją teraz całą.

Bronisław słuchający tego opowiadania z wzruszeniem i łzami uścisnął obie Jelnickiego ręce.

— Przysięgam, rzekł patrząc mu się w oczy, przysięgam na Boga, na pamięć moich rodziców, że to com usłyszał od pana w niczem uczuć moich i zamiarów nie zmienia, jeszcze goręcéj pragnę szczęścia córki pańskiéj a przywiązanie moje i szacunek dla pana jeszcze mocniéj wzrasta.

— Młodość, młodość! rzekł Jelnicki wracając do zwykłego tonu, wielkie zaklęcia! wielkie frazesa! po mojéj historyi którą słyszałeś przed chwilą, jeszcze w romantyczniejszych barwach przedstawiam ci się i ja i moja córka, nieprawda? Ale zastanówmy się zdrowo i rozsądnie. Twój stryj nie pozwoli na to małżeństwo nigdy, przypuszczam, że mu się potrafisz oprzeć i pójdziesz wbrew jego woli, to zostają świat i ludzie, choć byś był wyższy nad przesądy i uprzedzenia, położenie twoje będzie nieznośnem ile razy spotkasz się z wspomnieniem matki twojéj żony! a cóż dopiero jeśli ją spotkasz samą?...

— Niema, niema przeszkody mówił z zapałem Bronisław, coby mnie wstrzymać mogła, byleś pan przystał na moje szczęście, osiądziemy na wsi z daleka od świata — będziesz wciąż przy nas...

— Twoje słowa mój drogi szczere w téj chwili i z serca idące nie mogą we mnie zagłuszyć tego, co doświadczenie do duszy naniesło... Słuchaj, dałem dowód, że cię traktuję jak dojrzałego człowieka, na którym polegać można, powtórz mi za dwa lata to co mi teraz mówisz — a zobaczemy wtedy.

— Dwa lata! powiedział opuszczając głowę ku piersiom Bronisław.

— Te dwa lata zejdą prędzéj jak ci się wydaje, — widzieć méj córki przez ten czas nie będziesz — jeśli przywiązanie twoje zniesie tę próbę, będzie to może rękojmią waszego szczęścia na przyszłość, a w każdym razie nie będziesz sobie nic miał do wyrzucenia.

— Pozwól mi pan, prosił Bronisław, choć parę razy widzieć ją jeszcze przed odjazdem — pozwól mi zapewnić się, że nikt mego miejsca w jéj sercu nie zajmie.

— Nie mój drogi, nie mogę na to pozwolić, znam moją Anielkę, i wiem że jeśli jéj serce pokocha i jeśli w uczuciu swem broń Boże zawiedzionem zostanie, to ciosu takiego nie przeniesie. Nie trzeba by wiedziała, ani o twoich zamiarach ani o rozmowie naszéj. Daj mi słowo i rękę, że jéj widzieć nie będziesz, i że jéj w inny sposób o tem nie uwiadomisz. Bronisław przyrzekł uroczyście i podał rękę ojcu Anieli.

— Nie przyrzekam ci także, mówił daléj Jelnicki, rozmawiać z nią o tobie, ale słowem cię mojem zapewniam, że ona przez te dwa lata nie będzie widzieć nikogo i niczyją nie zostanie żoną, pierwéj aniżeli się zobaczemy.

— Pozwól mi pan ze sobą widzieć się, podczas tych at próby.

— Jeśli będziesz za rok w tych stronach, to się zobaczysz ze mną, ale tylko ze mną, dodał Jelnicki, a pamiętaj że jesteś wolny i nie związany niczem, jeśli za rok się widzieć będziemy, powiesz mi że twe uczucie przekwitło wraz z wiosną, która je w sercu twem obudziła, to żalu do ciebie mieć nie będę i zachowam ci mój szacunek. A teraz bądź zdrów i wracaj do Wiernicy.

Bronisław rozczulony, rzucił mu się w ramiona. Jelnicki rzekł przyciskając go do piersi:

— Walcz, pracuj, ucz się być chrześcianinem. I w oczach jego szlachetnych surowych, dojrzał po raz pierwszy młodzieniec łzę jedną, która się ku wąsom stoczyła.

Ach! czemuż i łzy téj i chwili owéj tak prędko zapomniał!

(*Dokończenie nastąpi*).

Leon Kapliński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O TŁÓMACZENIACH WIERSZEM BIAŁYM,

I O MYLNEM POJMOWANIU CHARAKTERÓW

W SZEKSPIROWSKIÉJ TRAJEDYI: JULIUSZ CEZAR.

Ostatniemi czasy rzucono się u nas pilnie do przekładania Szekspira, przekład bowiem Howińskiego wydany przed lat dziesiątkiem był ciężki, zawiły i prawie niepodobny do czytania. Jakoż w Warszawie drukuje się przekład Paszkowskiego o wiele przystępniejszy; o kilku gotowych przekładach zostających w rękopisie dochodzą nas posłuchy; a przekłady pojedyńczych dramatów pojawiają się od czasu do czasu. Usiłowania te różnéj są wartości odpowiednio do talentu tłómaczów; to jednak pewna że ze wszystkich teoryi tłómaczenia, najlepsza ta będzie która połączy w sobie głębokie pojęcie oryginału, z oddaniem go w taki sposób, żeby czytelnik

nie był rażony ani obcemi zwrotami mowy, ani tą nienaturalnością toku, jaka zazwyczaj cechuje niewolnicze przekłady. Lecz i tu możnaby pewien podział zaprowadzić: Szekspir w polskim języku oddawna powinien już był zająć miejsce w szeregu przekładów z obcéj literatury, a jednak dotąd niemamy całego. Czemuby to przepisać? oto niewyrobionym pojęciom co do sposobu jakim obce dzieła przekładane być powinny. Pierwszy warunek ile sądzę, aby największą liczbę czytających poznajomić z autorem; a to łatwo da się osięgnąć niepretensyonalnem tłumaczeniem prozą, ma się rozumieć dobrą prozą, która może być lepszą od miernych wierszów, rymowych czy nierymowych. Wprawdzie prozaiczna forma zdziera wiele piękności i uroków z szaty poezyi, lecz zawsze zostają w zysku najgłówniejsze rzeczy: osnowa, pomysły, kompozycya całości. Francuska literatura przyswoiła sobie tym trybem arcydzieła literatur obcych, nietylko samym podrzędnym pisarzom zostawiając ten brak do zapełnienia, lecz częstokroć powołując najjenialniejsze umysły do wywiązania się z zadania. Jeśli Chateaubriant mógł podjąć się tłómaczenia Miltona Raju Utraconego prozą, a Guizot Szekspira, a Barrante Szyllera, dlaczegobyśmy w naszéj literaturze niemieli starać się o uzupełnienie przekładów arcydzieł literatur obcych tą samą metodą? Przez to bardziejby wzrosła znajomość najlepszych wzorów, myślby się bogaciła, rozszerzył horyzont wyobrażeń, a co najważniejsza nie bralibyśmy tego za nowość, co przed nami i lepiéj i szykowniéj kto inny wypowiedział. Ten rodzaj tłumaczeń odpowiada potrzebie oświecania się i kształcenia, jednakże niewyklucza przykładów które nazwałbym artystycznemi; takowe mogą być dokonane czy częściowo, czy w zupełności, przez wyższe talenta i z tą doskonałością porywającą z jaką Mickiewicz oddał Giaura, Słowacki: Xięcia Niezłomnego. Tacy mistrze zwykle wyżsi

nad pedantyczne szkolne teorye, sami tworzą metodę. Niepowiadają sobie z góry: Kalderon pisze po hiszpańsku assonancami, więc po polsku trzeba starać się o *assonance*, choćby takowe w naszéj mowie były prawdziwemi *dissonancami*, lecz po prostu przejęci wzorem swoim, tak go odlewają w języku ojczystym, że wszystko się znajdzie co w pierwotworze: prąd natchnienia, moc wyrażeń, wdzięk dykcyi, charakter narodowy, prócz jednéj śmieszności podrzeźniania form i dźwięków czy to greckich, czy hiszpańskich, czy angielskich, jak to trafia się w przekładach niemieckich szczycących się taką wiernością, że prędzéj przy małéj znajomości jakiego języka można oryginał rozumieć, niż przy dobréj znajomości niemczyzny przełknąć niefortunne tłumaczenia. Dość tu przypomnieć przekład Pana Tadeusza przez Spaciera, a z tego możemy z małym wyjątkiem powziąść wyobrażenie o tłumaczeniach podług metody niemieckiéj, która się zaczyna u nas przyjmować, nieprzynosząc najmniejszéj korzyści literaturze, bo mało znajdzie się odważnych aby chcieli przełykać koszlawe wiersze, bez żadnéj harmonii, a zawiłe składnią i szykiem godnym najlichszéj prozy. Jeżeli podobne tłumaczenia mają pretensyę do artystyczności, to wolelibyśmy szczerze mówiąc, zwykłą poczciwą prozę, niż jakieś tam hexametry, jamby, assonance, lub paralellizmy, obce uchu naszemu, obce naturze języka. Zwolennikom téj metody uwidziało się, że chociaż dotąd niebyły te formy w używaniu, to je można przyswoić literaturze, biorąc je gwałtem z obcych literatur; lecz mylą się wielce; bo stworzenie nowych form, nigdy niebyło dziełem miernych tłumaczów ale oryginalnych twórców, nadających świeżéj myśli świeżą formę, o jakiéj pewno ani się im śniło.

Do uwag powyższych pobudziły mię niektóre nowe próby tłómaczeń tak ze starożytnych jak z nowożytnych autorów, wypadłe wcale nieszczęśliwie; szczególniej zaś

nietyle samo tłómaczenie, ile *Słowo od tłumacza* umieszczone na wstępie do przekładu Szekspirowskiéj trajedyi: *Juliusz Cezar* przez Adama Pajgerta, w któremto słowie spotykamy się z uwagami mającemi dowieść jaki jest najwłaściwszy sposób przekładania obcych autorów, a mianowicie dramatycznych. Powiada tłómacz że przedsięwziąwszy na polskie przelać Szekspiroskiego Juliusza Cezara, miał ważne pytanie do rozwiązania, w jakiéj formie zewnętrznéj należało takowe wykonać: czy tłómaczyć prozą, czy wierszem rymowym, czy tak zwanym białym czyli nierymowym?

Co do pierwszego sposobu, powiada p. Pajgert, lubo przekład prozą może być najwierniejszy, jednakowóż idealniejsza treść poezyi, idealniejszéj wymaga formy— zresztą „wiersz dla nowoczesnéj trajedyi stał się rodzajem koturna.“ Bardzo słuszna uwaga, tak słuszna, że powinna być wzięta za zasadę. Czemuż się nietrzymał jéj w swojem tłómaczeniu p. Pajgert. Oto dla tego, że tłómaczenie rymowe, jak mówi poniżéj — lubo najwięcéj zwyczajowi (powinien był powiedzieć, własnościom) naszego języka odpowiedne, jednakowoż rym staje się „koturnem przesadnie wysokim i psuje przez swoją ogładę prawie koniecznie naturalność i swobodę toku mowy“. — Zresztą Szekspir niepisał wierszem rymowym.

Pozostał mu więc nierymowy wiersz, chociaż u nas po części istnieje jeszcze przesąd przeciw temu rodzajowi wiersza. Tym sposobem jak twierdzi, dykcya nie staje się ani nadto poziomą jak w prozie, ani nadto napuszoną i deklamatorską jak we wierszu rymowym.

Zrobiwszy sobie tę teoryę dla własnego użytku, nieprzekonał nas mimo tego swoim przekładem Juliusza Cezara, żeby to był sposób najlepszy i z gruntu obalający *przesąd przeciw temu rodzajowi wiersza.* Jeżeli tłumacz nieufał własnym siłom i przeczuwał że używając rymu popadnie w napuszystość i nienaturalność, nieidzie za-

tem żeby się nieznalazł talent coby tych niebezpieczeństw nie potrafił uniknąć. Mamy przecież w naszéj literaturze wiele przykładów, gdzie mimo rymowego wiersza panuje najwyższa prostota, naturalność i wdzięk niewymuszony. Szatą poezyi naszéj jest rym, i zawsze rym; żadne teorye nic tu niepomogą — pomogłyby może przykłady, lecz dotąd niewiem gdzie ich szukać; to pewna, że nie w oryginalnych próbach tego rodzaju, ani w tłumaczeniach wierszem białym, który niczem nie jest tylko popsutą prozą udającą harmonię poezyi, ale zawodzącą co chwila. Własnością nierymowego wiersza nie jest taka lub inna liczba zgłosek, lecz miara; o téj zaś nasi bezrymowce niewiele wiedzą, chociażby nawet pilnie uczyli się prozodyi Królikowskiego. Jeden Mickiewicz jak we wszystkiem mistrz, tak i w *powieści Wajdeloty* użył miarowego wiersza; lecz czytając ten ustęp nieśmiertelnéj piękności zachodzi pytanie czem więcéj porywa, czy samą treścią opowiadania, wnętrzną poezyą, czy harmonią słowa? Ja myślę że jednem i drugiem; poważna ta forma jednego jest odlewu z samą rzeczą; odpowiadają sobie wzajemnie. Dlaczegoż mistrz nieużył tego rodzaju wiersza, n. p. w Panu Tadeuszu? Przecież miał wzór w homerycznych epopejach, lub w Hermanie i Dorocie Getego? Oto bo trafny jego sąd widział w tem wysił tylko sztuki, a nie przyrodzoną własność języka naszego. Owe miary skombinowane uczenie, nie tkwią w słuchu narodu. A cóż dopiero powiedzieć o białym wierszu co tylko liczy zgłoski, a o miarę niepyta? Nieprzeczę, dogodny on bardzo do zamaskowania lichéj prozy; ułatwia niezmiernie szybkość przekładu, nadaje mu pewien pozór artystycznego wykonania — ale w istocie rzeczy nieprzynosi więcéj zysku jak tłumaczenie prozą, zwłaszcza jeżeliby ta proza była tak poetyczną, tak świetnie brylantową jak proza autora Irydiona.

U nas nie publiczność lecz autorowie zasmakowali od pewnego czasu w tym kastrackim rodzaju wiersza, szczególniéj w tłómaczeniach. Przedewszystkiem Poznańskie dawszy już pokój filozofom z nad Sprei, zabrało się teraz do wprowadzenia poetyki z nad Sprei. Gdyby niektóre ich utwory białowierszowe z małemi odmianami punktacyi, i porządku wyrazów przedrukować na prozę, odkryłaby się najniestrawniejsza ramota, niepodobna niczem ani do starego języka Zygmuntowskiego, ani do nowego którym piszą lepsi polscy pisarze. Pozorna szata poetyczna pokrywa tę nędzę, i dlatego niekażdy na tem się pozna; a chociaż czytając uczuje, że go coś męczy jak czkawka, nieśmie nic mówić pamiętny na przysłowie: poetom wszystko wolno.

Tłómaczenie p. Pajgerta mimo białego wiersza, nieśmiałbym kłaść w poczet powyższych niefortunnych tłómaczeń, które nietylko niebogacą ale owszem okradają naszą literaturę. Wywiązał się on z zadania swego z sumienną ścisłością; niestracił przytem na jasności i precyzyi — przeciw duchowi języka popełnia jednak grzechy, jak owe często przychodzące: *co do mnie, co do Antoniusza* — które szczególniéj po francuzku bardzo jest zrozumiałe, ale po polsku tak nieużywa się, chyba gdy powiemy: co komu do mnie, albo: co masz do Antoniusza, lecz wtenczas sens zmieniony zostaje. Nie lepiéj powiedziane: połóż ten papier na krześle pretora gdzie Brutus *musi go* znaleść; albo: nim dzień zaświta *musim* go zbudzić — Więc *musimy* tak rzecz tłómaczyć. Najgorsze ze wszystkiego jest: „*Zostańmy słuchać* mowy Antoniusza!“ — to już nie gallicyzm, ale czysty galicyanizm.

Nie w innym celu dotknąłem tych drobnostek językowych, tylko żeby przekonać p. Pajgerta jak podobny rodzaj tłómaczenia ułatwia drogę wszelkiego rodzaju zaniedbaniom, a głównie jak fałszuje i zmienia naturę naszego języka. Ktoby się uparł, o takich upartych nie

trudno, mógłby białym wierszem słowo w słowo oddawać każdy prawie oryginał, w przekonaniu, że go najwierniéj przelewa. Tymczasem co komu po téj wierności; chyba jednemu studentowi, jeśli mu się niechce szukać po słownikach i łamać głowy nad przygotowaniem się do lekcyi — lecz dla czytelnika obeznanego z tokiem i zwrotami ojczystéj dobréj mowy, powstają ztąd tortury dla myśli i ucha; język naginany i gwałcony do form i szyków obcego języka, traci właściwy charakter i brzmienie polskie, lecz sposób oddawania myśli, cudzoziemski, sprawia, że każdy niemal ze wstrętem podobne tłómaczenie odpycha. Mógłbym przytoczyć na dowód liczne przykłady; ale podobne przytoczenia czerpane z żyjących dotknęłyby niejedną miłość własną i tak już dotkniętą przez najobojętniejsze przyjęcie ich tłómaczeń. — Tłómaczenie rymowe z natury swojéj zmuszone jest myśl oryginału oddawać w sposób właściwszy naszemu językowi, wiem co oryginał chce powiedzieć, czuję całą doniosłość jego wyrażeń, i odpowiednio temu odlewam z polskiem zacięciem wiersz który powinien w sobie zamykać w równéj objętości, mierze i tonie myśl wyrażoną w tekscie. Rymowemi tłómaczeniami Psalmów, Jerozolimy, Owidyuszowych Przemian, bogaciła się literatura, kształcił język — gdy bezrymowemi zanieczyszcza się tylko, jakby śniedź padła na łan pszeniczny; tłómacze niezwiązani wymaganiami rymu, z łatwością poddają się obcym formom i przestają myśl po swojemu wyrażać. Możnaby mi zarzucić, że i w prozaicznem tłómaczeniu natrafiłoby się na podobne niedogodności; lecz proza nasza tak samo jak wiersz rymowy ma swoje wymagania, potrzebuje być jasną, loiczną, płynną, wdzięczną tokiem i harmonią okresów. Wiersz biały obchodzi się bez tego wszystkiego, przynajmniéj z dotychczasowych prób niemogłem się jakoś przekonać, żeby tak bardzo dbał o doskonałość, zwła-

szcza w utworach, gdzie artyzm cywilizowanéj poezyi przemaga. W przekładach utworów gminnych, pierwotnych, gdzie mało jest sztuki, a częstokroć wiele zależy na dosłowności ustępów mających związek z historyą, rodzaj tłómaczenia białym wierszem bardzo stósownie bywa użyty; surowy materyał powinien być oddany surowo.

Zdawało mi się rzeczą potrzebną zaczepić, nie tyle samo tłómaczenie Juliusza Cezara, ile teoryę p. Pajgerta, z narażeniem się na wyrzut nowatorów; że jeszcze się niepozbyłem zastarzałego *przesądu* względem białego wiersza. Może być że to przesąd; wszakże niewidzę potrzeby porzucać go, dopóki teorya białego wiersza, nieznajdzie poparcia w jakim dzielnym przekładzie, któryby za wzór doskonałości uznano. Szczególniéj w literaturze teorye powinny być dziećmi przykładów uznanych za wzorowe; wszelkie zaś teorye wyprzedzające przykład, lub na wątpliwéj wartości wzorach oparte, dają więcéj dymu jak światła.

Drugi punkt sporny który tu zamierzyłem podnieść, tyczy się *krytycznego poglądu* na Juliusza Cezara zamieszczonego na końcu trajedyi.

Zgadzam się bez targu na wszystkie piękności hojnie rozsypane w téj trajedyi, na sceny arcy dramatyczne do których jeden tylko Szekspir umie przygotować publiczność tworząc dokoła swych osób pewną atmosferę zapowiadającą zwykle jakieś klęski, mordy, wygnanie, zbrodnie co wstrząsają naturę... Całość doskonale związana; charaktery pełne, a często w jednem słowie malujące się do głębi. Któż wypowie wszystkie przymioty i tajemnice tego nieśmiertelnego jeniuszu?! Nie o niego mi też idzie lecz o sposób w jaki p. Pajgert uważał niektóre charaktery, i co jest czego ani Gerwinus, ani on niedostrzegli w téj trajedyi, obrażającéj mimo wszystkiego, moralne uczucie czytelnika.

Chciałbym widzieć kiedy Juliusza Cezara na scenie, abym się mógł przekonać po wrażeniu jakieby odnieśli widzowie, czy ta moja uwaga słuszna: że morderstwo wykonane na Juliuszu Cezarze w trajedyi Szekspira, niczem nie jest usprawiedliwione w oczach widzów. Jeżeli tyran ma ginąć pod ciosami wyznawców wolności, trzeba nam ukazać tego tyrana w akcyi; trzeba przeciw niemu usposobić umysły i serca, aby morderstwo stanowiące jądro dramatu, niewydało się dziełem hazardu, lub szalonym czynem chorujących na wątrobę ideologów. Tymczasem w trajedyi pomienionéj, ów Cezar, tyran wolności rzymskiéj, na którego po nocach ostrzą sztylety, o którym nienajlepiéj gadają, ma się rozumieć spiskowce — przedstawia się w kolorach uroczych, męża przewyższającego sercem i głową swoich politycznych przeciwników; pełnego dobroci, uprzejmości dla wszystkich, a najmniéj dbającego o własną osobę. Słowa które mówi do Artemidora podającego mu piśmienne ostrzeżenie o zamachu na jego życie w chwili gdy szedł do Kapitolu: „Co się mnie (Cezara) tyczy, będzie ostatniem“, najlepiéj malują tę wyniosłość ducha unoszącego się po nad wszystkie względy i widoki. Jakiż mi to tyran co nie drży o swoje życie, co się nieotacza liktorami i pretoryanami, co tak po bratersku przyjmuje w domu swoim całą bandę spiskowych, i jeszcze częstuje winem — co jeżeli ma cień podejrzenia, to chyba ku Kasyuszowi, który „ma głodne wejrzenie i wklęsłe lica“.... Cezar nazywa takich ludzi niebezpiecznymi, dla wszelkiéj władzy; jest to uwaga, którą rzuca mimochodem w toku rozmowy, uwaga niepociągająca za sobą ani tajnego dozoru, ani proskrypcyi... I takiego to męża zamordowują spiskowce! Sposób zaś w jaki wykonywują ten czyn jest tak nikczemny, że w obec niego postać Cezara zdaje się rosnąć w nieskończoność; spiskowi bowiem zanoszą pokorną prośbę do stóp Cezara

błagając go aby przyzwolił wrócić z wygnania Publiuszowi Cymbrowi, ci mu skłaniają się do nóg, Brutus całuje mu ręce — lecz Cezar stały „jak północna gwiazda“ niechce cofnąć raz wydanego wyroku — odmowa staje się hasłem dla Kaski do utopienia weń sztyletu, w czem go naśladuje reszta sprzysiężonych... Nikczemni! nieśmią i nieumieją z otwartem czołem wystąpić w obronie praw i wolności Rzeczypospolitej; co już dostatecznie przekonywa, że tylko osobista pycha pod płaszczykiem dobra ojczyzny ugodziła w pierś wielkiego człowieka, aby wyjść na jaw z cieniów swojéj małości Cóż innego mówią spiskowce na nocnych zebraniach, tylko że wielkość Cezara staje się dla nich nieznośną.

O! tak!... On kroczy po tym wązkim świecie
Jak jaki kolos; a my, ludzie mali,
Pełzamy między olbrzyma nogami,
Sromotnych grobów szukając dla siebie.
Ludzie są czasem panami swych losów;
Nie gwiazdy winne, o! drogi Brutusie!
Ale my sami winni żeśmy karły.

Cóż winien Cezar że go nieba wielkim zrobiły, i dały Rzymowi aby hydrze stronnictw i wojen domowych koniec położył!... Republikanie przywykli widzieć ludzi skrojonych na miarę średnioproporcyonalną, niemogą pojąć nawet przyczyn robiących człowieka wielkim Szekspir cudownie ten rys pochwycił:

Teraz mi powiedz w imie wszystkich bogów!
Jaką się strawą ten nasz Cezar karmi
Że tak zolbrzymiał? O! hańba ci wielka!
Rzymie! straciłeś wielkich ludzi płodność...
Bo kiedyż wiek był od najdalszych czasów,
Któryby tylko jednym mężem słynął?

I aż do dzisiaj możnaż było wyrzec
Że jeden człowiek cały Rzym zapełnia?

Są to słowa Kassyusza któremi usiłuje wciągnąć Brutusa do spisku; maluje się w nich prawdziwy typ sprzysiężeńca, zawsze gotowego uderzyć w pierś zrobioną nie na miarę „krawca lecz Fidiasza“. — Brutus znowu przypomina tych doktrynerów rewolucyjnych co to akcyę sztyletu lub gilotyny ograniczają do pewnych głów, co zbrodniczy cel radziby umaić wieńcami filantropii, łagodzić umiarkowaniem.... W téj myśli, kiedy Kassyusz czystéj krwi terrorysta radzi zgładzić wraz z Cezarem i Antoniusza, Brutus reflektuje zapaleńców:

Nazbyt się krwawem wyda nasze dzieło,
Kaju Kassyuszu! gdy uciąwszy głowę
Zechcemy jeszcze odrębywać członki;
Jak gdyby wściekłość wiodła nas do czynu,
A potem zawiść?

A cóżby innego? Szekspir, który Cezara niechciał pokazać w postaci tyrana, zostawił spiskowym właśnie tylko te dwie pobudki do czynu: wściekłość i zawiść; Brutus charakter politycznego filozofa i marzyciela, czuje i pojmuje tę pobudkę, lecz niechce w nią wierzyć, i hipokryta, paradoxista ubarwia ją celem wyższéj ofiary, gdy nie ciało Cezara ale ducha jego chce zabić. Bardzo mu też idzie o to aby w opinii ludu, nazwano wykonawców mordu nie zabójcami, lecz oczyścicielami.

Niepojmuję tedy na jakiéj zasadzie wywiódł p. Pajgert że: „Brutus jest najwznioślejszym, najpiękniejszym, „i największym charakterem, który Szekspir utworzył, „który kiedykolwiek pojawił się na scenie; — że pobudki jego nie są nigdy osobiste, zawsze najszlache-

„tniejsze, zawsze widzimy go wielkim — natura może „powstać i powiedzieć: Oto był mąż!“.

Czem mógł pozyskać tę sympatyę charakter Brutusa? wytłumaczyć sobie nieumiem. — Gdybym go widział w zapasach z tyranią Cezara narażającego co chwila siebie, exystencyę rodziny, poświęcającego mienie, szczęście życia, upadającego pod trudem walki na śmierć, a niedającego się niczem ująć ni zachwiać, a krzepiącego się jedną myślą, że tem okupi szczęście milionów — takim Brutusem możnaby się zaentuzyazmować — lecz nigdy człowiekiem biernym, pokojowym marzycielem, który daje się wciągnąć w krwawy zamach przeciw największemu z Rzymian i przez kogo? przez takiego Kassyusza, tę upersonifikowaną zawiść, co w rozpaczliwéj małości trując się własnym jadem, nosi ludziom na pokaz twarz żółtą i zapadłe policzki.....

Nie pytam historyi, ale w saméj trajedyi widać jaką myślą kierował się Szekspir, kiedy niechciał Cezara ukazać tyranem, kiedy mu w usta włożył słowa godne najszlachetniejszych i najcnotliwszych władców; o tyraństwie Cezarowem o jego zamachu na wolności Rzymu dowiadujemy się dopiero z pogadanek spiskowców; ludzie ci widocznie upajają się własnemi słowy, lecz koniecznością zagłady Cezara nie są przyciśnięci; całe motywum że Cezar olbrzym, a oni karły... Ani nawet u Rzymian nieuważano tego za cnotę, za wielkość charakteru, że ktoś niemógł ścierpieć obok siebie wyższości jeszcze jakiéj wyższości! Nigdzie także niewidzimy w ciągu dramatu, żeby Rzymianie narzekali na stratę wolności w któréj obronie stanęli spiskowi — dla kogoż więc zabity Cezar? — czy tylko dla fantazyi lub korzyści spiskowców?...

Niesłusznie więc nagania p. Pajgert Gerwinusa że sformułował sobie ogólne prawidło o szekspiroskich trajedyach, w których nikt bez własnéj przewiny nie upada,

bo jeśli do któréj, to do téj trajedyi stosuje się ta reguła. Brutus i Kassyusz znajdują śmierć na polach filipińskich z własnych rąk, jest to fakt historyczny, lecz i moralny zarazem w duchu formuły wyłożonéj przez Gerwinusa. Nie wątpię bynajmniéj iż Szekspir pragnąc się trzymać ściśle historycznego podania a przytem chcąc usprawiedliwić smutny koniec Brutusa i Kassyusza umyślnie ukazał w tak czystem świetle Cezara, żeby przyczyna spisku nie tyle wypływała z rzeczywistego pognębienia Rzymu, ile z zajątrzonego serca i fantazyi fakcyonistów zżymających się na swą małość w obec największego z Rzymian. Nieinaczéj, Szekspir czyn Brutusa i Kassyusza osądził w sumieniu swojem za zbrodniczy, i wyraźnie potępia go w piątym akcie przez usta Messali:

Ohydny błędzie! czarnych myśli dziecie!
Czemuż wzruszonym umysłom przedstawiasz
To, czego niema? O przeklęty błędzie!
Szybko poczęty, nigdy nie przychodzisz
Na świat szczęśliwym porodem; lecz zawsze
Zabijasz matkę, która cię poczęła.....

P. Pajgert żadną miarą nie pozwala na to aby Szekspir te słowa odnosił do zabójstwa Cezara — a do czegóż? przecież Kassyusz przebijając się na mieczu wyraźnie mówi:

Pomszczonyś Cezarze!
Tym samym mieczem, który ciebie zabił.

Kassyusz był przecież matką która ten błąd poczęła...... Brutus zabijający się po nim, również czuje w sumieniu przewinę, i konieczność expijacyi.....

Teraz Cezarze, czas by gniew twój mijał!
Ciebiem daleko niechętniéj zabijał!

Jak widzimy że nawet sprawcy śmierci Cezara niepoczytywali sobie tego za cnotę... zwłaszcza gdy patrzeli przed zgonem jak dzieło ich rozwiało się marnie, a duch Cezariański tryumfował z tą różnicą że już niebyło genialnego męża coby myśl swoją szczytniéj i zbawienniéj dla Rzymu przeprowadził, niż spadkobiercy jego, niedołężni tryumwirowie.....

Nie rozumiem na jakiéj zasadzie wyexaltował sobie p. Pajgert charakter Brutusa w téj trajedyi? Zarzuca Gerwinusowi że „niepodnosi się do rzymskiego na rzecz rzymską poglądu“ — zapewne i ja na ten zarzut narażam się bo także odrzucam rzymski pogląd, a pilnuję tylko samego Szekspira, który na świat rzymski i nie rzymski umiał zawsze po ludzku poglądać, i czuć z nim po ludzku.

Dla tego to Szekspir niechciał bynajmniéj czynu Brutusa podnieść do apoteozy; jeniusz pełen żelaznych konieczności i ugruntowanych motywów, umyślnie aby spiskowych potępić, niepokazał tyrana, lecz tylko wyższego człowieka padającego ofiarą... w oczach widzów niewinną i czystą. Cała szkarada czynu, mimo pięknych słow któremi się usprawiedliwiają, jest tylko na stronie zabójców. Tryumf ich też nietrwa dłużéj jak kilkanaście wierszy które Brutus mówi do ludu.....

Niech mi wolno będzie dorzucić jeszcze jednę uwagę co do czytania i pojmowania Szekspira. W ogóle mało trzeba zważać na pretensyonalne komentarze jego objaśniaczy lub krytyków; każdy sadzi się by coś nowego o nim powiedzieć; mojem zdaniem Szekspir ma wiele staroświeckiéj prostoty, trzeba go pojmować jak jest,

po prostu, ze zdrowem usposobieniem, i niekoniecznie patrzeć przez jakiś „*otwór piramidy, aby widzieć błękit i Boga*“, tam, gdzie jest tylko ziemski padół i biedny jego mieszkaniec — ze wszystkiemi ułomnościami i żądzami.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

POKÓJ W VILLAFRANCA.

Rien de plus brutal qu' un fait — nic nad fakt brutalniejszego — wyrzekł raz pan Guizot w Izbie deputowanych, nagabywany przez opozycyę o czyn dokonany przez inne mocarstwa w polityce zagranicznéj. Wyrażenie to przychodzi na myśl w obec pokoju zawartego w Villafranca. Smiało mogli je powtórzyć lordowie Russell i Palmerston podczas ostatnich rozpraw w parlamencie.

W rzeczy saméj, nie ma nic brutalniejszego w obec wszelkich rozumowań jak to co się stało, co zatem odstać się już nie może. Jakikolwiek sąd o wypadku tym mógł być wydany, jakkolwiek może on nie zgadzać się z zapowiedzianym lub przypuszczanym programatem, jakkolwiek może nie odpowiadać pewnym zamiarom i widokom politycznym, nie dopisywać pewnym zachceniom i objawionym planom, jakkolwiek nareszcie zawodzi pewne oczekiwania, nadzieje i życzenia, — niemniéj stało się. Dwaj monarchowie spotkali się w Villafranca,

podpisali przedugodne punkta, wojska się cofnęły, nawet odstąpiły od oblężenia Peschiery, armia francuzka wróciła do Paryża, król Wiktor Emanuel zajął jako monarcha Medyolan — ustała wojna — stanął pokój...

Ależ kwestya o którą toczyła się wojna, nie została roztrzygniętą... W Villafranca podpisano dopiero przed ugodne punkta... Mnóstwo wypadków zaszło od tego czasu które utrudniają ich wykonanie... Wszakże dla ostatecznego ustalenia pokoju zebrały się konferencye w Zürich... A nawet czyż dla utrwalenia dzieła pokoju wielka część opinii europejskiéj a nawet rządy nieprzemawiają za zwołaniem ogólnego kongresu?..... Czyż w obec tych następności umowy w Villafranca, w obec trudności jakie przedstawia jéj wykonanie, a które od miesiąca jak zawartą została, nie zmniejszyły się wcale, jeżli się nie powiększyły, można ją uważać za co więcéj jak za konwencyą, za preliminarya raczéj pokoju jak za samo dzieło pokoju?..... Czyż nareszcie na konferencyach w Szwajcaryi nie przedłużono zawieszenia broni na czas nieograniczony, jakby przez to uznać chciano że zawartą dopiero została umowa ale że jeszcze nie stanął pokój?.....

Owóż mniéj więcéj co się codzień słyszy i czyta o pokoju w Villafranca. Nikt zapewne zaprzeczyć nie zechce temu na co się patrzy. Jawnem jest, że sprawa o którą poszła wojna, nie ukończyła się, że nawet nikt przewidzieć dziś nie zdoła, kiedy i jak się ukończy. Konfederacya włoska jest dotąd usiłowaniem politycznem. Zawiązanie jéj niema jeszcze określonéj podstawy. Niewiadomo, czy Papież przyjął honorową prezydencyę, tem mniéj wiadomo, komu się ma dostać rzeczywiste przewodnictwo. Nikt powiedzieć nie może kto do konfederacyi należeć będzie i pod jakiemi warunkami. Również nieznane są warunki przyjęcia Lombardyi przez Piemont, jako też bytu politycznego Wenecyi w konfe-

deracyi włoskiéj. W obec zawarowanego powrotu do tronu panujących dynastyj w Toskanii i Modenie, utworzyła się liga Włoch środkowych z czterdziestotysięczną armią i Garibaldim na czele. W ruchu jaki się tam odbywa, dzieją się rzeczy któreby były nadzwyczajne wszędzie, we Włoszech całkiem są niepojęte. Świetne stolice, wielkie miasta, dawne rzeczypospolite, nie tylko wyrzekają się swéj autonomii, ale czynią powstania i cały byt swój kładą na szalę, aby zostać miastami prowincyonalnemi sąsiedniego państwa! Kwestya tak zwana papiezka, coraz to większe podaje polityce zawikłanie przez rewolucyą w Legacyach. Prowincye te wolne od rekrutacyi i płacące o połowę mniéj podatków jak kraje do Piemontu należące, chcą koniecznie dostać się pod berło Wiktora Emanuela; a Sabaudya znów chce się oderwać od domu swych książąt i należeć do Francyi, gdzieby dwa razy tyle znosiła ciężarów jak dzisiaj. Kwestye materyalne widocznie nie przemagają w ruchu jaki ogarnął Włochy, i rzec można że od pokoju zawartego w Villafranca, ulegają one nierównie silniéj owemu natchnieniu które wywoływał odezwami swemi Cesarz Francuzów, a które powiedzieć można szło dość oporem dopóki się z wojskiem swojem na polach Lombardyi znajdował. Teraz atoli, cały ów ruch którego zaprzeczyć nie można, jest tylko jedną przeszkodą więcéj, i to może najgłówniejszą, stojącą na drodze wykonania umowy, konwencyi czy pokoju Villafranca.

Bo zaprawdę nie chodzi tu o nazwę, i słowo p. Guizota zawsze da się tu zastosować. Niema wojny, a przeto pokój zawarty został. Niema wojny, i co większa, nikt takiego zawikłania nieprzypuszcza, aby pokój z Villafranca zerwanym został, i aby daléj wojnę prowadzić miano. Prawda, że Piemont konwencyi nie podpisywał, ale wszak przyjął Lombardyę od Francyi —

nastąpił więc czyn dokonany, uznający pokój z Villafranca, bo tam Austrya Francyi ustąpiła Lombardyę. Czyż może kto przypuszczać, aby kwestya długu jaki ma ciążyć na Lombardyi, cofnąć mogła połączenie jéj z Piemontem? Jakież okoliczności sprowadzić by mogły wojnę? Wszystkie owe co dopiero wspomniane trudności nie są w stanie wywołać wojsk francuzkich za Alpy, i wystawić znów nad Mincio téj armii, którą 14 b. m. przeglądał na placu Vendôme Cesarz Napoleon i żałował, że ją rozwiązać przychodzi. Ani zgromadzenia narodowe we Florencyi, Modenie i Bolonii, ani liga Włoch środkowych, ani wojsko Garibaldego nie dokaże, by pokój zawarty niebył pokojem.

Pozostawienie przez Francyę pięćdziesięciotysięcznego korpusu we Włoszech nie może w niczem osłabiać mocy dokonanego czynu jaki leży w zawarciu pokoju w Villafranca. Korpus ten nie jest dosyć znaczny aby mógł przedstawiać Francyę wojenną. W obec odezw cesarskich, postępowania i usposobienia Cesarza Napoleona, wszelkie przypuszczenia przeciwne pokojowi nie mają w téj chwili żadnéj podstawy. Cesarz Francuzów przez cały ciąg swego panowania dowodzi, iż wie czego chce. Chciał pokoju i zawarł go, a pewnie mało kto zna lepiéj od niego doniosłość takiego czynu. To też w pozostawieniu owego korpusu upatrują jedni ostateczną rękojmię wykonania warunków pokoju zawartego w Vilafranca, drudzy znów rękojmię przeciw wszelkiéj interwencyi w sprawach Włoskich i ułożeniu ich za pomocą obcéj siły. To zdaje się pewna, że korpus ten reprezentuje politykę francuzką we Włoszech. Chcieć odgadywać jaka będzie ta polityka w ostatecznych swych wynikach, byłoby zarozumiałością. Nikt dotąd nie przeniknął myśli Napoleona III. Dowodem tego owe ciągłe niespodzianki które w podziw wprawiają całą Europę

Są one skutkiem téj prawdziwéj wyższości, która tworzy kombinacye, jakich ogół umysłów nie dosięga.

Trudno też orzec, czy konferencye szwajcarskie które się dzisiaj toczą, będą wyrazem owéj polityki, lub też czy nie będą raczéj tylko jednym ze szczebiów po których myśl napoleońska postępuje do niewiadomych celów. W każdym razie, to tylko wiadomo, że zadaniem konferencyi jest pogodzenie faktu pokoju zawartego w Villafranca z powodem dla którego toczyła się wojna; jest obmyślenie sposobu w jaki wykonać się mają warunki podpisane w Villafranca, nieodwołalne, bo zatwierdzone przez dwóch potężnych monarchów. Z powodu wypadków zaszłych we Włoszech o jakich mówiło się wyżéj, wykonanie warunków natrafia na trudności, których zdaniem zwłaszcza Anglii, konferencya zwyciężyć nie jest w stanie. Szczególnie też życzenia ludności Księstw włoskich objawione przez zgromadzenia narodowe, stają w sprzeczności z zawarowanemi w umowie punktami. Czy sprzeczność ta jest tylko pozorną, lub rzeczywistą — zależy od sposobu zapatrywania się na sprawę. Różne też są w téj mierze zdania — a rozstrzygać nie można. Lecz bądź jak bądź, owe trudności z któremi w każdym razie konferencye w Zürich łamać się muszą, służą za pozór dla opinii utrzymującéj, że sprawy włoskie jedynie za pomocą ogólnego europejskiego kongresu załatwić się dadzą. Stronnicy kongresu, do których należą Rosya a nawet Anglia, widzą w prowadzonych konferencyach szwajcarskich, przygotowawcze dopiero prace do kongresu, a w samym kongresie dopiero dzieło pokoju i załatwienie sprawy włoskiéj.

Myśl ta europejskiego kongresu znalazła łatwo w Europie rozgłos, przyzwyczaił ją był bowiem systemat solidarności ogłoszonéj na kongresie paryskim do udziału wszystkich mocarstw w każdéj większéj kwestyi. Zasta

nowiwszy się jednak bliżéj, konieczność kongresu nie wydaje się być nieodzowną w tym przypadku.

A naprzód co do saméj sprawy o którą idzie. Pomijając już iż częścią jéj, i to może najtrudniejszą do załatwienia jest kwestya krajów papiezkich, w któréj państwa akatolickie głosu zabieraćby nie mogły, pozostaje osądzić potrzebę kongresu ze względu na sprawę włoską w obec Europy i w obec Włoch samych.

W obec Europy albo sprawa włoska jest kwestyą europejską albo nią nie jest. W pierwszym przypadku trudno pojąć, jakim sposobem państwa ogłaszać mogły swoją neutralność w wojnie, gdzie o kwestyą europejską chodziło. Zdaje się więc iż ją za taką nieuznawały, a wtedy znowu jakiemże prawem państwa neutralne nakładać mogą swoje warunki państwom wojującym, które zawarły pokój i naradzają się, jakby warunki pokoju tego wykonać?

W obec Włoch przedstawia się także dylemmat: albo warunki pokoju z Villafranca przeprowadzone będą koniecznie, bezwzględnie, a więc siłą jeżeli zgodnym nie uda się sposobem, a wtedy należy to jedynie i należyć może do państw które pokój zawarły i punkta podpisały; albo też przyszłe losy Włoch im samym powierzone zostaną, i sprawy ich mają się załatwić bez żadnéj interwencyi obcéj a wtedy na cóż kongres, którego wyrok byłby koniecznie wpływem obcéj jakkolwiek zbiorowéj interwencyi?

Daléj, co się tyczy pokoju, nie widzimy, w czemby go kongres mógł lepiéj utrwalić. Pokój jest, bo niema wojny; nie widać w czemby pokój był trwalszym po kongresie. Nawet jeżeli zamiast pokoju postawi się wyraz spokojność, co od dawna przestało być w Europie jednoznaczącem, znikło już przekonanie aby po kongresie spokojność była zapewnioną. Spokojność równie jak pokój nie zależy od kongresu, ale od sposobu w jakim sprawy na kongresie są rozstrzygnięte. Tegoż samego i kon-

ferencye w Zürich dokonać mogą. Czyż dla tego zerwanie pokoju miałoby być trudniejszem, że więcéj byłoby podpisów na traktacie? Wszak ilość podpisów na kongresie wiedeńskim nie przeszkodziła ani jednéj zmianie, a zaszło ich wiele, i nie zatrzymała wojny włoskiéj.

Nakoniec, spuszczać nie należy z uwagi, że pokój z Villafranca równie jak i cała wojna włoska były wynikiem polityki osobistéj. Kreśląc jéj cechę w styczniu w obec obawy jaką przeniknęły Europę rzucone w dzień Nowego Roku przez Cesarza Francuzów pamiętne słowa, powiedzianem było na tem samem miejscu, że tak obawy te jakoteż i całe położenie ówczesne odnosić należy do rozwijającéj się coraz bardziéj polityki osobistéj. Odwołać się do owego artykułu jest rzeczą stósowną. Wszystko co się stało od téj chwili, było polityką osobistą panujących. Król piemoncki chciał wojny, Cesarz Francuzów życzył jéj sobie, Cesarz Austryacki ją wydał Polityka osobista kierowała polityką mocarstw neutralnych. Taż polityka zawarła naprzód zawieszenie broni, a późniéj pokój.

Konferencye — mówi wspomniony styczniowy artykuł — nie były wcale wzmocnieniem kongresów dyplomatycznych, ale właśnie ich osłabieniem. W marcu proponowała Rosya kongres, który do skutku nie przyszedł. Na cóż go dziś zwoływać i odstępować tym sposobem od kolei, którą w całym toku sprawy postępowano. Konferencye w Zürich nie powiedziały jeszcze swego pierwszego słowa, a ostatniego czekać wypada.

I nie masz nic dziwnego, że systemat polityki osobistéj otrzymał górę nad systematem wspólności zasad i solidarności interesów, który był tylko teoryą, a czem innem być nie mógł dopóki mocarstwa wspólnych nie miały zasad. W długiéj, bo kilkoletniéj praktyce tego systematu wykazywanem to było na tem miejscu ciągle i przy każdéj okoliczności. Powtarzać nie ma więc dzi-

siaj przyczyny, tem więcéj iż widocznemi są usiłowania aby sprowadzić jednostajne we wszystkich państwach zasady rządowe. Zanim to atoli nastąpi, jeżeli kiedy nastąpi, zastósowanie wsławionego systematu solidarności, coraz będzie trudniejszem, i kto wie, czyli pokój w Villafranca nie będzie pierwszym aktem politycznym, który się zechce obyć bez owéj europejskiéj sankcyi.

MAURYCY MANN.

KRONIKA.

Kraków w sierpniu.

W żadnym może kraju cześć N. Panny nie jest tak rozpowszechnioną jak w Polsce, nigdzie tyle co u nas kościołów pod Jéj wezwaniem, nigdzie tyle cudownych obrazów, tyle miejsc Jéj czci poświęconych, tyle na chwałę Jéj śpiewanych pieśni, tyle bractw Jéj imienia, tyle odpustów w Jéj święta. Nie darmo Ją też zwią królową naszą, a imię Jéj w takiém zostaje w Polsce poszanowaniu, iż jako imienia Jezus żadnemu chłopcu na chrzcie nie udzielają, tak do naszych jeszcze czasów niedawano nigdy dziewczynom na chrzcie imienia Marya ale tylko Maryanna. Niedawno dopiero zaczęto pod tym względem naśladować zwyczaj cudzoziemski, lecz kto ma ucho na dźwięki mowy ojczystéj drażliwsze niżeli ci co się pacierza uczyli po francuzku, ten nie zawoła nigdy na kobietę: „Maryo!“ gdy zaś takie wołanie usłyszy, to mniemać chyba gotów, że się kto modli głośno, i że po słowie „Maryo“ nastąpi zaraz „Matko Boża!“ Wyznaję też, że pomimo całéj piękności poematu Malczewskiego, niemało lat upłynęło, zanim się z tytułem jego oswoić mogłem. Jest to dowodem wielkiéj czci jakiéj w kraju naszym doznaje od wieków N. Panna; a że „nowinki“ zachodnie

tak reformacyi jako i późniejsze deizmu, ateizmu, panteizmu i wszystkich systematów filozoficzno-religijnych po wierzchu się tylko po kraju naszym prześlizgnęły, nie utworzywszy sekt obrazoburzców; przeto obchody ku czci N. P. Maryi święcone, dłużéj się u nas przechowują niż na Zachodzie, i połączone bywają z starożytnemi obrzędami, jakkolwiek nie zupełnie zgodnemi z rytuałem, lecz uzmysławiającemi plastycznie lub dramatycznie postać Matki Boga. Są to oczywiście zabytki pierwszych wieków zaprowadzenia u nas chrześcijaństwa, owe procesye, jasełka, feretrony; przechowywane z czasów, kiedy dla wdrożenia w umysł ludu zasad i prawideł nowéj wiary, musiano je odnosić do pewnych form zewnętrznych. Zresztą wiara nasza oprócz swojéj dogmatycznéj strony ma zarazem stronę swoją historyczną; a dzieje kościoła złączone są z dziejami świata tożsamością przyczyn i skutków, wspólnością chronologii, jednostajnością świadectw apostołów i badaczy. Ztąd w świętach naszych kościelnych niemoże być nabożeństwo odrywane od tradycyi, istota rzeczy od ceremoniału, obrządek religijny od obchodu ludowego.

Swięta, mianowicie na cześć P. Maryi przepisane przez kościół, bywają w całym naszym kraju odprawiane z niezwykłą wystawnością, a odpusty po miejscach słynących obrazami Jéj cudownemi, jako np. Częstochowa, Gidle, Kalwarya Zebrzydowska, Poczajów i t. d. są zarazem wspaniałemi obchodami publicznemi.

Do znaczniejszych świąt na cześć N. Panny liczy się święto Wniebowzięcia obchodzone 15 sierpnia. Kto tego dnia nie spędził w Kalwaryi, ten nie zna obchodów naszych kościelnych, ani też był kiedykolwiek na odpuście. A przecież z pomiędzy mieszkańców Krakowa, lubo kilka tylko mil odległego od Kalwaryi, większa część nie była nigdy na żadnym odpuście kalwaryjskim, a tem mniéj w dniu 15go sierpnia; pośród bowiem kilkudziesięciu a może stu tysięcy ludu zgromadzonego tam na odpust, zaledwie kilku tak zwanych surdutowych napotkać niekiedy można.

Już tylokrotnie opisywano odpust kalwaryjski, a opisy te wychodziły niekiedy z pod pióra ludzi znających dokładnie miejscowość, a do tego natchnieniem religij-

nem przejętych, tak że opis tegorocznego obrzędu Wniebowzięcia na Kalwaryi słabym tylko może być podźwiękiem ich wzniosłych uniesień, lub mdłym obrazkiem w porównaniu z ścisłością ich opisów; wszelako gdy przypada mi obowiązek skreślenia kroniki krakowskiéj z sierpnia, Kalwarya jako ozdoba ziemi krakowskiéj, najgodniejszem może być zadaniem opowiadacza sierpniowych zdarzeń.

Dwa wzniosłe momenta spotykają się na Kalwaryi, religijny i historyczny: odpust Wniebowzięcia i Mikołaj Zebrzydowski; a oba tak się z sobą łączą i nawzajem tak na siebie wpływają, jako np. w niejednym religijnym obrazie przedmiot święty z pędzlem malarza. Stanąwszy przed obrazem, niewiedzieć czy masz się modlić, czy tylko go podziwiać. Podobne uczucia miotają pielgrzymem na odpuście kalwaryjskim. Między nabożną pieśnią i modlitwą, a wspomnieniami historycznemi i wspaniałym obrazem natury plączą się one bezwiednie, raz tam, drugi raz ówdzie dłużéj się zatrzymując w miarę tego, jakie wpływy chwilowe przeważniéj na nie działają. Wędrowiec przybyły aby się przyjrzeć wspaniałemu widokowi stu tysięcy zgromadzonego na jednem miejscu ludu, zmieszawszy się z gromadą pobożnych, mimowolnie dobywa z piersi głosu i choć nieśmiało, wtóruje za przewodnikiem. Raz padnie na kolana w któréj z kaplic, albo słucha ze zbudowaniem prostéj i jędrnéj przemowy niewyświęconego kaznodziei w guni lub sukmanie; to znow przebiegłszy okiem po górach i ujrzawszy na nich różnobarwne tłumy, zapomina o odpuście i patrzy okiem turysty lub malarza, by podziwiać najpiękniejsze załamy światła i cienia, najczarowniejsze partye górskie i leśne, najbardziéj malownicze grupy ludzi jakby stafaże na tym rozległym krajobrazie; to wreszcie gdy potrąci okiem o ruinę zamku Lanckorońskiego, stanie mu na myśli dziwna i nieodgadniona postać Zebrzydowskiego, owa psychologiczna i historyczna zagadka 17go wieku. Bogaty w wypadki żywot tego męża rozwija się w pamięci wędrowca w szereg wielkich zdarzeń, w których on czynny brał udział, i każe śledzić za ich przyczynami i następstwami, za wpływem ich na losy kraju; albo też dziwne charakteru jego sprzeczności: wyniosłość na przemian z pokorą, dzikość i mi-

łosierdzie, pobożność i skryte z protestantami związki, przesuwają przed oczami dramat, który choć w mdłych jeszcze zakreślony zarysach, możeby z chaotycznych scen przyszedł do okrągłości i całości artystycznéj, gdyby marzeń tych nie przerwało nadejście nowéj gromady pobożnych, która dziwnie piękną a nieznaną nutą uderzyła ucho. Chcesz nutę téj pieśni pochwycić, czując, że w niéj leży zaród olbrzymiéj kompozycyi, którą wyobraźnia twoja bez pomocy jenerał-bassu zapełniła bogatą instrumentacyą; lecz słuchając téj sferycznéj muzyki nie ujętéj jeszcze w nuty dwa i trzy razy podkreślone, a któréj melodya tylko dzwoni ci do koła, spuściłeś się niepostrzeżenie po spadzistości góry, i zaleciał cię z dołu gwar jarmarczny i woń gospod ambulansowych. I wszystkie te wrażenia raz po raz mijające, spychające się w umyśle twoim na przemian, tak iż nie pozwalają ci wynieść z odpustu nic skończonego, wyrobionego, ustalonego, składają się na ten umysłowy kalejdoskop, który potrącany ciągle przez natrętnego sąsiada, nie dozwoli ci utrzymać niewzruszenie złożonego przypadkowo systemu barw i linii, zadziwiającego ładem swym i harmonią, zadziwiającego tem bardziéj, że bez pomocy twéj powstał. Jako np. nie ręka ludzka układa w kalejdoskopie optycznym te wszystkie matematyczne figury, tak również nie sobie samemu, nie własnéj swéj władzy twórczéj przypisywać powinieneś owe formacye dzieł, które w umyśle twym chwilowo zajaśniały, a które zanim się jeszcze ścięły w krystaliczną trwałość by je można zawieść gotowe do domu i żywcem przenieść na papier, potrącone wpływem późniejszych wrażeń, przedziergnęły się w kształty cale inne niż te któreś pragnął przechować.

Takie jest pierwsze i ogólne wrażenie odpustu kalwaryjskiego. Powoli dopiero, gdy zmysły oswoją się z tą rozmaitością, gdy pierwsze żądze oka i ucha zaspokojone zostaną, właściwy religijny charakter odpustu wzniesie się ponad zmącone twory wyobraźni, ukoi zmysły i ogarnie całą duszę wędrowca.

Czterdzieści jeden kościołów i kaplic wznosi się po górach i przedzielających je dolinach. Rozkładem, a podobno i strukturą wiele z nich przypomina Miejsca Święte. Teraźniejsze ich nazwy zatarły ślady dawniejszych, a

obrzędy kościelne zlały się w jedno z podaniami; tak iż to co ma być tylko wizerunkiem i wyobrażeniem Miejsc Świętych, stało się w oczach ludu rzeczywistą widownią owych wielkich wypadków, z któremi się wiążą tajemnice wiary naszéj. Lud mniema, że tu a nie gdzieindziéj chadzał Chrystus i N. Panna, tu a nie gdzieindziéj są groby ich. Pokazują też kamień wśród drogi, na którym spoczęła Matka Boska w podróży swéj, a rzeka Skawinka traci w tem miejscu swą nazwę i przybrawszy imię Cedronu, staje się rzeką świętą i ulecza różne niemoce. Nie myślę ja bynajmniéj porównywać opisu Kalwaryi Zebrzydowskiéj z opisem Miejsc Świętych jaki mam pod ręką w 2gim tomie „Podróży na Wschód“ Maurycego Manna, bo podobieństwa lub różnice prawdziwéj i naśladowanéj Kalwaryi potrzebne być mogą dla topografii, lecz nie dla wiary ludu przybywającego tu na obchody nabożne. Nie zadziwiło bynajmniéj autora wspomnionéj „Podróży na Wschód“, gdy mu chciano pokazać grób Adama, pierwszego człowieka, ani mnie nie zadziwiło, gdym widział całujących z pokorą kamień na którym spoczęła była Matka Boska.

Najwspanialszą z uroczystości kalwaryjskich jest pogrzeb Matki Boskiéj. Nieprzeliczona rzesza ciągnie przez pół dnia po półmilowéj drodze, odprawiając stacye przy każdéj z kaplic rozrzuconych na wązkiéj dolinie dwoma górami po bokach zamkniętéj. A gdy noc zapadnie, tysiące gromnic oświeci łuną okoliczne wzgórza, a krzyk zanoszącego się od płaczu ludu w chwili spuszczania do grobu ciała N. Panny, ma w sobie coś tak szczerego i prawdziwego, jak gdyby to nie był obrzęd, nie wspomnienie faktu zaszłego przed kilkunastu wiekami, lecz fakt istotny, prawdziwy, obecny. Kto chce przyjrzyć się temu zadziwiającemu widokowi, niech się w tłum nie mięsza, lecz zajmie opodal miejsce jakie wzniesione, a u stóp jego przesuwać się będzie przy świetle gromnic i blasku ogni bengalskich płonących po za kościołem Grobu Matki Boskiéj, różnobarwna mozajka głów tak ściśnionych, że tylko całą masą poruszać się może. Natłok ten właśnie odstrasza wiele osób od zwiedzania Kalwaryi w dni odpustu, lecz kto jest nieco z miejscowością obeznany, może prawie wszędzie usunąć się na czas, a mimo tego być uczestnikiem wszystkich obchodów.

W każdéj kaplicy, w każdym kościele można być przez chwilę, upatrzywszy tę chwilę podczas gdy jedna gromada czyli kompania usuwa się a druga na jéj wyjście czeka; do jednego tylko kościoła OO. Bernardynów trudniejszy jest przystęp przez ciąg odpustu, i większa część pobożnych słucha mszy św. pod gołem niebem, którą odprawia ksiądz na ganku umieszczonym na facyacie kościelnéj. Widok tego księdza podnoszącego N. Sakrament nie ku sklepieniu kościelnemu lecz ku sklepieniu niebios, i widok tysięcy ludzi padających na kolana, daleko silniejsze sprawia wrażenie, niżeli ten sam akt w którymkolwiek z największych kościołów. Msza polowa wojskowa nie może iść z nim w porównanie, bo wiąże się z nią zawsze jakieś wyobrażenie komendy danéj na głos bębna.

Drugi dzień odpustu poświęcony jest obchodowi dróżek i kaplic; w sam zaś dzień Wniebowzięcia powraca procesya od grobu Matki Boskiéj, muzyką i weselem głosząc tę tajemnicę radosną.

Obchód dróżek, to jest zwiedzanie wszystkich kościołów, kaplic i stacyj rozrzuconych po górach lub w dolinie, odbywa się gromadami czyli kompaniami. Nie trzymając się żadnéj gromady, można się z niemi ciągle mijać i spotykać, a najsposobniejsza to pora do przyjrzenia się téj różnorodnéj zbieraninie ludu ze wszech stron przybyłego. Wszystkie niemal odcienia narodowe i plemienne zachodniéj Słowiańszczyzny są tu reprezentowane: małopolanin, mazur, góral, szlązak, morawiak, łużanin, czech, wend, słowak; każdy odmienny ubiorem, narzeczem i postawą, a nawet inaczéj rozkładający się na wypoczynku lub koczowisku, przedstawiają bardzo bogaty materyał dla badacza. Między niemi wszystkiemi pierwsze urodą i postawą zajmuje miejsce góral tatrzański. Wysmukła kibić, rysy twarzy wyraziste lecz regularne, lekkość i okrągłość ruchów, strój malowniczy mężczyzn i niewiast, wyróżniają ten lud korzystnie z pośród innych plemion małopolskich; po nim dopiero idzie krakowiak więcéj przysiadły i krępy, zawsze atoli zwinny i zgrabniejszy od morawiaka i mazura. Z niewiast także góralki najurodziwsze, a po nich szlązaczki. Są w górach niektóre okolice, gdzie lud jest tak piękny, iż

każdy niemal chłop mógłby stanąć rzeźbiarzowi za model grecki.

Jedna lub kilka wsi sąsiednich udając się na odpust kalwaryjski zbiera się w gromadę pod naczelnictwem przewodnika, który musi posiadać nietylko zaufanie swoich wyborców, lecz oraz przymioty nieodzowne, to jest wymowę, głos czysty i dźwięczny, znajomość pieśni nabożnych i nutę ich, a nadto powinien umieć czytać na książce. Przewodnik ma przy sobie chorążego, który niesie znak gromady na przedzie: chorągiew, a najczęściéj pstrą chustkę na żerdzi zawieszoną, przybraną czasem w krzyż, obrazek, wieniec, wstążki lub kwiaty, w zieloną gałązkę lub inny jakowy znak, około którego gromada się skupia. Choć przypadkowo w tłoku od swoich zostanie kto odcięty, to czy wychodząc z kościoła, czy wśród procesyi upatrzy zawsze znak sobie znany i odszuka swoich towarzyszy. Znaki te najdobitniejszym są dowodem, jak się tworzyły w stanie rycerskim godła i herby. Gromady zbrojne skupiały się pod takim znakiem na żerdzi lub pod chorągwią, szły za nim w bitwie lub po skończonym boju pod ten znak zbierały rozprószonych. Prócz chustek różnobarwnych albo żerdzi umajonych lub ukwieconych, można było widzieć na Kalwaryi niekiedy bardzo osobliwe godła: że tu wspomnę, skrzydło jastrzębia, grono kaliny i krypeć góralski.

Przewodnik idzie przodem, z książką nabożną w ręku, czyta modlitwy, przoduje w pieśni, a na stacyach ma obowiązek czytania ewangielii, a co najważniejsza, miewania nauki do swojéj gromady. Mniéj wprawni do mówienia, czytają rozmaite kazania, lecz przewodnik każący z pamięci ma zawsze największą powagę i częstokroć cisną się około niego ludzie innych gromad, mimo nawoływania chorążego i powiewania chorągwią. Dwóch takich mowców szczególniéj mię zajęło i wśród obchodu dróżek pilnowałem się ich niekiedy, by podziwiać ich wymowę. Jeden z nich był pewnie rzadkim już dziś zabytkiem staroświeckiego klechy. Wymowa jego trzymała się ściśle utartych już form kaznodziejskich: przeplatana wyrażeniami tak wykończonemi, że niemogły być rodzimym pomysłem mowcy, lecz niezawodnie zasłyszane w kościele od wielu lat, utkwiły w pamięci całkowicie. A dziwnie odbijały one od innych wyrażeń stanowiących

między niemi przejście i do połączenia ich służące. Przewodnik ten był wiernym naśladowcą zapewne swojego plebana, a lubo naśladownictwo to z towarzyszącą mu mimiką miało w sobie pewien lekki zaciąg mimowolnego skarykaturowania, wszelako sądzę, że w gronie jego słuchaczy ja sam jeden tylko może uderzony tem byłem. Reszta obecnych słuchała go ze zbudowaniem. Kazania jego wcale nie były gorszemi od wielu kazań miewanych nawet po kościołach krakowskich i możeby nie były nawet i na mnie takiego sprawiły wrażenia, gdyby nie ta pewność, że to mówi organista a nie ksiądz.

Drugim mówcą, który zwrócił szczególną uwagę moją, był prosty góral w guni, lat około 40 mający, poważnéj nieco surowéj twarzy, orlego nosa, z wzrokiem imponującym, więcéj jednak spokojnym niż przenikliwym. Człowiek ten wprawił mię w podziwienie. Głos jego lubo ochrypły, zapewne z mówienia przez dzień cały na otwartem powietrzu, miał w sobie jednak tyle wdzięku, iż chropowatość ta bynajmniéj nieraziła. Ale nie sam ton głosu świadczył że to rodzimy mówca, prawdziwy autodydakt. Kazanie jego w słowach prostych, bez wszelkich ozdób krasomówczych, było porywającéj siły, prawdziwem natchnieniem nacechowane. A do tego mimika pełna życia a tak prawdziwa, iż znać było, że ta sama myśl która w wyrazy przyodziana z ust mu płynęła, przechodziła również w jego oczy, ręce i całą postawę. Nic podobnego nie zdarzyło mi się widzieć i słyszeć. Góral ów trzymał książkę w ręku, z któréj odczytał był ewangielię zwolna i poważnie, a następnie powtórzywszy z niéj ustęp najwłaściwszy, pochwycił tak naturalnie od razu główną myśl, na któréj kazanie jego miało być osnute, że to proste, nie przygotowane żadnemi formułkami kaznodziejskiemi wejście na właściwy przedmiot, dało poznać natychmiast, że w głowie jego była już gotowa całość streszczona, którą tylko konsekwentnie i logicznie rozprowadzić należało. I z zadania tego wywiązał się należycie, a lubo wpadał daléj w zapał i wykład jego ożywiał się nieoślednio, nie stracił jednak mowca wątku i nie zszedł na ustronia, z którychby potem na główną drogę wracać musiał. A nie jeden raz go tak słyszałem, lubo póżniéj niektóre tylko części kazań jego mię doszły. Zawsze jednak to co mówił

dozwalało poznać w nim niepospolitego mówcę. Straciłem go potem z oczu, i nie mogłem się nic o nim dowiedzieć; jestem jednak pewny, że go i w przyszłym roku spotkać będzie można na Kalwaryi, bo przewodnicy jeśli raz gromadzie swojéj przypadną, są już przewodnikami na każdy odpust. Nie pierwszy też zapewne raz przemawiał on tym głosem. Doświadczenie i wprawa przychodziły tam niezawodnie w pomoc wrodzonym zdolnościom; były to jednak niepospolite zdolności — szkoda, że mu nie było dane użyć ich na ważniejszem stanowisku.

Sto tysięcy ludu liczono bez mała tego roku na odpuście Wniebowzięcia na Kalwaryi. Statystyczny ten obrachunek opiera się na ilości komunikantów rozdzielonych między przybyłych po ten duchowny pokarm. Sto tysięcy ludu rozłożonego na jednomitowéj przestrzeni, gotujących sobie jadło lub śpiewających nabożne pieśni; sto tysięcy ludu ciągnącego procesyą lub przesuwającego się gromadnie po dróżkach. Co to za widok wspaniały! Tłumy spuszczające się z gór wydawały się z dala jak łąka pstremi okryta kwiatami, a kołysana wiatrem. Takie armie chrześciańskie szły niegdyś na zdobycie Ziemi Świętéj, a wiara która je wtedy zagrzewała żyje jeszcze pośród tego ludu i możeby również natchnęła go myślą podobnie wielką, gdyby Bóg chciał go użyć za narzędzie woli swojéj...

W tym tłumie kierowanym tylko wewnętrznem uczuciem bogobojności, nie hamowanym żadną władzą prócz przewodników przez siebie wybranych, dziwnie spokojny ład panował. Na uboczach między drzewami leżały stosy sukman i różnéj odzieży, przy któréj czasem nikogo niebyło, a czasem siedziało na stróży dziecko lub baba — a nie zasłyszano o kradzieży. W tym natłoku gdzie gdy co upadło, już się schylić po zgubę nie było można, niesłyszano o rzezimieszkach. Szałasy z napojami i karczmy były wprawdzie ludne; lecz niebyło słychać innych hałasów prócz pieśni nabożnych, a pijanego nie ujrzałem ni razu. A przecież nie obyło się i bez wesołych igraszek: tu chłopaki ciągnęły do Cedronu dziewkę która pierwszy raz była na Kalwaryi, i musiała brodzić przez płytki strumień, a na nią z obu stron podcinano wodę i wyszła jak z kąpieli; tam znowu

dziewki pochwyciły chłopa młodego, a ten jednym susem rzekę przeskoczył, lecz z drugiéj strony przytrzymany, musiał się okupić w kramie jaką błyskotką lub wstążeczką do włosów.

Kto chce widzieć lud nasz z jego strony najpiękniejszéj, niech idzie na odpust do Kalwaryi — a niech idzie na odpust do Kalwaryi i ten, kto chce w sobie orzeźwić wiarę ostygłą, i jeśli zapomniał, nauczyć się znowu modlić jako w dniach młodości i niewinności ducha...

Paryż w sierpniu.

Od dwóch dni żyjemy tu w niepodobnym do opisania zamęcie. Potrój zwykłą ludność Paryża — postaw dziesięciu gdzie stał jeden, posadź stu gdzie jadło dwóch, tysiąc gdzie stu hałasowało, milion gdzie huczało sto tysięcy — a znając Paryż codzienny, ledwie słabe poweźmiesz wyobrażenie o wrzawie jaka tu panowała przez dwa środkowe tygodnie miesiąca, a mianowicie przez jego dwa dni środkowe.

Tryumfalny wchód armii włoskiéj zestawiony z narodowem świętem, nadał uroczystości 15go sierpnia blask epiczny, nie widziany od czterdziestu lat w Paryżu, zatem wcale młodemu pokoleniu nie znany. Zwabione jego łuną tysiące ludzi z prowincyi i z za granicy, przybywało dzień i noc wszystkiemi drogami żelaznemi co ze wszech stron Francyi biegną do stolicy. Każdy kogo tylko łańcuch obowiązku do miejsca nie przykuwa, pakował tłómoczek i przybywał do Paryża, instynktem czując, że tam jakieś wielkie czekają go wrażenia.

Jakoż, instynkt nigdy mass nie zawodzący, i tą razą dotrzymał obietnicy: nikt nie żałował fatygi i wydanego na podróż grosza — bo zaprawdę, takich uroczystości jak powrót wojska francuzkiego do swéj rozdającéj wawrzyny stolicy, nie wiele można widzieć w życiu.

Dekoracya przepyszna, tak wspaniała jak rojenia poety, ujęła w swe ramy ten dramat epiczny. Ośmdziesiąt tysięcy żołnierzy poczerniałych w boju, 150 dział, kil-

kadziesiąt postrzelanych sztandarów — gromady rannych i łupów, przez sześć godzin defilowało wśród ulic zmienionych w czarowne ogrody — wśród łuków tryumfalnych i chlubnych pomników — wśród lasu chorągwi i lawiny laurowych wieńców, które na nich sypały nietylko złote *Zwycięztwa* z kolumn marmurowych, ale tysiące żywych ślicznych kobiet, których oklaski, bryllantowe wejrzenia i perłowe uśmiechy, są najmilszą nagrodą żołnierza.

Nie podobna opisać wszystkich ozdób i niespodzianek które Paryż na przyjęcie swego wojska przygotował. Na półmilowéj drodze wiodącéj od placu Bastylii do placu Vendôme, co kilkanaście kroków spotykałeś jakiś mniéj więcéj piękny pomnik wzniesiony rękami wdzięcznych obywateli; nie mogąc wymienić wszystkich, wspomnę tylko o najświetniejszych, bo trudno wyobrazić sobie scenę bez dekoracyi.

Na początku téj *via-sacra*, niedaleko kolumny lipcowéj stał ogromny łuk tryumfalny wyobrażający fasadę katedry medyolańskiéj. W ogromnym trójkącie naśladującym biały marmur, otwierały się trzy arkady: jedna ogromna we środku i dwie mniejsze po bokach. Na szczycie łuku stał gieniusz trzymający w jednéj ręce róg obfitości, a w drugiéj gałąź oliwną.

Na przeciwnym końcu bulwarów, w osi ulicy la Paix, rzucono na środek szosy rodzaj skały, o którą łamał się tryumfalny pochód zwycięzkiego wojska naprzód — i raptem zwracał je na lewo, do koszar. Na skale téj napisano *Villafranca;* na jéj szczycie posadzono w kurulnem krześle statuę *Pokoju* z traktatem w ręku, leżącym u nóg lwem, i dwoma orłami ze zwiniętemi skrzydły. Po bokach zapisano nazwiska bitew i pułków które się w nich odznaczyły. Monument ten ogromny, dosięgał czwartych pięter; postawiony na poprzek bulwaru, zwracał na się uwagę jak zwykle przeszkoda na środku drogi leżąca.

Dwa wchody do placu Vendôme były ustrojone przepysznie. Po każdéj stronie wystawiono po ośm kolumn pół złotych, a pół z czerwonego wykutych marmuru i zakończonych korynckim kapitelem, na którym stały złote *Zwycięztwa* wyciągając ku drodze pełne wieńców ręce.

Dekoracya ta wymyślona w IIgim roku Rzeczypospolitéj przez architekta Diebolt, pożyczona jak wszystko co wielkie od rewolucyi 93 roku, odznaczała się pomiędzy wszystkiemi wspaniałością i starożytnym smakiem który z dala po za sobą zostawiał nowe wymysły.

Kolumny o których mowa, stanowiły wchód do placu Vendôme który został zmieniony w cyrk rzymski.

Wyznaję w pokorze, że w życiu mojem nie widziałem ogromniejszéj struktury, jak to wierne odbudowanie w naturalnéj wielkości, areny Cezarów. Okrągły plac otaczający śpiżową na wzór trajańskiéj ulaną kolumnę Napoleona Wielkiego, a mogący pomieścić przeszło 20,000 ludzi, dziwnie nadawał się do tego. Opasano go dwudziestu szeregami podnoszących się w górę ławek, z których ostatnia pod oknami pierwszych pięter się ciągnęła.

Cały ten olbrzymi amfiteatr zbudowany tak jakby miał pozostać na zawsze, poprzecinany mnóstwem schodów, galeryj, wnijść i wyjść, jak najlepiéj urządzony teatr — osłoniono od góry do dołu szkarłatnym aksamitem oszytym złotemi frendzlami, kutasami, sznurami, które aż na żółty piasek drogi się staczały, zdumiewając sutemi fałdy i przepychem.

Złoto, jakto mówią, kapało zewsząd. Wszystkie boki estrad i ściany zasłoniono lyońskim złoto-głowem tak twardym od złota, że mógł stać o swojéj mocy. Cały ten nieopisany przepych, gasiła swem bogactwem trybuna Cesarzowéj, zbudowana przed ministeryum sprawiedliwości.

Ogromne *Velarium* szkarłatne, rozpięte jak namiot i złotemi berłami podparte, okrywało jakby salon wysuwający się nad drogę, i zastawiony pysznemi meblami. Tam podczas defilady siedziała Cesarzowa z synem. Pod tym wiszącym namiotem stanął Cesarz na koniu, przyprowadziwszy wojsko.

Na skraju dachów okrążających plac, posadzono wieniec złotych orłów które w dzióbach trzymały girlandę z dębowych liści, festonami opadającą do koła. Herby Napoleońskie wyszyte na trójkolorowych złocisto-tęczowych chorągwiach wyciętych w formie tych jakie u nas na procesye noszą, na złotych drągach powiewały, szumiąc jak las nad miałkim piaskiem wysypaną drogą

którą miało iść wojsko. Ciemna krata posągu Cesarza uginała się pod wieńcami z nieśmiertelników, a niebotyczna kolumna ze śpiżu, sposępniona czerwoną łuną purpury i błyskawicami złota, jakby uciekając od tych poziomych blasków, uciekła czołem w niebo i roztapiała się w błękitach.

Oto główny zarys przygotowanéj dla zwycięzców drogi — oto sylwetka placu będącego sercem uroczystości.

O dziewiątéj rano tłum zbity zaległ całą tę przestrzeń. Gwardya narodowa i załoga paryzka wyciągnęły się szpalerem po obu stronach bulwarów; na placu w wyż opisanym amfiteatrze zasiadł senat, ciało prawodawcze, rada stanu, municypalność, reprezentanci wszystkich stanów i zaproszeni goście; w trybunie zajęła swe miejsce Cesarzowa, za nią rodzina cesarska, w gronie któréj uderzała nieobecność królewny włoskiéj i męża jéj księcia Napoleona.

O w pół do jedynastéj czoło wojska ukazało się na placu Vendôme. Błyszczący jak słońce oddział stugwardzistów oznajmił wojenną trąbką przybycie Cesarza, który wkrótce ukazał się na arabskim koniu. Nie daleko za nim szedł rozczulający zastęp rannych z pułków gwardyjskich, którzy, uginając się pod ciężarem narzucanego kwiecia, szli wolno, widocznie znużeni i cierpiący. Na widok rannych, jak na widok krwi czerwonéj, szał jak iskra elektryczna przebiegł widzów, kobiety głośno zaszlochały... mężczyźni ze ściśniętéj piersi nie mogli wydobyć pozdrowienia... Cesarz kłaniał się nisko, głową i kapeluszem... Taż scena powtarzała się, ilekroć przechodzili ranni — a szli na czele każdego pułku.

Porządek w jakim maszerowało wojsko, opisały już kilkakrotnie gazety, dla tego pomijam go, ograniczając się na podniesieniu kilku uderzających faktów.

Na czele każdego korpusu jechał marszałek. Najprzód Saint-Jean d'Angely, sędziwy dowódzca gwardyi; za nim Baraguey d'Hilliers, bez ręki a miłéj postawy marszałek; za nim Mac-Mahon, książę Magenty, z jowiszowym marsem na czole, groźnem wejrzeniem i surowych rzymskich rysów twarzy; daléj ostrożny i układny Canrobert — nakoniec Niel.

Doszedłszy do placu Vendôme, muzyka każdego pułku stawała pod kolumną Napoleona i grała, podczas

kiedy wojsko oddawało Cesarzowi swój sztandar. Widok tych chorągwi podartych w szmaty, przejmował czcią głęboką i dreszczem podobnym do tego, jaki przenikać musi wiernych na widok podniesionéj w górę drogiéj relikwii.

Wojsko odarte, wybladłe, wychudłe i ogorzałe, takie jak wyszło z boju, imponującem było w swym bojowym nieładzie. Jakaż różnica tych poczerniałych bohatyrów od wymuskanych lalek z których parada złożona — jakże różny ten pochód wracających z wojny rycerzy, od banalnego przeglądu wojska zalecającego się tylko zdrową cerą i błyszczącemi guzikami.

Skromną *linię* i ukochanych zuawów witano najgoręcéj, chociaż wszystkim niemało się dostało oklasków i bukietów — tak że w końcu idące kolumny jak maszerujący ogród wyglądały. Trudno wyobrazić sobie luźności z jaką to karne w boju wojsko szło po wawrzyny. Nikt nie stąpał sztywny, nadęty, ani skrępowany wojskową etykietą — każdy żołnierz maszerował sobie od niechcenia, często z cygarem w ustach, śmiejąc się gawędząc na lewo i prawo — ściskając za ręce stojących przy drodze znajomych. Nikt tu nie zdawał się iść z rozkazu, ale jakby w odwiedziny, jak obywatel żołnierz z powitaniem do obywatela cywilnego.

Jak mało było w tym pochodzie ceremonii, najlepiéj dowodzi sto razy wspomniany po dziennikach ranny piesek zuawów, który sobie też paradował środkiem obandażowany, z trójkolorową chorągiewką na głowie, i równie uprzejmie był witany jak biała koza 11go batalionu strzelców, która także z wielką radością widzów dzieliła tryumf żołnierzy.

Takie epizody i taką swobodę tylko w wojsku francuzkiem widzieć można, w tem wojsku co wojskiem jest tylko w czasie wojny — a jak złoży karabin, w obywatelstwie się roztapia i stanowi najlepszą część jego. Ażeby taką rolę wojsko odgrywało w narodzie, musi być tak wolnemi i mądremi rządzone ustawami jak są tutejsze.

Żołnierz francuzki po ośmiu latach służby wychodzi w 26m roku życia z wojska, zdolny do rozpoczęcia wszelkiego zawodu; honorowy i służbisty, wszędzie najchętniéj bywa przyjęty. Armie urzędników drogi żela-

znéj z wojska się rekrutują, bo liczyć na wojskowego, co już był obrońcą ojczyzny, można najpewniéj: obowiązek jest mu prawem — twardo go pełni, choć wyniosłszy z wojska szlachetną dumę, harde czoło stawia niesłuszności i serwilizmem się brzydzi.

Inżynierya dostarcza znów wybornych i specyalnych ludzi do dróg, mostów i min. Żołnierz francuzki z ochotą zmienia mundur na bluzę i rączo bierze się do pracy która jest warunkiem życia każdego Francuza; nigdzie ex-wojskowy tak prędko i łatwo nie przystaje do życia i stosunków cywilnych, bo w wojsku uczuć familijnych nie przytępi, od pracy nie odwyknie, ducha wyłączności nie nabędzie, lgnie zawsze do tych z których łona wyszedł; bo wojskowa władza nietylko dozwala stosunków z nimi, ale je nakazuje i ułatwia, wiedząc że prawdziwy obrońca kraju powinien się miłości ojczyzny uczyć na miłości rodziny.

Od pracy żołnierz francuzki nie odwyknie znów dla tego, że w koszarach uczą go czytać, pisać i rachować. Po za tem zatrudnieniem i mustrą chodzi także do *Salle d'Armes*, gdzie z musu lub ochoty ćwiczy się w robieniu wszelką bronią. Przy braku rąk, rząd pozwala mu także za drobną zapłatą pomagać w polu rolnikom. Koniec końców, żołnierz francuzki jeżeli staje się czasem libertynem, to nigdy próżniakiem ani pasożytem.

Kiedy więc żołnierz francuzki przy ucywilizowanéj formie, przy łagodności obyczajów i miękkości ciała, z wiedzą i świadomością rzeczy, nie mrugnąwszy patrzy śmierci w oczy i umie być wielkim wojakiem — widocznem jest, że owa cywilizacya zachodnia nie rozkłada ludzi, jak twierdzą nasze Katony — że temu co ma rozwiniętego ducha, siła moralna zastąpi siłę Herkulesa, i że ów zniewieściały Paryżanin, choć niby taki pieszczuch i niewart, w potrzebie jak Dawid obali Goliata.

Jeżeli naród francuzki w dziedzinie sztuki i przemysłu celuje, jeśli ma administracyę najsprężystszą na świecie, nieskazitelne sądownictwo — instytucye rozwinięte wzorowo we wszystkich kierunkach — a do tego armię bohatyrów — na czemże się opierają głosy ubolewające nad zgnilizną cywilizacyi Zachodu? Chyba na zupełnie mylnéj relacyi — albo mimowolnéj ślepocie...

To by jeszcze wybaczyć można. Ale nieraz te ubolewania zdradzają złą wolę, któréj nader smutna przyczyna leży w sercu na dnie. Czemuż ci którym się zdaje że Francya już zgniła, nie trwożą się ani nie smucą? Oto, bo przygasłe w nich czucie pozwoliło wziąść górę doktrynom prowadzącym w różnych kierunkach tak daleko, iż rzeczy najwyższe i najdroższe znikły z oczu...

W cóż się obrócił ten tradycyjny i logiczny, tajemniczy i rozumny węzeł łączący jeszcze tak niedawno kolebkę tych krytyków z krytykowanymi — węzeł gorącą krwią nieraz przypieczętowany, a tak jasno przez mędrców i wieszczów naszych wyłożony?

Za prawdę, gdyby istotnie należało zwątpić o Francyi, należałoby też zapłakać... należałoby...

Ale gdzie to myśl moją zapędził ten tryumfalny pochód armii francuzkiéj, ten widok który ci opisywać zamierzałem tylko fizycznie, jak teatralną dekoracyę. Daruj, że z punktu na którym jestem, do złotych frandzli i purpurowych festonów już nie wrócę — a nie mogąc zmienić tonu, pożegnam cię mądrem zdaniem Royer-Collarda, które powinno być przykazaniem zarówno dla ministrów jak dla korespondentów: „*On est tenu de savoir ce que l'on fait quand on agit, et ce que l'on écrit quand on imprime.*“

Londyn w sierpniu.

Nigdy nie mówiono ani pisano tyle o obronnem obwarowaniu Anglii, ile w ciągu bieżącego miesiąca. Stan zwichnięty i niepewny Europy i obawa następstw z niego wyniknąć mogących, dają do tych rozpraw słuszny powód. Obrona kraju i ognisk domowych jakoteż wynajdywanie środków ku ich zabezpieczeniu, stanowią tu główne i najwydatniejsze w téj chwili zajęcie myśli; one mi też nasuwają mimowolnie pod pióro przedmiot do tegomiesięcznéj *Kroniki*.

Niepodpada wątpliwości, że brzegi Anglii na przypadek wojny z zewnętrznym nieprzyjacielem, są stosun-

kowo bezbronne. Już roku 1847 książe Wellington ostrzegał w izbie lordów o niedostateczności obwarowania kraju. Czterdziestoletni czas pokoju, partya miłośników jego, jakby on na zawsze trwać miał i szkoła ekonomistów Huma, wszyscy razem połączeni obcinali budżet wojskowy jako zbyteczny i marnotrawny, odwracając oczy od uzbrojeń. Nieuszło to uwagi państw ościennych, zazdrosnych potęgi Anglii, a ambitnych. Jeden z synów zeszłego króla Ludwika Filipa, książe Joinville, dziś wygnaniec w Anglii, pomimo istniejącego wówczas *serdecznego* porozumienia, jak je tytułowano, między Francyą a Anglią, napisał był szczegółowy plan, w którym wskazywał możność zdobycia Londynu. Dziś zaś, jak wiadomo, Francya posunęła budowę swych okrętów do tego stopnia, że jéj flota ledwie niedorównywa liczbą flocie wojennéj angielskiéj. A jaka jéj potrzeba? i przeciw komu uzbraja Francya brzegi północne, jeśli nie przeciw Anglii, téj dotychczas władczyni morza? Co więcéj, jeden z inżynierów, rodem Szwajcar, miał jak teraz słychać, podać cesarzowi Napoleonowi plan wysadzenia na brzegi Anglii jednocześnie trzech korpusów wojska na różnych punktach, a każdy korpus wyrównywający liczbą całkowitéj armii angielskiéj. Projekta tego rodzaju pomimo istniejącego przymierza między obu rządami — mówię umyślnie rządami a nie ludami — muszą być podejrzane, i muszą nakazywać ostrożność. Nie dziwna przeto, jeśli między Anglikami słyszy się częste zapytania: A czy będzie wojna? Odpowiedź na to dają oni sobie jednozgodnie: Jak się nie uzbroim, może być wojna; uzbrójmy się, a będzie pokój.

W przypadku kroków nieprzyjacielskich, celem wspomnionych korpusów byłaby niewątpliwie wyprawa na Londyn. Wylądowałyby one podobno na brzegi równocześnie na najmniéj strzeżonych trzech punktach i zaalarmowawszy ludność na prowincyi, torowałyby sobie drogę prosto ku stolicy, którąby zastały również źle albo niedostatecznie strzeżoną. Każden sobie łatwo wyobrazi, jakie byłoby zamieszanie i popłoch w mieście tak otwartem jak Londyn, z ulicami szerokiemi i bez najmniejszéj obrony, gdyby nań znienacka atak był przypuszczony. Zawczasu przeto, jak wielu mniema,

trzechmilionowa ludność stolicy powinnaby przedsięwziąść środki skutecznéj obrony, zamiast uwodzenia się nierozsądnie frzesami. „Niechno nieprzyjaciel odważy się stąpić za ziemię angielską, a żadna jego noga nie ujdzie.“ Często można słyszeć Anglików mówiących w ten sposób, i przechwalających się niedostępnością swych brzegów, ale epoka to dawna, minęły czasy, kiedy obok znanego męstwa ludności angielskiéj, wolno było tak powtarzać. Dziś postać wojny zmieniła się przez parowce, nowe wynalazki i przyrządy wojenne. Wojsko wyćwiczone i karne, o sile 200,000 lub 300,000, a prowadzone przez zdatnych dowódzców, nieda się pokonać poetycznemi frazesami, choćby te były najpiękniejsze. Gromy dział silniejszemi są nad patryotyczne przechwałki.

Aby przeto ochronić kraj, a osobliwie stolicę od zagrażającéj jéj zguby, jeden z wyższych i doświadczonych wojskowych podaje taki projekt: *Naprzód*: żeby wznieść na około Londynu sześć wielkich z ziemi usypanych warowni, mogących w sobie pomieścić od 5000 do 10,000 załogi, oznaczając dla nich różne punkta, mianowicie: jeden na Shooter's-hill (wzgórze) pod Woolwich; drugi na błoniach Penge pod Anerley; trzeci na błoniach (Commmon) Wimbledon; czwarty na błoniach Ealing; piąty na wzgórzu Hampstead; a szósty w Epping Florest pod Wanstead. Wszystkie te z ziemi usypane warownie mają być połączone z sobą elektrycznym drutem, tak ażeby w razie potrzeby, całe siły załóg można było skupić na punkt zagrożony przez nieprzyjaciela, i w okręgu warowni uczynić mu pozycyą niepodobną do zajęcia.

Powtóre: Żeby przemienić wszystką milicyę angielską w artyleryę, wprawić ją do oblężeń i służby polowéj, jakoteż do działań w batalionach ruchomych. Za broń dać im gwintówki, i po dwie armat na każdą setnię. Milicya amerykańska po większéj części tak jest uformowana.

Potrzecie: Żeby zakłady artyleryi morskiéj z potrzebnemi do tego przyrządami urządzić w Liverpoolu, na brzegach rzeki Clyde i w Newcastle, aby w razie potrzeby można uzbroić jak najrychléj całą flotę kupiecką stojących tam parowców.

Poczwarte: Żeby liczbę marynarzy (marines) czyli żołnierzy służbę na okrętach odbywających, pomnożyć do 20,000, a szczególnie artylerzystów, uzbroić ich w karabiny z bagnetami mieczowemi. Tu mimochodem dodaję, że owe mieczowe bagnety, których Francuzi w wojnie włoskiéj używali jako nową broń, nie są ich wynalazkiem, lecz przejęte od wojska angielskiego. W niektórych pułkach szkockich oddawna były one w używaniu.

Popiąte: Żeby wszystką ziemiańską jazdę (Yeomanry Cavalry) przemienić w konnych strzelców, z zielonemi mundurami, z strzelbą enfieldzką, lankasterską, lub z rewolwerami Colta. W myśl tego zawiązują się już po kraju ochotnicze oddziały strzelców *rifle corps*, formować się na także konnica, a po nadbrzeżnych miejscach artylerya.

Dopókąd Anglia — uważa tenże wojskowy — nie zaprowadzi bezpieczeństwa w domu, i nie pokaże zagranicznym państwom, że próżne będą ich zamachy na nią, niepodobna aby wpływ jaki jéj z prawa służy, był należycie poważany w radzie państw Europy. Gdyby nie zbytnia usłużność ministrow angielskich dla gabinetu ościennego kraju, nie dająca się niczem usprawiedliwić chyba jego słabością, nie byłoby przyszło ani do owych odezw srożących się pułkowników francuzkich, ani do widowisk w Cherbourgu, ani do bilu spiskowego, ani Portugalia byłaby opuszczoną. W téj właśnie chwili Anglia ma płacić Danii przeszło milion funtów sterlingów, jako wynagrodzenie za zniesienie opłat cła na Sundzie; jeśli na tyle ją staje, czemuż niemiałaby wyłożyć półtora miliona na zabezpieczenie własnéj swéj stolicy od napaści obcéj? Czemu małym wydatkiem nie wstrzymać kraju od przepaści, nad którą w mniemaniu Europy stoi, aby jak dawniéj tak i teraz był niezwyciężonym? Koszta całe na obwarowanie Londynu sześciu warowniami, obliczył ten nowoczesny Vauban, albo raczéj Todtleben, na półtora miliona, to jest po 250,000 f. st. na każdą warownię.

Tyle co do obwarowania Londynu. Co do samych brzegów całego kraju, rząd wyznaczył komisyę do obejrzenia ich, aby w różnych punktach powznosić na nich warownie. Co zaś do morza które Anglię przegradza

od reszty świata, w dodatku do ogromnéj floty, która strzegła dotąd jéj brzegów, buduje się w dokach rządowych 50 nowych wielkich okrętów, i w ciągu roku spuszczonych będzie na morze. Anglia jednak nie przestaje na tych „drewnianych wałach“ jakie niegdyś Helladę posłuszną wyroczni delfickiéj od zguby uratowały, i jakiemi dotąd się broniła, ale udaje się do twardszego jeszcze materyału, do żelaza. Właśnie budują teraz na Tamizie olbrzymi z żelaza okręt, zowią go *Steam Ram* (taran parowy). Doświadczenie nauczyło, że okręty z drzewa, jako i okręty skute choćby najsilniéj żelazem, nie mogą długo wytrzymać strzałów z 68 funtowych dział, i podlegają zniszczeniu. Miano tego przykład w wojnie krymskiéj pod Kinburn, gdzie tak francuzkie jak angielskie statki w ten sposób zbudowane, nie zdołały wytrzymać nawet 32 funtowych strzałów; postanowiono zatem budować je z samego tylko żelaza. Budowa rzeczonego taranu morskiego ma służyć za pierwszy wzór do nich. Niemiano dotychczas sposobności doświadczyć skutków pary w taktyce wojennéj. Zmiany, przez które budowa parowców przechodziła, były różne, mianowicie: od kół do śrub, od parowców 90 beczkowych aż do „Great Eastern“ o 22,000 beczek. Ten ostatni, „Lewiatan“ jak go z początku nazywano — zadziwia swym ogromem, i wkrótce pierwszą swą podróż odbędzie z podróżnikami do Nowego Jorku, gdzie zapewne przez Amerykanów również podziwiany będzie. Lecz „taran parowy“ teraz budujący się, zakasuje wszystko co dotąd widziano lub o czem w dziejach żeglarstwa czytano. Stanowić on będzie, jeśli się uda, nową epokę w marynarce wojennéj.

Ten „taran“ ma strukturą swą wytrzymać ogień i wszelkie choćby najcięższe strzały działowe; przeznaczeniem jego nie tylko zatapiać pojedynczo liniowe okręty wojenne, lecz mocen będzie w jednéj godzinie rozbić flotę złożoną z 120 zbrojnych statków, słowem, zniszczyć w przeciągu jednéj godziny marynarkę, na któréj wystawienie trzeba było lat kilkudziesiąt. Przymiotem jego ma być nietykalność siły i pośpiech. Czy ziści te wszystkie o sobie oczekiwania, niewiemy; ale ten straszny nowy potwór morski, podług kontraktu rządu z kompanią budowali okrętów (Ship building

Company), ma być za dziesięć miesięcy, to jest w czerwcu ukończony. Długości będzie miał 380 stóp w szerz 59 stóp, głębokości 42 stóp, a 6,200 beczek mieścić będzie (tonnage). Na wprowadzenie w ruch i pęd téj ciężkiéj masy przygotowują machinę parową o sile 1250 koni, w fabryce p. Penn w Greenwich. Ogółem biorąc, jego kotły, węgle, uzbrojenie, zapasy i inne przybory, liczyć go można na 9500 beczek. W ruch wprowadzony, pędzić będzie po morzu z szybkością, według potrzeby od 16 do 17 mil na godzinę, rozbijając i zatapiając wszystko co mu się nawinie.

Niewdając się w szczegółowy opis różnych części „taranu“, zwłaszcza że dla nieznających marynarskich wyrazów byłby on w większéj części niezrozumiały, dodaję tu tylko, że na pokładzie jego ma się znajdować 36 dział nowego wynalazku Armstronga, każde działo sto funtów wagomiaru, a sięgające kulami na 5 ½ do 6 mil angielskich. Koszta tej cyklopowej budowli na straż brzegów angielskich przeznaczonej, mają wynosić od 300,000 do 400,000 ft. str.

Lecz niedosyć na tem. Ponieważ taran ten nie może być odrazu obecnym wszędzie na różnych punktach kraju tak rozległego jak Anglia ze Szkocyą i Irlandyą, i zdarzyć się może, że kiedy stać będzie przy ujściu Tamizy, potrzebować go będą w Portsmouth, Devonport, w Edinburgu lub Corku, projekt zatem podaje się, i wojskowe czasopismo *United Service Magazine* go rozbiera, aby więcej taranów mniejszych pobudowano, osobliwie, że koszta ich nie są wielkie, ażeby na celniejszych punktach krążyły na straży brzegów lub stały w portach dla ich bezpieczeństwa. Byłyby to ruchome pływające bateryе, niszczące wszystko, a same niepodpadające zburzeniu. Przed niemi, dla ich szybkości żaden obcy statek by nie uciekł, któregoby ogniem swym nie doścígły. Byłyby one najskuteczniejszą strażą i obroną Anglii, zastąpiłyby zupełnie bateryе lądowe, a poniekąd i same eskadry parowców i śrubowców, które w ten sposób zluzowane, znalazłyby w odleglejszych stronach dla siebie stanowiska i zatrudnienie.

Na takie środki obrony w Anglii się teraz zabiera. Czyni się to jedynie przez ostrożność w celu zabezpieczenia jéj brzegów, a bynajmniéj w zamiarze zaborów,

jakie jéj urzędowe dzienniki ościennnego cesarstwa przypisują, własne usprawiedliwiając w Cherburgu, w Brest i na całych brzegach północnych uzbrojenia. Im więcéj urzędowi publicyści francuzcy protestują przeciw uzbrojeniom angielskim, tem bardziéj Anglia czuje ich potrzebę; jak to królowa Wiktorya sama przy odroczeniu tegorocznego parlamentu dnia 13 b. m. w swéj mowie wyraziła: „Kompletny i trwały system obwarowania całego kraju winien ustawicznie być dla was przedmiotem jak największéj wagi (paramount importance).“ Czuje tego potrzebę Belgia i uzbraja Antwerpię, ów szaniec przedmostowy Anglii, jak ją Granier de Cassagnac nazywa, a gdzie wojska jéj wylądowawszy — jak on sobie wystawia — rozniosłyby zburzenie po całym kontynencie. Czują konieczność uzbrojeń nawet Prusy, niemogąc dłużéj wyglądać od Anglii protekcyi dla brzegów morza północnego i baltyckiego; zamierzają przeto niezwłocznie podać projekt do związku niemieckiego o ich obwarowanie, a w razie odmówienia same własnym kosztem postanowiły je obwarować W obec uzbrojeń francuzkich tak lądowych jak morskich, środki takowéj ostrożności dla wszystkich państw są nieodbicie potrzebne; narażałyby się one na samobójstwo nie przedsiębiorąc ich, zwłaszcza, że cień Napoleona I zdaje się być przewódzcą Napoleona III. W imionach tylko zaszła zmiana, ale te same karty historyi co się za naszéj młodości przed nami rozwijały, zdają się nam na nowo ku naszemu zbudowaniu rozwijać.

Rzym w sierpniu.

Gdybyśmy sobie rościli Pitagoresową pretensyę do pamięci o poprzednich naszych żywotach, to bez wątpienia przypomniałaby się nam obecnie nie wojna Trojańska i obcowanie z bohaterami Iliady jak nieśmiertelnemu czcicielowi bobu, ale ów sławny pochód Aleksandra Wielkiego w głąb Azyi, kiedy doszedłszy do brzegów Gangesu syn Jowisza Amona z całem wojskiem

swém widział, wedle podania starożytnych pisarzy, płomienie spadające z nieba i tlejące na piaskach pod stopami macedońskich zastępów. W chwili bowiem kiedy do was piszemy, równie pożercze płomienie spadają z prześwietnych włoskich lazurów na przepaloną do rdzeni Romę, a jeśli wasz kronikarz rzymski nie ujrzał dotąd ogniów wytryskujących z kałamarza i imających się papieru na którym kreśli te słowa, jeśli sam dotychczas nie poczuł na sobie zamiast tużurka, palącéj szaty Dejaniry i niemiał losu nieszczęsnéj w popiół obróconéj Semeli, to rzec może śmiało, że cud taki sprawił chyba Jupiter Optimus Maximus, któremu niech ta stronnica *Dodatku* służy za tablicę wotywną..... Pieczemy się bowiem tutaj w takiéj temperaturze, w jakiéj nasze polskie gospodynie baby wielkanocne piec zwykły podczas onych nocy pamiętnych, kiedy cały dom na nogach.....

Zwrotnikowe słońce goni jak Farys po pustyni niebieskiéj, kędy nic nie widzi przed sobą krom nieskończoności lazuru, kędy nie spotkać mu ani zawianéj karawany, ani palmy zielonowłoséj, ani samotnie się przechadzającego huraganu, ani oazy lub namiotu chmurki najmniejszéj..... Bezchmurne owszem niebo włoskie usprawiedliwia istotnie w téj chwili sławę czystości, jaką mu uczynili poeci; jest ono podobne do spokojnéj szyby jeziora, na któréj słońce pali się jak ogień gregoryański na wodzie imając się wszystkiego..... Zaledwie w cieniu portyków, pod gankiem pałaców i kościołów znajdujemy troszkę cienia; ale cień ten nie chłodzi ani odświeża...... Rozgorzałe powietrze zda się przezroczystą rozlaną wszędzie lawą, a wietrzyk co owiewa twe skronie ma w sobie niewidomy płomień, którym cię głaszcząc pali.....

Nawet w przestronnem wnętrzu rzymskich pałaców, gdzie ręka budownika nie żałowała marmuru tak wzwyż jako i wszerz, nie snadno się ochłodzisz tego lata; upał cię będzie ścigał jak tchnienie ziejącego ogniem smoka pod złoconemi belki tych olbrzymich sklepień. Jeżeli znużony gorącem oprzesz się o południu na marmurowéj czarze pokojowych wodotrysków, to sam ich szmer perlany w tę straszliwą spiekę o sen cię przyprawi; dziennik lub książka, którą przerzucałeś wysunie ci się

z dłoni, i ulegniesz bezwładnie sennym pokuszeniom południowego szatana, który się w ciepłych krajach przechadza o téj godzinie ze zmorą w dłoni, z ciężkim w piersiach oddechem, z ciszą północną pośród dnia białego, i z rojem snów straszliwych jak widziadła ciemnéj doby lub złudnie czarownych jak zachwyt muzułmanina upojonego haczyczem.

Wszakże jeśli nawet zadrzymiesz zwyciężony spieką, rychło cię wyrwie z twoich marzeń okropnych lub błogich natarczywe dzwonienie u drzwi ..... Nadszedł bowiem sierpień, miesiąc klasyczny u Rzymian, którzy lubo po łacinie zapomnieli, zachowali jednak w swym języku łacińskie wyrażenie: *feriae Augusti.* Nie tylko twój służący, twój perukarz, twoja praczka, twój szewc, twój krawiec, posługacze kawiarni, do któréj zwykłeś chadzać na lody, restauracyi, dokąd uczęszczasz na obiad, zakrystyan twojéj parafii, twój kapelusznik, twój odźwierny, twój piekarz, twój cukiernik, twój *fachino,* i t. d. przychodzą ci *dare il buon feragosto* (to jest winszować ci pogańskich świąt cesarza Augusta obchodzonych w staréj Romie), ale jeżeli masz stosunki w świecie, to znajdziesz prawdziwą procesyą rozmaitych *familii (familia* w nowożytnym jak niegdyś w starożytnym Rzymie znaczy dotąd *czeladź,* domowników, nie zaś rodzinę) przychodzących po *mancie* ..... Dzwonią tedy gwałtownie u drzwi; porywasz się złorzecząc w duchu niewczesnéj wizycie i pomimo upału naciągasz na siebie odzież. Służący się pojawia.

— Kto tam?

È la famiglia dell' ambasciator di Francia.

Ma się rozumieć że lada czem zbyć nie można dworzan posła chrześciańskiego cesarza.

Zaledwieś zamknąkł szufladę, dzwonek się powtórnie odzywa:

— Kto tam?

— *È la famiglia del ministro di Prussia.*

Myślisz sobie *in petto*, że przysłowie *travailler pour le roi de Prusse* nie jest dość energicznem, kiedy nawet nie pracowawszy płacić ci przychodzi. Nowa więc wycieczka do kasy, a razem z nią nowe meldowanie przybywających.

— Któż znowu przyszedł dla Boga!

Ale tą razą goście ściągają się już nie samopas, pojedynczo, ale ryczałtem, gromadno, jak deputacya albo szarańcza.

— *È la famiglia del ministro di Russia.*
— *È la famiglia del ministro del Bresile.*
— *È la famiglia dell' ambasciator di Spagna.*
— *È la famiglia del ministro del Messico.*
— *È la famiglia del ministro della Republica di Nicaragua.*

Po ciele dyplomatycznem otóżci książęta rzymscy reprezentowani w twoim przedpokoju. Zapomniawszy jednak żeś tańczył u téj lub owéj pani rzymskiéj, sądzisz że to obojętna, może nawet miła, ale w każdym razie bezinteresowna wizyta. Gdzież tam!

— *È la famiglia del signor principe Aldobrandini.*
— *È la famiglia del signor principe Santacroce duca di Corchiano.*
— *È la famiglia del signor duca Salviati.*
— *È la famiglia della signora principessa Rospigliosi.*
— *È la famiglia della signora principessa Pallavicini.*
— *È la famiglia della signora contessa Malatesta, Spada-Medici, Carpegna*, etc. etc.

Rozpacz! Nareszcie z ewakuacyą ostatniego domownika ostatniéj pani, którą masz rzeczywiście drogi zaszczyt znać i tańczyć w zimie u niéj, zamykasz tryumfalnie kantorek, rzuciwszy ostatnie żałośne spojrzenia na kształt twojéj sakiewki, która zaokraglony swój zarys zamieniła na całkiem klasyczny, bo prosty... Pocieszasz się jednak myślą, że linia greckich nosów jest zawsze prostą... Ale wkrótce postrzegasz że tryumf twój był

zawczesnym i że linia prosta zdolna jest większego jeszcze uszczuplenia. Zamiast się kończyć, twe frasunki teraz dopiero na dobre się rozpoczynają. — Po ciele dyplomatycznem i książętach rzymskich, aliści zaczynają defilować *familii* dynitarzy duchownych wielkich i małych.

— A któż znowu tą razą dzwonić sobie pozwala? wołasz mocno zdumiony szukając na próżno w twéj pamięci znajomego ministra lub damy, któraby nie zesłała jeszcze swego przedstawiciela na walny kongres dyplomatyczny i niedyplomatyczny zbierający się w twoim przedpokoju. Sługa twój, który ze swojéj strony obiegał już te same osoby w twojem imieniu, i za nadto jest przezorny, aby dać odprawę swoim współbraciom zbywając ich lada czem, odzywa się zimno, etykietalnie, zdradziecko, głosem, którego donosność uprzedza z góry nową wizytę, że pan jego w domu:

— *È la famiglia dell' Eminentissimo N. N. che viene a dar il buon buon feragosto a Vostra Signoria.*

— *È la famiglia di Sua Eccelenza Reverendissima Monsignor X. X.....*

Wprawdzie u Jego Eminencyi kardynała N. N. i u monsignora X. X. byłeś raz tylko; ale *familia* kardynalska i dworzanie prałata niepospolitą udarowani pamięcią kiedy idzie o *feragosto*, nie zapomnieli ci téj wizyty. Niemaszci rady, trzeba się okupić, bo drugi raz cię nie opowiedzą kiedy powrócisz.

Wszelki obowiązek w Rzymie ceniony bywa stosownie do swoich *incerti* czyli niestałego lubo w części zawsze pewnego dochodu, jakiego jest źródłem. W miarę sumy tych incertów zmniejsza się lub powiększa suma pensyi żądanéj przez służącego. Ten przed przyjęciem obowiązku u kardynała lub prałata dowiaduje się nasamprzód *se sua Eminenza* albo *Sua Eccellenza Reverendissima è di motto giro*, co ma się znaczyć, czy jest światowym człowiekiem i czy wiele ma stosunków. U niektórych panów rzymskich nader rozległe mających stosunki, lokaje darmo prawie służą: pan taki wypuszcza przedpokój swój w dzierżawę liberyi tak jak winnicę lub pastwisko włodarzom, a liberya w zamian za

wierną i pilną służbę zyskuje monopol na opodatkowanie gości i ma prawo nakładać cło na ich interesa lub bezinteresowną grzeczność. Ktoby zaś chciał się wymówić od takiego prawa zostałby w rychle osławion, wyśmian i wytknięty palcem przez tę czerń złocistą, przez tę przedpokojową klasę liczniejszą w Rzymie niż w jakiem bądź innem mieście starego lub nowego świata, przez tę rzeczpospolitą lokajską równie rozgałęzioną i potężną jak *servi* i *liberti* staréj Romy, a która jak sieć ogromna obejmuje wszystkie warstwy społeczeństwa i ma wszędzie wpływy i stosunki, albowiem synowie kardynalskich kamerdynerów wychodzą na urzędników, adwokatów, nieraz margrabiów i hrabiów, ale ma się rozumieć hrabiów bez szlachectwa a tem bardziéj bez szlachetności. — Ktokolwiek w dzień wielkanocny po nabożeństwie papiezkiem rzucił okiem na plac św. Piotra i przechodził przez most św. Anioła, mógł dopiero powziąść wyobrażenie o liczbie lokajskiego ciała. Za każdą z tych niezliczonych karet stoi po trzech lub czterech służalców w coraz odmiennéj barwie, tutaj czerwoni, owdzie zieloni, daléj biali, amarantowi, karmazynowi, szafirowi, żółci jak kanarki, ponsowi jak raki, niebiescy jak bławatki..... Dość powiedzieć, iż żaden prawie arystokratyczny powóz nie może się obejść wówczas bez trzech lokajów z tyłu i strzelca na koźle obok stangreta. Każda *familia* ma swego *dziekana*, a u kardynałów są nadto *kaudataryusze* niosący podołek purpurowéj szaty w czasie uroczystości, *gentiluomini* niegdyś szlachta a teraz poprzebierani lokaje w czarnym płaszczyku przy stalowéj szpadzie, i t. d. tak iż piąta przynajmniéj część ludności rzymskiéj składa się z kamerdynerów, lokajów, liberyi i fagasów wszelkiego rodzaju połączonych związkami krwi, przyjaźni, spólnictwa i potrzeby ze wszystkiemi klasami, urzędami i rzemioslami, z ludem, ze średnim stanem i ze szlachtą.....

Sierpień zresztą oprócz dającego się wszystkim we znaki *feragosto* zachował nadto w Rzymie inną starożytności pamiątkę: *naumachie* ograniczające się wprawdzie na samem puszczeniu wody na plac Navona, co się tutaj nazywa *lago*. Improwizowana ta powódź sprawiona przez zatrzymanie odpływu w fontannach, odbywa się co sobota i niedziela na rzeczonym placu. Był

to niegdyś cyrk za czasów Rzymian na naumachie przeznaczony i napuszczający się wodą, a wzdłuż niego ciągnęły się *lupanary* czyli zamtuzy, z których jeden dotychczas się dochował i stanowi obecnie podziemie kościoła św. Agnieszki, albowiem tam święta ta wystawioną była w onem miejscu na zniewagę rzymskiéj młodzieży. Pośrodku placu wznosi się olbrzymia fontanna Berniniego z obeliskiem u szczytu, dowodząca ile marmuru i kamienia marnował ten jenialny psotnik dla robienia miernostek na wielką skalę. Atoli pewne utwory jego, a rzeczona fontanna jest z téj liczby, śmiesząc wymuszonością, zdumiewają ogromem; patrzy się na nie jak na olbrzyma przebranego za poliszynela. Owoż dla przypomnienia *naumachii* wyprawianych w tem miejscu za Cezarów (albowiem nie widzę innego celu w téj szczególniejszéj zabawie) zalewają plac Navona w miesiącu sierpniu. Kałuża, która jest skutkiem téj powodzi, lubo przybiera dumną nazwę jeziora, nie odświeża bynajmniéj powietrza. sprawia tylko błoto na swoich brzegach, a wielkością i głębokością ani się zbliża nawet do kałuży, jakiemi słota lub zerwanie grobli obdarzają gościńce naszych prowincyj. Dla Rzymian jednak, co podróży do tychże prowincyj nie zakosztowali jako żywo, jest ona jeziorem. Sama zaś *naumachia* zamieszczoną została pławieniem kilku koni i psów w téj brudnéj sadzawce. Pomimo to niezliczone tłumy oblegają jezioro pilnie się wpatrując w jego mętne tonie. Nad tem ściekowiskiem i nad tym gapiącym się ludem orkiestra obwyż siedząca wykonywa po mistrzowsku najcudniejsze ustępy z oper. Dla cudzoziemca atoli zabawa ta ma to w sobie ciekawego, iż jest zabytkiem staréj Romy, i że można widzieć na niéj najpiękniejsze typy ludowe tak męzkie jako i kobiece. Między lupanarem a naumachią w cyrku, poznajesz potomków ludu-króla, poznajesz w niektórych niewiastach posągi któreś tegoż ranka oglądał w Watykańskiéj lub Kapitolińskiéj galeryi. Zdaje ci się że Pigmalion albo Prometeusz przeszli tamtędy po tobie, i że to marmury pozamieniały się w ciało zachowawszy tylko posągową postawę.

Niesłychane upały, jakie tutaj panują w tym roku, rozpowszechniły we Włoszech zwyczaj, co się zapewne z czasem i gdzie indziéj przyjmie: zwyczaj wachlarzy

dla płci męzkiéj. Nie słuszna albowiem zdaje się wielu, ażeby płeć piękna utrzymywała sama monopol świeżych powiewów, zwłaszcza że jest już przez się dosyć powiewną i lekką. W skutek téj przyjętéj zasady i dzięki upałom co czynią niezbędnem jéj zastosowanie, wachlarz — to kobiece bawidełko, ten najwierniejszy sprzymierzeniec wdzięków i podstępów córek Ewy, ten prawnuk tyrsu bachantek, od którego uczeni starożytnicy wywodzą go, to nareszcie godło sławnych weneckich z XVI wieku zalotnic, przechodzi teraz w poczet atrybutów płci naszéj. Młodzieniec udający się na przechadzkę lub na wieczór, zatyka wachlarz do tużurka, w miejscu gdzie zwykł nosić chustkę do nosa lub cygarniczkę, a jeżeli jest we fraku, natedy wpuszcza zręcznie jego misterną rączkę do kieszonki od kamizelki. Niektórzy zamiast bukietu, bez którego żaden szanujący siebie elegant nie może się pokazać we Florencyi, zakładają w pętlicę ładny wachlarzyk, którego błyskotki i tęczowe kolory udatnie kwiaty zastępują. Wachlarz, który od starożytności służył do podboju serc męzkich, teraz kobiece także podbijać zaczyna i obraca się przeciwko tym, co go wynalazły, jak armaty Armstronga. Młodzieniec np. igra nim wymownie w przestanku dwóch komplementów wsuniętych pokryjomu do ucha majętnéj dziedziczki, a zaś przemawiając do poważnéj wdowy, która pomimo dojrzałości wieku, znakomitych wpływów i towarzyskiego stanowiska nie wyrzekła się dotąd czułego współczucia dla młodzieży i pewnéj słabostki dla ładnych chłopców, obraca go dyplomatycznie, tak iżby aura nasiąkła fijołkowym zapachem w sam czas dobytéj batystowéj chustki, lekko owiała skronie zacnéj matrony i sprawiła na nich to pieszczotliwe muśnięcie, które mimowolnie rozmarza...

Ale płeć piękna w ogólności nie zdoła zapewne patrzeć obojętnie na takie wdzieranie się w prawa wyłącznie jéj służące. Niewiasta, istota, jak twierdzą poeci, trzymająca środek między człowiekiem a aniołem, nawet po upadku swoim, od kiedy latać przestała a chodzić zaczęła po ziemi, jedno zawsze zachowała skrzydło — wachlarz, nieodłączny niejako od jéj osoby w południowych mianowicie krajach. Na ziemi gdzie kwitną cytryny, wachlarz jest berłem téj królowéj, rózeczką téj

czarodziejki, listkiem téj róży, piórem tego anioła. Jeżeli na włoskich zgromadzeniach, np. w teatrach Półwyspu, to mnóstwo świeżych i uroczych piękności zamienia loże jakoby w jeden ogromny kosz kwiatów, to patrząc na tę niezliczoną ilość ruszających się wachlarzy mniemasz widzieć rój motyli drgających na rozkwitłych kielichach. Wachlowanie się ma tutaj mnóstwo odcieni subtelnych jak odcienie włoskiego krajobrazu; przelatuje ono lekkiem swojem jedwabnem albo puszystem skrzydłem całą gamę uczuć, umie wyrazić jasno i dobitnie najbardziéj abstrakcyjne myśli, najmniéj zrozumiałe bez pomocy słowa szczegóły.— Jakim sposobem? zapytacie. Niech wam objaśni tę tajemnicę drut elektrycznego telegrafu, który będąc kruchą i bezduszną nicią, przesyła o mil tysiące słowo i bezcielesną ideę. — Razu jednego podczas pobytu mego w Palermo, piękna Sycylianka wychodzi na balkon swego pałacu. Nieubłagana czujność domowego Argusa nie dozwala jéj bowiem przestępować progu, i z tego tylko balkonu widzieć ona może ukochanego młodziana przechadzającego się w poblizkim ogrodzie. Otóż w niemożności ustnego się porozumienia, w niepodobieństwie nawet listowania, nadobna włoszka li tylko za pomocą wachlarza uwiadamia go o jedynéj w życiu sposobności, jaka się nazajutrz zdarza, długiéj sam na sam z nim rozmowy. Wachlarz zwiastuje mu porę, naznacza miejsce, wskazuje sposoby; a mimika ta, niepojęta dla mieszkańca innych stron, jest tak jasną i wyrazistą dla Włocha, iż w téj saméj chwili spostrzega się na niéj i czyta w niéj bez trudności nietylko ulubiony, ale też niestety! i sam Argus zaczajony za żaluzyą jednego z pałacowych okien. Nazajutrz gdy rozkochana Sycylianka zdoławszy się wymknąć ze swéj marmurowéj klatki zstępuje do ościennéj willi tajnemi drzwiczkami od których klucz na wagę złota kupiła, znajduje w pomarańczowéj altanie obranéj na schadzkę, nie ślicznego kochanka lecz zimny trup jego z dziesięciorakiem pchnięciem w piersiach, a przy nim na atłasie rozłożonego z umysłu wachlarza czyta wczorajszą swoją rozmowę dosłownie piórem spisaną gdyby telegram, z tym u góry treściwym i ponurym napisem: *Sentenza di morte*, wyrok śmierci.

Pomimo nadzwyczajnego dziennego upału miewamy nocy letnie godne Shakspeara, w których całe zaczarowane państwo Titanii wnosi się na obszar od słońca odbieżany z pryzmatycznem drżeniem swoich gwiazd, z lazurowemi otchłaniami niezgłębionemi okiem i tak pełnemi światła w lazur nasiąkłego, iż zdaje się że dzień który minął lub ten co ma się stać dopiero, przegląda gdzieś z ich głębi; z miesięcznem światłem aksamitnem jakiemś i białem jako puch łabędzi, lub jako szadź kwietniowa zanim ją słońce zbierze z kwiatów które przypruszyła. Jednak nocom tym z arabskich powieści przeniesionym w rzeczywistość, brak częstokroć świeżości i ochłody. Jeżeli nawet w późną dobę pójdziesz świeższego szukać powietrza na Monte Pincio, na Kwirynale lub Kapitolu, poczujesz rychło że same powiewy nie są orzeźwiające i chłodzące jak u nas, lecz parne i omdlałe jak gdyby udźwignąć nie mogły duszących wyziewów południowéj roślinności dokoła powstających z willi, gdzie pełno pomarańcz, cyprysów i mirtów. W noce te Rzym cały wysypuje się na ulice; kobiety spacerują po *Corso* bez kapeluszów i tak jak się w domu zwykły nosić. Żadna z nich kroku nie zrobi bez nieodstępnego wachlarza. Liczny tłum otacza kawiarnie jedząc lody na podniebiu; cukiernicy włoscy wynaleźli nieprzeliczone środki do chłodzenia się; niepodobna spisać ani spamiętać różnorodnych ich napojów, gatunków lodów i granit. Noce te są nadto uprzyjemnione odgłosem licznych serenad przeciągających dokoła, które mianowicie w staréj części miasta, gdzie cudzoziemcy nie stają zwykle i gdzie się przechowały dotąd starowłoskie obyczaje, do białego rana słyszeć się dają. Serenady takie natchnione zawsze miłośnem uczuciem, są dotychczas tem czem były w XVI i w XVII wieku. Jestto prawie w zwyczajach włoskiego ludu jedyny zabytek téj sławnéj zalotności, która nieraz tak oryginalne i poetyczne przybierała formy. Z postępem cywilizacyi piętno narodowych indywidualności znika powoli na europejskiéj przestrzeni, a Włosi stają się podobnymi reszcie jéj mieszkańców, i poczynają już kochać i *far all'amore* prozaicznie jak po innych krajach mniéj namiętnie rozmiłowanych w pięknie i w ideale.

Ponieważ zawadziliśmy o poezyą, miło wam może będzie posłuchać we skwarne lato wiosennéj pieśni słowika opisanéj niedawno przez Lenartowicza przed odjazdem jego do Francyi. Wiersz ten jest przypisany biegłéj muzyczce księżniczce Oldze Czetwertyńskiéj z Lipówki, która Rzym przed parą miesięcy opuściła wraz z rodzicami:

Wśród lasów zieleni
Jak zawsze ja sam,
Słowiki tych cieni
Już wszystkie tu znam.

Oj ptaszku z nad drzewa
Na próżno nie zwodź...
Nie ona to śpiewa:
Chodź, chodź, chodź, chodź, chodź!

Na lewo na prawo
Szeleści tam liść,
I ciężko i łzawo,
I niewiem gdzie iść.
Tak samo śpiewała
Słowiczku ty mój,
Gdy łza jéj spływała:
Stój, stój, stój, stój, stój.

Jak liście te chwile
Odwiały się w gaj,
A szczęścia ni tyle,
A kraj mój, gdzie kraj?...
I nuta skończona
Swobodnych gdzieś tchnień,
I ona, gdzież ona?...
— O prawda! cień, cień...

Więc śpiewaj mi głośniéj,
Toż słucham cię już,
I w sercu mi znośniéj
Przy zajściu tych zórz,
Bo dobra twa rada
Słowiczku ty mój,
Choć wszystko przepada
Czuj, czuj, czuj, czuj, czuj.

Od poety łatwe przejście do pierwszego dzisiaj snycerza polskiego. Przed zamknięciem niniejszego listu winienem wam wspomnieć o nowym znakomitym utworze sztuki polskiéj za granicą. Jestto *grupa Belizaryusza* przez Oskara Sosnowskiego. Ze wszystkich snycerzy polskich Sosnowski jest tym, który wpatrując się nieustannie w nieśmiertelne arcytwory sztuki, najlepiéj przejął ducha starożytności, jéj formę, harmonią, piętno, ten tajemniczy zgoła atycyzm, co jak wszelki duchowy, idealny pierwiastek wyrozumować się i obliczyć nie da, ale tylko czuć się daje tym, których usta raz w życiu przynajmniéj zbliżyły się do czary greckiego jeniuszu i upoiły się jego niewymownem pięknem.

Gdyby poprzednie Sosnowskiego dzieła nie były nas oddawna o tem przeświadczyły, objawiłby nam tę prawdę świeży ten jego utwór. Jestto mistrzowski owoc kontemplacyi i ciszy, przejęty na wskróś grecką pogodą i ukazujący się pośród burzliwéj naszéj epoki w téj zamętu chwili jako spokojne widziadło innego czasu, jako objaw niezmiennych prawideł sztuki i wieczności estetycznéj prawdy. Sosnowski trzymał się znanego podania o ślepym i żebrzącym Belizaryuszu, któremu słusznie czy niesłusznie zaprzeczyli za dni naszych wypleniacze poezyi, ci sami którzy epopeję Homera chcieli udać za dzieło całego cyklu Homerydów. Ale poezya nie kruszy się jak posąg, nie zabija się jak ciało, a podania, gdy raz ją przyjęły za duszę, stają się nieśmiertelnemi, jeżeli nie w dziedzinie historyi to w państwie sztuki. Sosnowski przedstawił pogromcę Gotów i wyzwoliciela Italii siedzącego przy drodze i proszącego o jałmużnę. Atoli ciało bohatera pomimo poniżenia na jakie go skazała bizantyńska niewdzięczność i okru-

cieństwo, tchnie dotąd niezatartą od niedoli dumą i wielkością. Lubo ociemniała źrenica jego ciała zwraca się niemo ku przechodniom, wewnętrznem jednak okiem i wspaniałą myślą zda się on jeszcze patrzeć w połamane szyki nieprzyjaciół, których rozpraszać przywykł, i w słoneczne blaski sławy, która sędziwe jego i zbolałe skronie wieńczy dotąd aureolą przedziwnego wyrazu. Prawica przyzwyczajona do dźwigania miecza nie umie się jakoś zdobyć na wyciągnienie rycerskiego szyszaka po grosz wdowi wędrowca rzucony pośpiesznie mężowi, który wschód i zachód imieniem swem napełnił. Zamiast podawać natrętnie ten szyszak, ciśnie go gwałtownie do łona niemogąc pokonać szlachetnego wstrętu; ale w tem przyłbicę delikatnie, lekko i niepostrzeżenie nachyla ku podróżnym córka bohatera Eudochia, anioł piękności i litości, stojąca za ślepym ojcem jako duch opiekuńczy, jako cudna pośredniczka między tą niezłomnością a tą nędzą. — Na niéj to ciąży całe brzemię téj prześwietnéj żebraniny, a postać owa dziewicza zda się rosnąć od upokorzenia jako święty obowiązek przyjętego, i smukła, lekka, waży się za starcem, niewiedzieć czy córka czy muza, czysta czystością natchnienia i linii jak grecka Melpomene lub Urania, jak źródlany wytrysk piękna boskiéj Hellady.

Grupa ta większa cokolwiek od naturalnéj wielkości nie została jeszcze przekuta w marmur, i ogólny wzbudza podziw między snycerzami włoskimi uważającymi Sosnowskiego za mistrza, któremu starożytność odkryła wiele swoich tajemnic nieprzystępnych dla pospolitości artystów.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother rządca druk.